

Szkoła Pisania KMLU prezentuje

Kurs Pisania Powieści 2020/2021

Antologia tekstów



SZKOŁA
PISANIA
KMLU



KRAKÓW
MIASTO LITERATURY
UNESCO

Wstęp

Pisanie jest jak podróż. Autor żyje rzeczywistością, o której pisze, spotyka bohaterów, o których opowiada. Dociera tam, gdzie jeszcze nigdy nie był i odkrywa to, czego się nie spodziewał.

Przez ostatnie sześć miesięcy 2020 roku mogliśmy obserwować dwanaście takich podróży, bardzo różnych i bardzo oryginalnych. Dwanaścioro uczestników kursu w ramach Szkoły Pisania Krakowa Miasta Literatury UNESCO pod okiem dwóch znakomitych redaktorów – Filipa Modrzejewskiego i Pawła Goźlińskiego – pracowało nad swoimi powieściami, które w przyszłości bez wątpienia trafią na półki dobrych księgarni. A co w nich znajdziemy? Jakie historie skrywają?

Razem z Agnieszką Budnik i jej *Zdrapkami* przenosimy się do dwóch rzeczywistości jednocześnie – do światów ojca i córki. On rozpamiętuje historię polsko-niemieckiego pogranicza. Dla niej ważniejsze jest samopoczucie taty niż pamięć o przedwojennych szlacheckich korzeniach. Każde z nich pisze swoją własną opowieść, ojciec: historyczno-sensacyjną, a córka – oniryczno-groteskową. „Styl i widzenie świata stają się i tematem, i nawet bohaterem *Zdrapek*, co szczególnie mi się w tej prozie podoba” – wskazywał w swojej rekomendacji Filip Modrzejewski.

„Zdrapki” są jednym z trzech wyróżnionych przez organizatorów Kursu tekstów.

Kolejnym jest opowieść Marty Hermanowicz pod tytułem *Koniec*. I tu znowu spotykamy dwa pokolenia – tym razem wnuczkę i babcię.

36-letnia Malwina wraca z Warszawy do Nowej Soli, aby pożegnać umierającą babkę. Ze starą Lotką łączy ją szczególna więź. Malwina od dzieciństwa, kiedy zamieszkała w jednym pokoju z cierpiącą na bezsenność babką, śni sny-wspomnienia wojenne Lotki: przesiedlenie z Wołynia na Sybir, dwa lata w łagrze, utratę najbliższych, ucieczkę przez Związek Radziecki do Armii Andersa oraz przyjazd na Ziemie Odzyskane. Paweł Goźliński nazwał język tej powieści „nieprzewidywalnym”, a samą prozę – „gęstą i obsesyjną”.

Trzecia z wyróżnionych autorek – Paulina Matuszewska – zabiera nas w podróż do Indonezji. Jej *Goździkowe papierosy* to pamiątka z azjatyckiego kraju, zbiór opowiadań w miękkiej paczce, bez filtra. To opowieść o dojrzwaniu i paleniu. Byciu w miejscu i przemieszczaniu się. Jak napisał Filip Modrzejewski, „mamy tu i spotkanie z orientem, i wrażenie obcości, i pasję podróżowania. Bohaterka spogląda na siebie z pewnego oddalenia, a styl staje się wiernym zapisem jej zmiennych emocji”.

Przedstawione powyżej historie to zaledwie część całej antologii, kilka z kilkunastu niezwykłych opowieści. Trzy z dwunastu różnych języków, styli i pomysłów.

Zapraszamy Państwa w tę podróż – w świat literatury razem z grupą debiutujących, utalentowanych twórców. Z kolei zainteresowanych współpracą wydawców serdecznie zachęcamy do kontaktu.

Oliwia Fryc
Koordinatorka Szkoły Pisania
Krakowa Miasta Literatury UNESCO

2 Wstęp**5 Teksty wyróżnione**

- 6** Agnieszka Budnik – *Zdrapki*
28 Marta Hermanowicz – *Koniec*
49 Paulina Matuszewska – *Goździkowe papierosy*

62 Pozostałe teksty

- 63** Ziemowit Józwik – *Wieczór świata tego*
70 Natalia Królikowska – *Daleko*
91 Karolina Ludwikowska – *W upalne dni czas płynie wolniej*
110 Ewelina Najdrowska – *Mdłość*
128 Rafał Sieradzki – *Nie powie ci las*
140 Alina Staneczek – *Wyrównania*
156 Aleksandra Żuberek-Śmierzyńska – *Punkt „0”*
181 Tomasz Tarmas – *D/emeryci*
199 Daniel Wołyniec – *Exit*

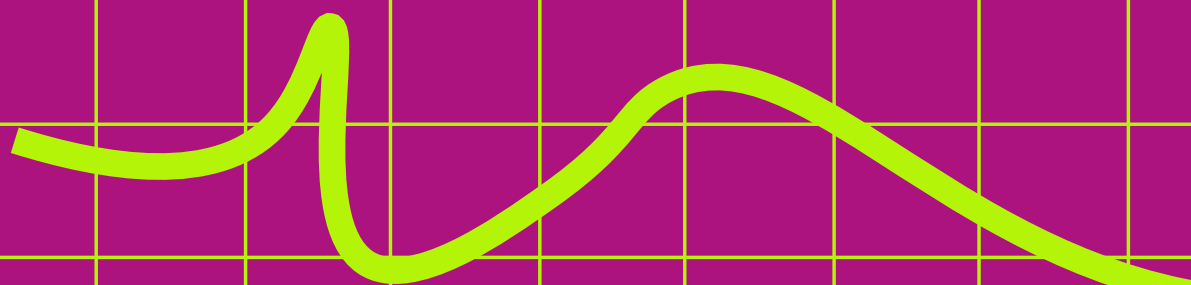
215 O autorach**219 O Szkole Pisania Krakowa
Miasta Literatury UNESCO**

Teksty wyróżnione

Agnieszka Budnik – *Zdrapki*

Marta Hermanowicz – *Koniec*

Paulina Matuszewska – *Goździkowe papierosy*



Rekomendacja organizatorów kursu

Agnieszka Budnik | *Zdrapki*

W tej mglistej fabule uwagę zwraca nietypowy i sugestywny obraz delegata pamięci oraz obiecujący pomysł na pokazanie oczami córki ojcowskiego bzika historycznego. Równie ciekawy jest tu regres do przeszłości ze wszystkimi jego konsekwencjami, utrapieniami i dekoracjami. Intrygujący jest zarówno sposób przedstawienia bohaterki – ekspozowanie jej niepowagi i wolności – jak i gasnąca, nieco zakurzona historia rodzinna. Z kolei motyw wędrówki w powieści oraz pejzaż nowoczesnej prowincji przywołują skojarzenia z *Polską przydrożną*. Język *Zdrapek*, nieustannie podważany i kwestionowany, aż pulsuje energią, co znakomicie współgra z lekkością opowiadania, gdzie obok siebie są i dziecinne zdziwienie, i beztroska zabawa, nawet na wiejskim cmentarzu. Obrazowanie w tej prozie – ciepłe, miękkie i niesentymentalne – podaje w wątpliwość skamieliny i toposy, a więc jest fundamentalnie nieufne. Tak oto styl i widzenie świata stają się i tematem, i nawet bohaterem *Zdrapek*.

Filip Modrzejewski

Zdrapki

Jak to się zaczęło

Znowu postanowiliśmy reanimować zmarłych.

Jak co roku na pierwszego pojechaliśmy we dwójkę na groby. Wsiadamy w chyba szóste już służbowo-rodzinne auto – cztery kolejne lata upłyną nam pod znakiem mercedesa klasy B. Dzień dobry państwu, dziś kolejne notowanie Trójkowej Listy Przebojów. Dwa, dwa i siedem trójek. Tak było jeszcze do niedawna. Od trzech edycji naszych wycieczek firmowanych wiązkami sztucznych kwiatów i brzęczących w kartonie zniczy towarzyszyło już nie radio, ale playlista „klasyki” w podobnym nastroju. Musieliśmy pójść oboje, niechętnie i raczej z konieczności niż z wyboru, z duchem zmian i serwisem streamingowym. Tata wolał nazywać to w myśl okolic dwudziestego miejsca noworocznych topów wszech czasów: *Wind of Change*. Co godzinę Tanitę Tikaram lub inne Toto Africa ucinał brutalnie raport ze stanu dróg, wymiennie z wiadomościami.

On co roku musi spróbować zrozumieć, co z tą historią i dlaczego wojna, a rozumie to tylko w jednym miejscu, tylko raz na trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Wchodzi na strych. Idzie do zamkniętych na szczękające zamki drzwi, bo dyplom z historii chyba nie okazał się satysfakcjonujący. Jedziemy, bo szkoda, że nie możemy wziąć ciotki do siebie, że sama zwariuje, o ile już tego nie zrobiła, albo też znowu wpuści jakichś obcych, którzy rozkradną jej pół domu, ale tacy mili, tacy zaciekawieni tym, co ma im do powiedzenia, no niemożliwe, że świecznik wynieśli, a w portfelu dobrodusznie dziesięć złotych z dwustu dziesięciu zostawili.

Wieś, tak samo mała i uśpiona, brudna i jakby cała z innej parafii. Rozpadający się dom był nieprzyjemny w dotyku, jak szara modelina, która zbyt długo leżała w piekarniku. Ojciec mówił, że nie posiedzimy długo, przywitamy się tylko, że naprawdę, że prędko jeszcze odkurzymy dwa pokoje, bo ciotka Misia tak średnio ze schylaniem, ale no na coś trzeba umrzeć, w jej wieku, jak nic nie boli, to właściwie już się nie żyje. Ale weźmiemy jeszcze kluczyk, co go babcia, siostra Misi, nam dała, poszukamy zdjęć, tych fajnych, zobaczę, jak świetnych, bo takich to już nie uświadczę, a to kawał historii naszej, tej niemieckiej też, bo w końcu babcia, a prababcia moja, Helena, wyszła za mąż za Niemca, który odebrał jej kawał życia, tak samo jak wojna i Rosjanie resztę nadziei, zapasy, kosztowności i godność zabrali. I na strych pojedziemy, bo tam kiedyś za dzieciaka hełm przerdzewiały schował z bratem, i w końcu weźmiemy książki drukowane gotykiem, oryginalne, jeszcze prababci, pięknie wydane, żeby myszy ich nie pożarły albo żeby dziadek mój ich nie wrzucił do pieca, tak jak on to potrafi, kiedy przyjedzie z babcią robić porządki, a tak to przynajmniej ojciec podszlifuje niemiecki, może w jego nowej robocie się przyda bardziej niż w poprzedniej, a zawsze lubił szprechać, bez tego to by magisterki, doktoratu mu się nie chciało, o obozach by nie szrajbnał. Ale dobra, trzeba iść, bo ciocia w oknie, może tego głupiego kundla nie ma w pokoju, bo po kostkach obcych gryzie. Jamniki są nienormalne, te czarne to już w ogóle.

Zza podwójnych drzwi, pociągniętych o kilka razy za dużo olejną w kolorze choroby w ostatnim stadium, wychyliła się najpierw niemożliwa liczba brązowych plam wątrobowych na sękatą dłoń. Tuż za nią, ale jakby obok, wyjrzała ciocia Misia, wygięta reumatyzmem i beznadziejnością malującą się już nie na czole, a w oczach, bo tej chałupy nie da się ogrzać, nie będzie przecież trzech ciężkich wiader dźwigać, to nie to co kiedyś, jak towar sama w spółdzielnianym sklepie rozrzucała, o tak, jedną ręką.

Cieplawa i intensywna woń palonego drewna zwałała z nóg od progu, tak jak mdławo-słodki zapach spadów w sadzie za oknem. Jesień, panie.

Ale czemu tak długo nie przyjeżdżaliśmy? I czy kartki doszły? Bo o wszystkim pamięta, już ma tu wypisaną i przygotowaną kartkę na Boże Narodzenie i rocznicę ślubu z Marzenką.

– To już za dwa tygodnie! – wystękała tryumfalnie, a jej oddech dorzucił kilka kilogramów do ciężkiego zapachu, który był na tyle mocny, że oklejał meble i zostawiał specyficzny posmak na języku.

Pokazuje, uśmiechając się szeroko, szufladę pełną okolicznościowych pocztówek i wyrwanych kartek z zeszytu w pobladałą niebieską linię, w którym prowadziła rachunki, co do grosza wszystko wyliczone, bo już sto dwadzieścia na leki poszło, a to węgiel jeszcze przyjedzie w piątek i opiekunkę z Caritasu, co zakupy robi, już opłaci, żeby nie zapomnieć o niczym, bo czas i pieniądze kurczą się jak swetry wyprane w za gorącej wodzie, mam pamiętać, żeby nigdy nie płukać w za gorącej. Herbatę kuśtyka robić i jak co roku załamuje jej się głos, że znowu zapomniała kupić ciastka jakiegoś, żeby chociaż do kawy, której wiemy, że nie pije, bo droga bardzo.

Tata sadza ciotkę jak popsutą lalkę w krzeselku o nogach tak powyginanych jak jej własne i odwzajemnia uścisk drobne- go ciała. Wstrząsa nim ten sam dziwny dreszcz, który ciotce nie pozwala na powiedzenie składnego zdania, bo tak się cieszy, że tęskniła, że nie musiał tego wszystkiego, po co aż tyle jej przywo- zić, czemu w ogóle, że wyrosłam, jak pięknie, że pannica, że się chłopaki oglądać muszą, no jak nie. Ojciec odruchowo pogłaskał ją po czubku siwiuteńkiej głowy i poszedł rozkładać odkurzacz, a to jeszcze pościel zmieni, bo tak rzadko wpada, chociaż jak tylko może, kiedy do klienta umowy podpisać jedzie, to zawsze wstąpi, ale za rzadko, za rzadko, co dwa, trzy miesiące. Nikt o nią i tak nie dba, sama cały czas w domu siedzi, a my w mieście, to, że nam się udało, to nic nie znaczy, bo wystarczyło, że dziadek nie dostałby przydziału. Ale żebym wiedziała, że przecież i tak nie z musu, tylko, no kurczę, ciotka za wojny to potwornie cięż- kie życie miała. Nawet nie chcę wiedzieć jak bardzo. I nie wiem. I faktycznie nie chcę wiedzieć: nic już z tym nie zrobię.

Ale czas goni, ubrani wszyscy, znicze spakowane, doroczna przechadzka i przegląd zmarłych. Ojciec znowu nie wróci w całości. Uciekł na górę i zostawił kawałek siebie w kartonowym pudełku z pomiętymi fotografiami na strychu. Nie chce ich zabrać, przecież to kradzież, jak to tak. Może dlatego właśnie pierwszego listopada gwałtownie się starzeje, choć urodziny ma dopiero za pół roku. Co do dnia. Pamiętam o tym doskonale, bo od przeszło dwudziestu lat, jeżeli zdjęcia z przedszkola nie kłamią, rysuję mu laurki, z których się śmieje, bo nie umiem narysować messerschmitta. Znowu trzeba będzie go wyciągać z domu do ludzi.

Katafalki i zawodzenia

Przyszedł sierpień. Drzwi do kaplicy są szeroko otwarte. W zasadzie do środka może wejść każdy. To pierwsze zdziwienie. Zdziwienie numer dwa: sklepienie kaplicy żywcem wyjęte z góralskiej chaty, chociaż jakby mniej spiczaste, a bardziej w kształcie trapezu. Nadal bardzo wysokie pomieszczenie. Właściwie to tylko przerysowuje i tak abstrakcyjną sytuację. W środku brak krzyża. A może stał, tylko że mały, na niskim biurku marki PRL, obłożonym błyszczącą okleiną. W rogu, za katafalkiem, na stoliku ze sklejki spoczywa przedpotopowe radyjko z anteną tak długą jak noga sputnika, sterczącą pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Półmrok. Barwy raczej ciepłe.

Jedynym źródłem światła to cztery świece, prawie wypalone. Mam niepokojące przeczucie, że zostały po poprzednich zwłokach. W przyrodzie nic się nie marnuje. Podobną gromnicę zapalały i babcia, i ciotka Misia zaraz po pierwszym grzmocie. Aż dziw, że w życiu nie spaliły firanki. Pod ścianami sosnowe ławeczki, obciążone czekoladowym skajem.

Drużynę prowadzi babcia. Nie ubrała się na czarno. Wygląda jak zwykle. Na modę żałobną zdecydowałam się tylko ja. To zdziwienie numer trzy. Ciekawe, czy to dlatego, że to mój pierwszy, a przynajmniej taki niefilmowy. Błąd uczniaka, który na egzamin wbija się w garnitur.

Leży na środku. Wyciągnięta i pomalowana. Babcia rozsypuje się w sekundę, żeby opaść ciężko na za wąską ławeczkę. W kącie stoi sztandar. Czarny, widać trasę każdej nitki. Biały napis: „Matka Boska Bolesna. Ratuj dusze czyścicowe”. To on daje mi znak, że sytuacja jest z kategorii tych poważnych, jeśli nie ostatecznych, a ciotce Misi chyba nie zbiera się na wstanie. Tylko przez chwilę wygląda, jakby spała. Tak naprawdę jest figurką z wosku. O ciężkiej i niepotrzebnej cielesności świadczą sinoczarne paznokcie.

Ojciec mówi, że nie chce wiedzieć, jak grabarze Misię wyprostowali. Znalazł ją skuloną na łóżku. W brązowych wymiocinach i czarnej krwi. Jest trochę naiwnie, a trochę dziecięco oburzony na cały świat. Mówi, że lekarze zachowywali się jak gdyby nigdy nic. Wiesz, łazili, śmiali się, gadali o jakichś, kurwa, pierdołach. Przykrył ją kocem w tym właśnie oburzeniu, przeganiając muszki. Trudno powiedzieć, co poruszyło go bardziej: ona czy oni. Pani Gosia mówi, że teraz ciotka wygląda o niebo lepiej. To zdziwienie numer cztery. Babcia i mama się zgadzają. A może mamy tam nie było? Pięć. Pytanie, kto tutaj jest nienormalny.

Pani Gosia wygłasza mądrość kolejną, że bym skombinowała szybko jakieś zdjęcie ciotki i z o dziesięć lat młodszą siostrą niosła je za trumną. A i koniecznie w formacie A4. Na kolejny poziom abstrakcji czekać długo nie trzeba. W trumnie wyłożonej białą, opalizującą zimnym błękitem satyną leży nie tylko ciotka. Po lewej od głowy: plastikowe okulary w burgundowej oprawce. Wokół dłoni zaciśniętych na piersi zawija się mały drewniany różaniec, pod wyslizganymi i lekko brudnymi koralikami wysłużona książeczka komunijna. Czarna, więc chyba brata. Przy prawej ręce sakiewka. Nie wiem, co w niej jest. Pakowała ją babcia.

Kiedy trzeba iść, dotyka jej dłoni. Potem głaszcząc jej włosy rozedrganym gestem przy cichych wstrząsach do wtóru, które nie robią na ciotce wrażenia.

– Dałam jej swoją sukienkę. Bardzo ładnie w niej wygląda, prawda? Ja za bardzo się roztyłam, i tak w nią nie wejdę – dodaje babcia.

Poziom abstrakcji sięga sklepienia kaplicy, kiedy okazuje się, że twoje rzeczy mogą leżeć w czyjejs trumnie.

Po części metafizycznej przychodzi czas na część ziemską. Najpierw różaniec za zmarłą. Babcia siada w dwuosobowej ławce przytulonej do filaru, gdzieś w połowie kaplicy. W pierwszych rzędach bywalczywie okolicznościowych imprez prowadzi ceremoniał. Są jak antyczny chór. Rozpoczyna się gra o władzę i pierwszeństwo. Babcia jawnie przegrywa. Ksiądz nadal walczy. Jedna z pań przypuszcza kontratak. Mantrycznym głosem wykrzykuje kolejne przymioty Matki Boskiej. Staruszka ma na twarzy wszystkie troski świata.

Kazanie jest nieprzyzwoite. O siostrze Marii, tak pogodnej i dobrej, oddanej kościołowi. Życzliwej i zagadującej z okna każdego, kto zdecydował się wyjść z domu. Wzór chrześcijański. Świetnie przygotowana na tę drogę. Jak na zajebistą wycieczkę, myślę. Bo chociaż chora i nie mogła z nami uczestniczyć w niedzielnych nabożeństwach, to regularnie przystępowała do sakramentów. Co miesiąc. Przyjęła również sakrament namaszczenia chorych. Tego nie wiedziałam. Nie wiedziałam też, że stojący przede mną ksiądz, czerwony na twarzy, z za dużą ilością żelu na mysich włosach, będzie opowiadał anegdotki o tym, że zawsze miała dla niego czekoladę i kawę, i całą wyprawkę na plebanię. Dlatego tak lubił wpadać.

Zdziwienie numer: przestałam już liczyć. Pytanie babci na moje ucho:

– Myślisz, że nie jest jej zimno? Bo to jest letnia sukienka.

Gablotki i spirytualia

Nóżki się w końcu łamią. Nic nie chrzęści. Proces umierania jest bezgłośny. Zahaczają się czubkiem, obkręcają i już po wszystkim, wiadomo, że zdechną. No, może jeszcze nie po wszystkim. Taka dzika szamotanina, bez sensu, tylko będzie trudniej to potem wyplątać. Trzeba ciąć chirurgicznie, bo nic się z tego nie ugra. Ciałka zahaczają się o siebie, niektóre rozdzierają się

na pół. Przypominają porcelanę. Moment nieuwagi i nie będzie czego zbierać. Gdyby mogły krzyczeć, wysoki pisk rozdzierałby bębunki. Na to zawsze źle mu się patrzyło. Nie powinny tak łatwo się psuć. Trochę szkoda.

Korytarz jest długi, raczej z gatunku tych ciemnych. Nie mogłam wymacać kontaktu, szłam na czuja. Cała ściana sprawiała wrażenie, jakby coś po niej łąziło. Migotliwe resztki jasnego wpadały od podwórka. Czasem coś przejedzie pod oknem. Cienie są wtedy dłuższe, a chroboty głośniejsze. Mówiłam, że za późno wyjechaliśmy. Jest znowu listopad, a ojciec znowu mnie nie posłuchał.

W przedpokoju zostały trzy szklane witryny wyłożone jakimś ciemnym materiałem. Odbijają niebieskawe światło, trochę się mieniają. Paluchem sprawdzać co to nie będę, bo jeszcze stamtąd coś wylezie. Może atlas? W środku zostało kilka sporych gwoździków wbitych symetrycznie. W miękkiej wyściółce odbiły się idealne kwadraty. To jutro. W tej chwili jak najmniej się rozglądać, prosto do łazienki i do rana. I tyle.

– Tu były zwierzątka domowe – rzucił parę godzin temu na zaczepnego, kiedy zaraz po przyjeździe wnieśliśmy czteropak typu: znicze przytulne dla rodziny i jakichś obcych, a wzrok zahaczył się na gwoździu.

Zewsząd nacierał zapach zimna wymieszany z grzybem. Z kołdry też. Jak naciągnie się całość na głowę, jakoś da radę. Patent jest taki, żeby zostawić lufcik na nos. Robię dobry uczynek. Jest fajnie. Jak się nie będę rozglądać, to będzie szybciej. Pająki wcale nie lubią długich nocnych wycieczek, mają lepsze rzeczy do roboty niż szybki desant na twarz.

– Siódma minut trzydzieści osiem! Wstawaj, dzieciak!

Zrywa kołdrę, lewym łokciem blokuje mi ręce, prawą sięga do stopy.

– Jezus, ile ty masz lat, już ci nie wypada.

– Ili ti mysz lyt, już ci ni wipada – powtarza, cedząc przez zęby i kontynuując MMA w lidze amatorskiej. Łaskotki jako

klasyczny numer rozgrzewkowy programu satyrycznego „week-end u rodziców”. Miejsce: okazuje się, że dowolne. Aktorzy: ojciec, ja. Czas: dni wolne w domu od dwudziestu sześciu lat. Zabawa, zabawa. Tak właściwie to nawet bywało śmieszne. No absurd.

– Dobra. Zbieraj się, śniadanie. Pół godzinki i ruszamy.

Śniadanie było wymiętym snickersem rzuconym na talerzyk z Chodzieży. Telefon taty pełnił właśnie funkcję radia informacyjnego ze wściekle antyrządową agendą. Szklanka w wiklinowym koszyczku pacnęła o ceratę. Bura i gęsta ciecz parowała zapachem kawy.

– Zrobiłem parzącę. Ma na oko z dwadzieścia lat, więc powinna ci podejść. – Łypnął na szklankę.

– Co wisiało w przedpokoju w tych gablotkach? – zapytałam, podejrzliwie kołysząc fusiastą zalewajką.

Rozpostarł się na krześle. Uśmiechnął się i zafalował brwiami.

– A to akurat jest klawa sprawa. Sklej się snickersem i daj moment – powiedział i zaczął szukać czegoś po szafkach w kuchni. Tryumfalnie gwizdnął.

Podziękowałam sobie, że wzięłam kisiel, jak na kolonie.

Skrzyneczka była zbita z ciemnego drewna. Wręczył mi ją oficjalnie. Trochę tak, jakby w środku był komplet szafirowej biżuterii, który wyobraziłam sobie gdzieś na strychu, a wpisałam na osobistą listę poszukiwań, albo akt własności trzech jezior i poniemieckiej posiadłości. Przednia szybka się zamgliła, kurz zakleił szkiełko, wdarł się też do środka. Lepki brud ustępował pod palcem i nadgorliwym paznokciem. Pisnęłam, puściłam, złapał puzderko w locie.

– No i czego się drzesz, to nie są tanie rzeczy.

Ze środka spoglądał przerośnięty motyl albo coś motylopodobnego. Właściwie to na nic już nie patrzył, ale tkwił rozpostarty na samym środku, przypięty szpilką z czerwonym

łebkiem. Tabliczka z nazwą, nadgryziona przez rdzę, była ręcznie wykaligrafowana. *Sphingidae*.

– Zawsze myślałem, że tak właśnie wyglądał sfinks. No, ten wybitnie stracił na kolorze, ale zaręczam, że był różowy. Albo czerwony. Klawy, nie?

Matka jego koleżanki wносиła eter z apteki. Mówił, że uśmiercało się te, które zostały w całości. Potem trzeba było szybko wbić szpilkę i je delikatnie rozłożyć, bo zastygały. Było z tym trochę zabawy. Jak się nie chciało za dnia, to akcja była w nocy. Na ómy jeździli wieczorem. Autem, najlepiej na jakąś górkę. No i pyk. Rozciągało się gazę przed reflektorami tak, że plątały się nóżki. Wybierali co ładniejsze, a resztę wypuszczali. Jak było jeszcze co wyciągać. Trudno mi go sobie wyobrazić w wieku kilku lat. Przepalone zdjęcia u babci i za jasne kolory. Miał blond włoski i największe dziury w policzkach od uśmiechu, jakie widziałam. Jak nie miałyśmy już o czym z babcią gadać, to pudełko z fotografiami z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nadało ton. Nie wiedziałyśmy z mamą, jak zamienił się w bruneta.

– Mialiśmy ze cztery gabloty. Ale zaległy się w nich mole i zeżarły motyle od środka. No i co? I trzeba było wypieprzyć – wyrwał mnie z zamyślenia.

– Trochę kontrowersyjne to hobby – rzuciłam.

– O Jezu, ty myślisz, że dzieciak to o tym myślał. Oho, ho, ho, k o n t r o w e r s y j n e. Nikt takich nie miał. Komuna to był deficyt kolorów, a tu takie coś.

– A skąd te trupki?

– A opowiem ci w domu, teraz trzeba jechać do naszych trupków.

Droga z domu ciotki Misi na mały cmentarz to najlepsza część wycieczki. Beżowe i białe krówska wylegiwały się na jeszcze zielonych łąkach. Cielska parowały w listopadowym słońcu. Mgła była ciągle widoczna. Żerowała nisko, przy wysokich trawach i trzcinach. Ześlizgiwała się po wzgórzach. Pagórki leniwie ciągnęły się wzdłuż drogi. Szedł tędy lodowiec. Dzingiel

zawiadamia o ósmej trzydzięci. Informator drogowy przypomina o korkach przy wielkich nekropoliach. Po poradniku „jak nie dać się okraść” spikerka rzuca zajawką: „cmentarze oblegane przez Polaków”.

– Dobrze, że nie przez Niemców – mruknął ojciec i sycił się trybem „sport” na pustej drodze.

Wjeżdżamy do miasteczka. Trochę sześcianów polskich, dużo samowolek budowlanych, kwietnik z opon, kilka domów wyciętych z „Muratora”, no i fryzjer damko-męski „Adrian™”. Za każdym razem zastanawiałam się, co takiego pan Adrian uznał za cechę tak unikatową, że aż ją zastrzegł.

– O Jezu, i ta kapliczka – jęknął, kiedy, co tu kryć, minęliśmy kapliczkę.

– JAK POD KRZYŻEM, TO SIĘ PRZEŻEGNAĆ! – krzyknął, aż wzdrygnęłam się na siedzeniu.

– Boże, czego ty krzyczysz!

– Za każdym razem, kiedy babka Helena ciągnęła mnie do sklepu, kazała się żegnać pod tym krzyżem – powiedział zamyślony.

A potem było, że cholerny dzieciak za grosz Boga nie szanuje. Dla mnie za gówniarza msze to już w ogóle była masakra. Człowiek jedzie na wakacje, a tu jęczą tak głośno, jakieś klęczenie, wcale nie tylko w niedzielę. O. A tutaj jadłem pierwsze flaki. Zajechaliśmy z wujem Tadzim z koniem. I z wozem. No to co? No to dawaj flaki i pięćdziesiątkę wódki. Potem trzeba było go odwiedzić, bo taki umęczon pod Ponckim Piłatem był.

Cmentarz większy i cmentarz nasz to jakieś kolejne pięć minut drogi od zabudowań.

– Czas na spirytualia i nalewki – rzucił wesoło, wyłamując autem zakręt.

Kątem oka zauważyłam pierwszą z delegacji nagrobnych, która potencjalnie chciała nawiązać z nami kontakt. Przewodziła jej

babcia, przywieziona przez wujka. Miała minę jak wtedy, kiedy wrzuciłam jej w sklepie do koszyka czekoladę, którą zauważyła dopiero przy kasie.

– Skandal, u nas jedne wypominki to trzydzieści złotych.

– Mama, jak ty tu z dziesięciu masz, to trzy stówy. Po co będziesz tyle dawać – odpowiedział ojciec.

– To jest mój dzień, dam tyle, ile będę chciała. – Zapowietrzyła się, urosła jeszcze bardziej, po czym wyciągnęła z bagażnika siatkę o dużych oczkach, która wróciła na szafiarskie salony w zeszłym sezonie, o czym oczywiście nie wiedziała. Ruszyła posuwistym krokiem na mały cmentarz za kościołem. My, jak ten kondukt, za nią. Tam byli nasi. Czy narodowo nasi, to rzecz sporna. O tym powie mi potem.

Na cmentarzu byli sami martwi i jeden żywy. W drzwiach zakrystii siedział dziarski staruszek.

– Patycki – syknął informacyjnie ojciec, nie znajdując we mnie żadnego zrozumienia. – Patycki, dyrektor szkoły, pasjonat lokalnej historii. Kiedyś jedyny z magistrzem, teraz chyba też – dodał.

Siedział ten starzec w dwurzędowym płaszczu trochę odstającym w ramionach. Kurtuazyjne przywitania, uprzejmości, pozdrowienia dla żony, męża. Rozpoznanie ojca, przegląd wnucząt. Mapa powiązań została zaktualizowana. Opowiadał, że wszyscy tacy dzisiaj ładni, rzeczy kolorowe, ludzie robią interesy, to dobrze. Uśmiechał się serdecznie, z lekką wyższością wydawał polecenia efebom ministrantom biegającym od kościoła do cmentarza, przygotowując kościół pod mszę.

– Jakiś taki za wesoły – wymamrotał konspiracyjnie na stronie, kiedy Patycki z babcią zajęli się rekonstrukcją losów Zielińskich z Rogownicy. – Ale jak sobie o tym pomyślę, to przecież on musiał być z ekipy przedwojennej.

Ojciec zamyślił się i zaczął się bawić zapalniczką. Zszedł do archiwum. Wróci za chwilę z abstraktem.

– Oho, idzie hekxa z wujem Stefciem – rzucił ojciec, wyrwając się z zamyślenia.

Chwila uścisków, wspominki na linii chrzestny–chrześniak. Chrzestny, wuj Stefan, był jednym z ładniejszych panów lokalnych. Lepiej ubrany. Okulary dopasowane do kształtu twarzy. Równo ostrzyżony. Garnitur widać, że dobrany do rozmiaru. Noszony codziennie, a nie wyjmowany z szafy raz do roku, no może dwa, kiedy zdarza się pogrzeb kumpla.

– Co on robi w życiu? – zapytałam ciekawie.

– To jest badylarz – rzucił wyjaśniająco tata.

– Kto?

– Ja nie wiem, czego was uczą na tych studiach. Badylarz, no.

– No czyli kto? Szybko, bo idzie.

– Kwiatami handluje, a nie rolnymi rzeczami. To bogactwo – dodał porozumiewawczo.

Badylarz miał ku mojemu rozczarowaniu ręce, nogi i głowę. Nie był nawet zielonkawy, raczej brunatno-ryży. Nie wyglądał wcale podejrzenie. Ot, zwykły przedsiębiorca wiejski. Wyobrażałam go sobie bardziej widowiskowo. W puli możliwych komponentów mieścił się za to srebrny ząb numer cztery. Babcia też taki ma. Uśmiechnęła się szeroko do badylarza, a jej dwójka nawiązała lśniący kontakt z jego czwórka. My z tyłu, w drużynie bez większych ingerencji zębologicznych. Z wyjątkowych umiejętności mieliśmy za to potencjał otwierania puszek. On swoją diastemą, ja wystającą dolną jedynką, która czeka na powrót jedynej ortodontki, której ufam, do etatowych godzin pracy.

Tata uprawia właśnie balansowanie wyczynowe. Wspina się na palce, środek ciężkości kontroluje wciśniętymi po sam róg kieszeni kurtki rękoma, spada na pięty, wyginając po drodze śródstopie w łuk. W chwili, gdy osiąga maksymalny wychył, dżgam go paluchem w klatkę.

– Piątka za styl. Byle jak, ale się zachowuj.

– To mój tekst.

– Wiem, jest zupełnie nielogiczny.

– Pogadamy, jak dorośniesz. Chodź, pokażę ci księżniczkę i orszak aniołów. Starszyzna sobie poradzi.

Jak powiedział, tak zrobił. Honoru akurat nie można mu odmówić.

Rozgrywka szachowa

Przed nami rozciąga się cmentarz numer dwa. To tu leży Tadzik, chrestny ojca, ten od rozwożenia po pijaku pijanych nastolatków wozem. U starego dobrego Tadzika rozegrała się partia gry logicznej, której stawką stało się spotkanie z kimś ważnym i przypuszczalnie całkiem pięknym.

– Jak wygrasz, to jedziemy do księżniczki. Ja bym powiedział, że gra warta świeczki.

– W co gramy?

– Nieważne. Wchodzisz?

I tak wiedziałam, że pojedziemy gdziekolwiek, bo już go nosiło. Przechadzał się teatralnie alejkami wysypanymi żwirem. Musieliśmy chwilę zaczekać. Tym razem nie uciekliśmy przed zlotem rzekomych krewnych, mszą w samo południe i nekropo- lną Eurowizją. Zapach kadzidła mieszał się z lakierem do włosów. Dygnięcia, mruknięcia, uśmiechy, uściski.

Tata miał w zwyczaju pchać mnie otwartą dłonią w półokręgi wujko-sąsiadów lat minionych. Wiedział, że nie odmówię przywitania. Wiedział też, jak ono za każdym razem wygląda. Jest miło, kaszkiet opuszcza czaszkę oponenta, a moja wyciągnięta dłoń nie łąduje w serdecznym uścisku dłoni wuja Wojtka, tylko niebezpiecznie zmienia trajektorię. Kończy się zawsze tak samo: nonszalancko przycięty, zachwycająco bujny wąs szoruje po zlodowaciałej dłoni. Często też dochodzi walor nawilżenia. Milknę zakłopotana, uśmiecham się i chowam za tatę,

który wykręca się potajemnie w spazmach radości. Miał ponad dwadzieścia lat doświadczenia w zabawie, którą pamiętam chyba najdłużej. Patrzył kilkuletniej mnie z premedytacją w oczy, robił najdurniejszą minę, jaka przyszła mu do głowy i czekał, aż minie mi histeryczny kwik. Potem zawieszał na wysokości twarzy dłoń i pociągał nią w dół. Gdy ta zasłaniała akurat jego oczy i usta, zmieniał wyraz twarzy na wejrzenie handlarza samochodów ciężarowych. Ręka wędrowała do góry, wracał mój tata.

Gdy tłum się przerzedził i babcia ruszyła po grabki, żeby z pasją zaościć najmniejszy ogródek świata, tata skinął na mnie. Stanęliśmy przed granitową płytą Tadeusza Furmaniaka, „lat 57”. Żeby odczytać pozłacane litery sprzed dekady trzeba było się trochę wysilić. Nagrobek przypominał hurtownię kwiatów doniczkowych i sklepik przy hucie szkła. Ojciec złapał się pod boki.

– Patrz teraz. – Wskazał na podłużną płytę. – Królowa bije króla.

Szklano-plastikowy znicz z czymś na kształt hologramu Matki Boskiej zapiszczał, gdy ojciec zaczął przesuwając go po nagrobku.

– Ty chyba za siebie nie możesz – syknęłam, rozglądając się na boki.

Wokół nas nie było nikogo.

– Grasz złotymi.

Bo rzeczywiście lampiony dzieliły się na dwie frakcje. Monstrualne niebieskie maryje błyskały groźnie elektronicznymi światełkami we wszystkich kolorach tęczy. Na planie krzyża ustawiono za to pękate serca z rozciągniętą do granic postacią jej syna.

– Jak zablokujesz Królową Polski, to będziesz prowadzić, pojedziemy stąd w cholerę i w bonusie dostaniesz mapę, która nie istnieje.

– Co?

– Nie interesuj się, gówniarzu. To co, grasz? Czas ucieka, Jezus czeka! – Postukał czerwonym już od zimna palcem po nieszczęściu.

Ustawiliśmy się po obu stronach. Tata podwinął rękawy watowanej kurtki, ja zdjęłam rękawiczki.

– Jak przegram, to możesz prowadzić naszą srebrną furmankę w drodze do domu. Bo do księżniczki i tak pojedziemy – powiedział.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Zaczynała drużyna królowej. Pionki Chrystusa Króla miały, jak się okazało, dodatkowy walor. W rytm monofonicznej melodyjki z pogranicza pieśni *Anielski orszak niech twą duszę przyjmie* i *Saturday night fever* ciężkie szkło z ekshibicjonistycznym napisem: JEZU, UFAM TOBIE!!!, zazgrzytało o kamień ostatniego miejsca spoczynku Tadzia. Konspiracyjne starcie miało oczywiście tylko nas za widzów. Kto inny mógłby pomyśleć, że reorganizujemy układ dekoracji, bo diametralnie zmieniła nam się koncepcja. Rozgrywka prowadziła rzecz jasna donikąd, bo zapomnieliśmy ustalić zasady.

– Dobra, nudzi mi się i zimno w uszy – burknął. – Niech będzie, że remis.

Zawsze przerywał, gdy było widać, że zaraz przegra.

To nie tak, że nie jest religijny. Na coś bardzo czekał. Tydzień w tydzień wsiadał w samochód i jechał z jednego końca miasta na drugi, do kościoła na górze, chociaż jeden miał pod domem. Mówił, że to najlepszy gotyk w mieście. Kiedyś może tak. Teraz kuł w oczy jadowitym fioletem zestawionym ze złotem, zielenią i niebieskim. Nie wspominając już o makabrycznych wzorach kolumn i sklepienia, odmalowanych od tego samego krzywego szablonu. Tak jakby zabytek z XVI wieku stał się kolorowanką dla wesołych malarzy pokojowych, których odrzuciły wszelkie możliwe galerie. Zazwyczaj kończyli na deptakach w Mielnie czy Łebie, z dredami, skrzynką sprejów i garnkiem, tworząc obrazy galaktyki przed turystami ze ściekającymi po nadgarstkach lodami soprano. Takich przypadków znam aż za dużo.

Przez kilka lat jeździłam z nim. Razem siedzieliśmy, staliśmy, padaliśmy na kolana i ściskaliśmy sobie ręce. Albo chociaż próbowaliśmy, bo znak pokoju kończył się gonieniem jego ręki, a zawołania podrywające ludzi z ławki przedrzeźniał piskiem spoza oktawy.

Domorośla kartografia, odcinek pierwszy

Przypominam, że wygrałam mapę miejsc, które nie istnieją.

Wracając do auta, zatrzymaliśmy się przy ogrodzeniu z drucianej siatki. Obok bramy z zardzewiałych prętów stał grobowiec gigant, charakterystyczny dla tej szerokości geograficznej i kilku dni z kalendarza liturgicznego. Zapach mokrej trawy z łąki mieszał się z dymem spalonych knotów, białym woskiem i cieniutkim plastikiem z wkładów. Na nagą ziemię, rozoraną obcasami, trzewikami i chyba nawet jednym glanem, jak sugerowałyby odtajane podłoże, wylewał się miraż poliestrowych kwiatów o posiepanych krawędziach. Sztuczna flora oplatała się wokół nadpalonych twarzy świętych na szkle. Pięła się po terakotowych naczyniach: kopających zniczach nowej generacji, krzyku ekologicznej mody. W masie suchych róż, chryzantem i wyjątkowo doświadczonych przez kurz poszarzałych piwonii i gerber było więcej pomysłu niż w barwnych konstelacjach grobowych. Gdzieniedzie wiły się jeszcze błyszczące wstążki.

Podobnych wstążeczek używa babcia do pakowania wszystkiego: ptasiego mleczka w białym papierze, dwóch dych w kopercie, kawy dla ciotki Misi, lalek o przerażających twarzach dla kogoś pod ręką, kto nie ukończył jeszcze dziesiątego roku życia. Wszystko przepasane połyskującą wstążką, uformowaną w gałganek. Czasem dodawałyśmy pakunkom artystycznego sznytu we dwie. Babcia trzymała dane zawiniątko, a ja z pasją sunęłam po napiętym tworzywie końcówką nożyczek dla efektu gustownej spiralki. Stawiam ostatni kisiel w proszku, że miała w kieszeni ze dwie takie szpulki jako podręczny zestaw ratunkowy dla nagrobnych kompozycji kwiatowych.

Te, które wystawały z kontenera, zdążyły się już rozprostować.

– Gadżetów tyle, co przy obozowej rampie – zagadnął wesoło ojciec. – I po co produkować tego tyle, przecież nikt tego nie przerobi, a śmierdzi po zużyciu okrutnie.

W mniej niż ułamku sekundy zobaczyłam, jak podpalił kawałek płatka teleskopową zapalarką. Tryumfalnie spojrzął na mnie, kiedy spłowiła od słońca niby-róża pofałdowała się i zwinęła w stopioną od żaru bryłkę.

Rozejrzał się posępnie dookoła, schował ręce do kieszeni, żeby zaraz wyjąć je i skrzyżować na piersi. Ale nie tak, jak miał to w zwyczaju, kiedy nie posprzątałam w moim pokoju, ale tak, jakby stał na balkonie w najbardziej mroźny wieczór, tylko w krótkim rękawku. Spojrzałam pytająco.

– Ja nie chcę tu skończyć, dobrze? – zwrócił się do mnie zupełnie serio.

– Chodźmy już – powiedziałam i obróciłam się na pięcie.

Potrafię wyobrazić sobie dużo końców. Tego akurat nie.

Wsiadliśmy w końcu do samochodu. Właściwie to ja wsiadłam. Ojciec wsiadł, potem wysiadł, otworzył bagażnik i zniknął gdzieś. Czyli poszedł robić zdjęcia.

Z aparatem nie rozstawał się. Rzadko pokazywał to, co zrobił. Na pewno miał dobre oko. O ile instytucja fotoksiążki pozostaje szalenie dyskusyjna, o tyle same jego prace były kompozycyjnie bez zarzutu. Lubił kontrasty, najdurniejsze portrety z zaskoczenia i pocztówki z miejsc, które nie istnieją.

Uwielbiał też widokówki. Ja wołałam ryciny. Mówił wtedy, że przecież ryciny nie są naprawdę, więc czym się tu podniecać. Stare fotografie! To jest coś! Odkąd odkrył ebaya i inne zagraniczne portale aukcyjne, nic nie było już jak dawniej. Co jakiś czas dostawałam maile: POSEN 1932 POKAŻ TAM SWOIM, BROMBERG 1913 DZISIAJ DWORCOWA, NIE WIEM, ALE NA PEWNO 1943, bo skaner do negatywów i zdjęć kupił już wcześniej. Przed bodaj trzema laty zaczęła się akcja-digitalizacja moich fotografii z wanny, z łóżeczka, z Biskupina, Sarbinowa, balu przebierańców, ospy i wyrywania zęba na nitkę i klamkę. No i widokówek, rzecz jasna.

Zbliżał się do auta.

– Upolowałem krowę. – Skinął podbródkiem na leniwe, buchające parą na przymrozku zwierzę tuż za cmentarzem.

– Co z tą mapą?

Wsiadł, zapadł się w fotelu, zatrzasnął drzwi i kazał mi sięgnąć do schowka.

– Będziemy szukać naszych Niemców i kilku błyskotek – zapowiedział z dumą.

Wyciągnęłam polepiony skoczem plik o zawrotnej grubości. Zaczęliśmy rozprostowywać razem harmonijkę kolorowego papieru z poprzyklejanymi wydrukami miniaturowych czarno-białych zdjęć. Płachta ledwo mieściła się od drzwi pasażera do drzwi kierowcy, a rozłożyłam tylko dwa górne panele.

– Moje mapiszcze. – Zadowolony stuknął lekko w papier na wysokości kierownicy.

I tu dopiero zaczęła się zabawa.

– To jest saga rodu. – Uczynił gest, jakby zapomniał, że nie jest w pracy, a ja nie mam tyle gotówki, żeby kupić od niego cię żarówkę.

– Za cienkie na sagę – odparłam przytomnie.

Przewrócił oczami.

Mapa na pewno miała rozmach. Co do zasady była ośmioma arkuszami papieru kancelaryjnego w kratkę, zadrukowanymi obrazem rzeczywistej mapy z 1938 roku i starannie posklejanymi przezroczystą taśmą.

Najciekawsze były wszystkie przeróbki. Teraz było jasne, skąd wzięło się jego nagłe zainteresowanie kolorowymi cienkopisami kreslarskimi i wcale nie tak kompulsywne pożyczenie mojej laminarki. Zielonkawa mapa tylko w części odwzorowywała teren. Granatowy tusz wyznaczał dawną granicę niemiec-

ką. Gdzieniedzie papier został gęsto pokryty pismem technicznym. ROGOWITZ pyszniło się czernią atramentu. Niebieskie milimetrowe krzyże rozsiały się po lasach.

To jedna warstwa. W kilku miejscach nakleił powleczone folią zdjęcia. Weranda, dziecko z pluszowym misiem siedzące na skromnym nagrobku, dwoje starców na ławce: za nimi jakaś ewangeliczna scena w rzeźbionej ramie, na kolanach tulipany. I twarze. Mnóstwo twarzy, których nie znam.

– Tu są miasta, po których nie ma śladu. – Wskazał na czarne literki w nawiasach. – Tu te, które są, ale nazywają się inaczej. Tędy szła rzeka, a tu prababka miała gospodarstwo. – Stuknął najpierw w zdjęcie wyniosłej kobiety z woalką, a potem na szkarłatnego iksa.

– Tu będziemy szukać skarbu.

– Jakiego znowu skarbu?

– Słoika z biżuterią – rzucił z zadowoleniem, bo wiedział, że zrobi wrażenie. – Mama mówiła, że kazali jej zakopać, zanim się zacznie.

Zsunął mapę z kolan, dając znak, że teraz moja kolej na bliższe oględziny. Rozmowa została na tę chwilę zakończona.

Lubił suspens. Musiał przecież pracować nad materiałami kilka lat. Zawsze czytał książki *non fiction*, nie ufał powieściom. Co weekend spędzał czas na konsultacjach pomysłów z kanałami historycznymi i okołozagładową bibliografią, więc najwyraźniej umknął mi poboczny projekt archeologiczno-sensacyjny.

Nie nawykł za to do dzielenia się niczym, co dotyczyło tylko jego. Gdy to już robił, wiadomo było, że coś jest na rzeczy. Zawsze zastanawiało mnie, czy to przez rodzeństwo. Wyobrażałam sobie, że był powściągliwym dzieckiem, aż do granic. Że po domu chodził wyprostowany. Irytowała go młodsza siostra, Anna, no i starszy brat, Franek, też. Stawał przed meblościanką w milicyjnym mieszkaniu z przydziału, otwierał szafkę i składał ubrania równiutko. Co do centymetra. Czasem Ania zakradała się i specjalnie wykrzywiała jego misterny stos.

Zaciskał tylko usta, wyjmował koszulki i zaczynał od nowa. W szufladzie obok trzymał bruliony powyklejane wycinkami o II wojnie światowej. Kolorowe papierki po gumach prasował przez ścierkę i składał w drewnianej szkatułce, kupionej na wycieczce w Zakopanem. Sprawiał wrażenie, jakby po prostu czekał na tę całą dorosłość, pracę i życie na własny rachunek. Czternastolatek z walizką równo złożonych ubrań, gotowy do wymarszu.

W tamtej chwili siedział koło mnie, emanując swą wstydliwie dziecięcą przekorą. Trochę mu zazdrościłam. Doszło do oszustwa: dorosły już jest. Tymczasem ktoś musiał przypilnować, żeby się nie zgubił, chociaż ma prawo jazdy, w przeciwieństwie do co niektórych. Ktoś musiał być złym policjantem, gdyby coś poszło nie tak. Ktoś też chciał znaleźć skarb i wysłuchać opowieści śmiesznej treści. Padło akurat na mnie.

– Chcesz kopać teraz? – zapytałam z powagą, dając do zrozumienia, że nie mam nic innego, oprócz determinacji.

– Nie, no co ty. Najpierw księżniczka i wykład inauguracyjny. Za mało wiesz, za dużo chcesz – rzekł tonem mędrca. – Wracamy do pałacu ciotki Misi.

W tej samej chwili pozwolił, żeby frontman R.E.M. zapytał z siłą grającego na cały regulator radia, czy człowiek rzeczywiście był na Księżycu. Nasze zdania pozostawały tu podzielone.

Agnieszka Budnik:

Zdrapki są powieścią rozwojową z wątkami przygodowymi. To historia relacji ojca i córki osnuta wokół wspólnych wyjazdów na groby, wykładów ojca o historii polsko-niemieckiego pogranicza i ripostach córki, dla której ważniejsze jest samopoczucie taty niż pamięć o przedwojennych korzeniach szlacheckich. W trakcie akcji powieści okazuje się, że mania dokumentowania jest próbą ucieczki od przeżycia żałoby po śmierci pierwszego dziecka i późniejszego rozvodu. Każdy napotykanym przez dwójkę bohaterów przedmiot z przeszłości jest punktem wyjścia do rozmów, sprzeczek i starcia perspektyw: historyka i estetyki. Narracja jest prowadzona z punktu widzenia córki: jednocześnie przyjaciółki ojca, ale także kobiety, która sama wyszła już za mąż.



Rekomendacja organizatorów kursu

Marta Hermanowicz | *Koniec*

W tej gęstej, obsesyjnej prozie przenikają się warstwy pamięci, emocji i tożsamości. Marta Hermanowicz jest autorką utalentowaną, osłuchaną z językiem, a budowanie scen i historii przychodzi jej wręcz naturalnie. Gęsta narracja i dynamiczny, momentami nieprzewidywalny język to atuty tej powieści, tak samo zresztą jak i odwoływanie się do zjawiska postpamięci oraz dziedziczonej traumy wojennej.

Paweł Goźliński

Koniec

I

Moje ciało jest ósmioma hektarami czarnoziemiu chrobrowiczowskiego, ziemią wołyńską krwią i gównem nawożoną, użyżnianą plwocinami parobka, ale tylko wtedy, kiedy pan nie widział, a potem wysoko trzymającego podgardle, proszące się o nóż tak długo, aż wywożony do łagru pan zobaczył. Wyrosły szerokie biodra, pierś rwąca, żal nie potraktować płodozmiannem, ale ja nie urodzę, bo człowiek, tak samo jak do dawania życia, został stworzony do śmierci. Noszę w sobie zadanie domowe. Oto mój posag – nóż i gaz pieprzowy. Miotam się. Jestem miotaczem ognia.

Idę ulicą i widzę was więcej, niż wy mnie widzicie. Każdy z was jest oprawcą. Wiem. Do czego zdolni jesteście. Typuję, kolejno odlicz. Szabrownik, podpalacz, donosiciel, gwałciciel, złodziej. Wśród narodów świata. Wśród nocnej ciszy. Wstańcie, szubrawcy, Bóg się nie rodzi. Powiedzcie tym, którymi nawożono ziemię, że dobro zawsze zwycięża. Podobno w każdym z was tli się iskierka, że tak samo jak do mordów, zostaliście stworzeni do dobra i prawdy. W podręcznikach znajdziecie rzeźby bohaterów, herosów, zdekompletowane, po dekapitacji. Daty bitew, eksterminacji. Noce długich noży, noce bezgwiezdne, kiedy krew wcale nie ukradkiem wsiąkała w ziemię. To, co żeście uczynili najmniejszym, uczyniliście w milionach, miliardach. Uczyniliście na głos. Przy zapalonym świetle. A liczby stapiają się, wędrują coraz głębiej, gasną i cichną; rzymskie, arabskie, stworzone do liczenia chleba i ciał wroga. Też mam swoje liczby. Jestem podzielona. Składam się z pięćdziesięciu dwóch zakątków, jeden ciemniejszy od drugiego. Nie wiem, czy jestem żywa, czy umarła, przykryjcie mnie ziemią. Miotam się między wtedy i teraz, stara dusza, niewypał z czasów wojny, dziecko relikwii przeszłości.

Próbuję złożyć się w całość. Bóg mną rzucił, nie trafił do celu. Teraz trzeba się pozbierać z podłogi, wstać, otrzepać, dotrzeć gdzieś, zrobić coś, marsz, marsz, Dąbrowski. Zjeżdżam w połowie życia schodami ruchomymi na peron trzeci piekła, krąg pierwszy. Patrzę na ludzi objijających się o siebie w sobotę o czwartej czterdzieści rano, o czwartej czterdzieści w nocy osiemnastego lipca dwa tysiące osiemnastego roku bezpańskiego. Zawieruszeni na Centralnym, próbują wsiąść do właściwego wagonu. Tłum napiera na Konopnicką z Wrocławia do Lublina, na Słowackiego, Mickiewicza, Orzeszkową. Jak nazywał się pociąg bydłęcy relacji Wołyń–Syberia, może Dostojewski albo Tołstoj? Ludzie z bagażami, przygotowani w lipcu na środek zimy, wracają do peryferyjnych matek; matki ulepiły pierogi, nagotowały rosół. Przywitają dzieci w drzwiach, powiedzą, zmęczyła cię ta stolica, nie wyjeżdżaj w niedzielę, zostań na chwilę. A potem i tak dzieci uciekną, między domem rodzinnym a stacją wypalą kilka papierosów, na głębokim wydechu zajmą w pociągu miejsce przy oknie, pod nogami ukrywając zapasy zapakowane w szkło i gazety, wrócą do Warszawy, znowu zgubić się, rozpaść, rozproszyć, rozpaść na kawałki.

Wszystkie pociągi jadą dziś w przeciwną stronę. Nowa Sól, konduktor rozkłada ręce, rozkład się zmienił, gdzie to jest, nie wiem, nie znam, głuchy telefon, nie ma, nie ma takiego numeru. Może nie ma takiego miasta, może z wtorku na środę przesunęli granice i powinnam wracać na Wołyń, do osady Chrobrowicze. Może tam leży Lotka, a nie w szpitalu w Nowej Soli na ziemiach odzyskanych, ale nie dla niej, ona niczego nie odzyskała. Gdziekolwiek jest, Bóg jej nie widzi. Gdziekolwiek jest, i tak jej nie poskładają. Wychodzę. Wsiadam, przesiadam. Na Zachodnim kolejki. Staję na końcu. Oddycham spalinami autokarów, zeszły się brzydko, jeżdżąc w kółko. Ktoś się drze, zimne piwo, gorąca herbata. Ktoś oblewa się wrzątkiem, zachciało się kipiłatku, będzie blizna wielkości Związku Radzieckiego na miarę tej Gorbaczowa. Stul pysk, ktoś woła. Czto goworisz, czto. W pizdiet. Wszystko się miesza. Dobrze trafiłam. W autokarze znalazło się ostatnie miejsce, jeszcze tylko parę godzin i będę gdzieś w lubuskim, w okolicy Nowej Soli.

Lotko, jadę do ciebie jadem. Jadę niechcący, przez przypadek. Upada się też przez przypadek, teraz obie to wiemy, byłaś jedną z moich umarłych, wtedy nie wiedziałam, odcinałam cię kawałek po kawałku ze zdjęcia rodzinnego, ty robiłaś to lepiej, nie żyłaś od dawna. Autokar zatrzymał się w tunelu pod Wisłą, właśnie teraz mógłby wybuchnąć pożar, równocześnie pod ziemią i pod wodą, nikt by się nie uratował. Dwa dni jazdy stąd Syberia płonie. Pożar widać z kosmosu. Bóg widzi dobrze, dobrze się bawi, cztery i pół miliona hektarów. Może to on zaczął, krzew gorejący, niech się pali, niech spłonie w cholerę. Po twoje osiem hektarów czarnoziemiu nawet się nie schylił, wysłał parobka w zastępstwie. Bóg nic nie obiecywał synowi, co zawisł za grzechy wszystkich, jeden za wszystkich, wszyscy za nikogo, czemu miałby coś ci obiecać. Kto we mnie wierzy, żyć będzie wiecznie, a więc może być gorzej. Ludzie uczepili się życia wiecznego jak muchówka szamba, dwa tygodnie kwarantanny w czyszcju, potem fajrant, Boże, to właśnie moje piekło. Bóg Ojciec każdego potraktuje z buta: słup soli, zabójstwo, siedem chudych lat, śmierć bydła. Boże! Coś Polskę, myślenie życzeniowe, jedenasta plaga.

Autokar wyjechał z tunelu, wszyscy żyjemy, co za nieszczęście. Matka dzwoniła, nie odebrałam, ile można odbierać dobrych rad o sprzątaniu metodą Macondo albo Komari, wszystko zwinięte w rulonik, sweterki ułożone w origami, mieszkanie to talerz z sushi, toaleta to miseczka do płukania palców, zaraz się w nią wyrzgam, wciągnęłam kreskę przed wyjściem z mieszkania, a w autokarze duszno od palonych do samego filtra papierosów, kupionych tanio przez szwagrów. Kierowca skrzeczy przez szczekaczkę, zaraz będzie przystanek, a ja zjeżdżam do własnej zajezdni, już mnie podgryza pięćdziesiąty drugi zakątek. Obok siedzi chłopaczek, opluł się, próbując rymować, jak sprząta pod Warszawą łajno arystokratycznych koni. Częstoował ciastkami, nie chciałam, od dziecka nie jem słodczy, tak, dlatego taka szczupła, odpowiadam, tabletki nasenne poszły w cycki. Nie chcę go słuchać, powtarzam wyraźnie, milknie dopiero za trzecim razem. Matka wczoraj zadzwoniła, babcia upadła, leży w szpitalu. Też wtedy leżałam, Er zostawił mnie i białe gówna na stole. Rulonik ze stowy zwinęłam tak, że nic nie odstawało,

mama byłaby dumna. Wkopało mnie pod ziemię, zawsze tak jest, gdy sprząta się proszek samemu i na smutno. Spałam cały dzień, obudził mnie dźwięk wiadomości od matki. Wyrwać się, uciec, choćby do miejsca, z którego uciekło się wcześniej.

Za cztery dni kończę trzydzieści sześć lat, przypadek, że żyję, przypadek, że jeszcze. Dorobię się garba, nie chcę, ale już szuram jak Lotka, najpierw idzie głowa, ociężały zwiadowca, dopiero za nią na smyczy wlecze się reszta. Może kręgarz pomoże, nastawi, od początku ułoży, nawet te rwane w nerwach słowa, głos przekraczający wschodnią granicę podczas pierwszych spotkań. To nie mój głos, ja nie mam swojego głosu. Nic nie mówię, mam splątany język. Jestem kłębkim nerwów z niewybrednym akcentem.

Zesłam z oczu na nie swoich warunkach, uciekłam. Nie ja jedna. Autokary i pociągi są przeładowane jak bydłące wagony w czterdziestym. Trzecie pokolenie ucieka do Warszawy z ciężkimi plecakami, wypchanymi słojami z sercami matki. A potem jęczą w kolejkach do kasy, jak wrócę do domu, to najem się w końcu prawdziwego chleba. Najlepsze u mamy.

Słońce zaczyna palić szyby, wysycha mi gardło, nie wzięłam nic do jedzenia, znajduję w plecaku przyklejone do lisiej czapy resztki kanapki. Kierownika, krzyczą, kierownik się w końcu zatrzyma. Kierowca skręca na stację. Nadgryzam kawałek, zbieram się do wyjścia. Tankują do pełna, autokar i podróżni. Stoję z boku, wbita w ziemię, palę papierosa i piję red bulla, dwa w cenie jednego, moje ulubione śniadanie. Zimno, chociaż środek lata, wracam po sweter. Może lisie czapy też powinnam włożyć. Ludzie posklejani w kupki, wymieniają się zużytymi myślami, kto gdzie mieszka, pracuje, ile zarobił, kiedy wraca, nie, nie wróci na stałe na koniec Polski.

Wolałabym zasnąć, stajenny nie pozwala. Chrząka, kotłuje się w fotelu. Wzięłabym tabletkę nasenną, ale nie chcę obudzić się w mieszkaniu kierowcy. Jedzie w wygniecionej białej koszuli w czerwone paski, robi za flagę, wydmuchuje zawartość łba do chusteczki, rzuca nim o podłogę. Wokół pola, małe domy, małe demony, suniemy, blaszany koń trojański z szemranym ta-

chografem. Telefon wydaje z siebie dźwięk, wiadomość od matki, która pyta, czy będę. Nigdy mnie nie było.

Książki mówiły więcej niż dorośli, głośniej. Wpadały z rąk i uderzały o podłogę, otwierały się na zdjęciach umarłych. Mój pokój sprawdzał się jako przechowalnia, małe dziecko nie potrzebuje wiele miejsca, samo jest meblem, można je przestawić z podłogi na krzesło, z krzesła na łóżko; w szafach upchano rzeczy po poniemiecką porcelanę, ubrania po dziadku, kilka sukienek po prababci, wszystkie w dzikich kolorach, podręcznik medycyny sądowej wypełniony zdjęciami topielców, ofiar wypadków, uduszonych, powieszonych, zamordowanych, pociętych. Album rodzinny, tak o nim myślałam. Rysowałam wokół zdjęć ramki i słoneczka, dodawałam fryzury i wąsy, ubrania podobne do tych z szafy, a gdy robiło się zimno, ocieplane futrem płaszcz. Wymyślałam krewnym historie, zawody, ulubione kolory i potrawy, a nawet wyjaśnienia, dlaczego jeszcze nas nie odwiedzili. Wujek, dziadek, pradziadek, kuzynki, ciocia. Wyjechali w podróż na koniec świata, ale wrócą, za chwilę, autokarem, zwykły samochód ich nie pomieści. Usiądziemy przy stole, będzie trzeba pożyczyć krzesła od sąsiadów, nasze trzy nie wystarczą. Może to oni. Może to wszystko przez umarłych, a nie przez babcię. Może zarazili mnie czymś, co czekało między kartkami podręcznika, alergią na życie, ostrym stanem zapalnym. Chciałam być taka jak oni, martwa, ale nic w tym dziwnego, dzieci na ogół są podobne do kogoś z rodziny.

Byłam ciałem żywym chwilowo, żywym za wszystkich, potem coś mnie dopadło, odkleiło, poluzował się jakiś trybik, mechanizm przestawił się, skończyło się wyuczone: proszę, dziękuję, skończyło się: jakie piękne grzeczne dziecko, nikt tak jak ono nie umie przeprosić, kręciłam się w niewłaściwą stronę, siadałam na zimnej podłodze w kuchni, nałóż skarpetki, Malwinko, kotku, kochanie, dziecinko, skarbenku, bój się Boga, ręce w temperaturze podłogi przenosiły mnie na dywan przed telewizorem, obejrzyj sobie pszczołkę, nie krzycz, srocza kaszkę warzyła, dzieci swoje karmiła, aaa, kotki dwa. A potem zimne ręce zabierały moje ciało na kanapę, nakrywały ciężkim kocem

złożonym na pół, zbyt sztywnym, by utulić i podtrzymać sen. Śniłam tuż pod powierzchnią, wyrzucało mnie ponad taflę, budziłam się i łapałam poniemieckie powietrze, wilgoć ciągnącą do ziemi. Może to wszystko z braku tlenu, a nie przez babcię.

Wszystko przez babcię, powtarzałam swoje pierwsze zdanie. Nie wolno, tłumaczyła mama, ale nigdy nie zaprzeczyła. Bo przez babcię Lotkę było wszystko, mokre łóżko, brzydka pogoda, upadek podczas zabawy, obszczekanie przez psa. A ona nazywała mnie dzieckiem zepsutym, przeterminowanym, jakimś takim radzieckim. Dziecko, bój się Boga, ledwo zaczęłaś mówić, a już zaciągasz wschodem, przecież w rodzinie nikt tak nie mówił, prababcia pochodziła z Zamościa, pradziadek z Puław, a język spłaszczyl się po wojnie, przejechał po nim czołg, rozstrzelał za śpiew, teraz nie ma o czym śpiewać, chyba że ktoś chce o wyrobach czekoladopodobnych.

Szarpałam się bardziej niż pies na łańcuchu; podobnie jak poprzednicy nie dostał imienia, był tylko żywym, domowym inwentarzem. A ja półżywym. Można było mnie przełożyć, płacz nie działał, babcia nie takie rzeczy słyszała. Bardziej ją denerwowała cisza. Schowałam się przed babcią kiedyś do szafy, dusznej od zapachu nienoszonych kolorowych sukienek. Wróciła ze sklepu, nie potrafiła przeżyć dnia bez drożdżówki z serem. Nie sprawiła mi oczekiwanej zabawy, nie wołała: hop, hop, a kuku, pomyliłam ją z babcią z podręcznika umarłych. Przez drzwi szafy słyszałam ciężki oddech, coraz szybszy, głośniejszy. Szurała z pokoju do pokoju. Wskoczyłam z szafy, krzycząc: niespodzianka. A ona odpowiedziała, że żadna. Wyszła do kuchni, nie odzywała się do końca dnia, jedyną zmianą była drożdżówka; zjadła ją dopiero, gdy zrobiła się czerstwa.

Wychodziła wieczorem, kiedy mama wracała z biblioteki. Fajrant, mówiła, jakby kończyła pracę. Mnie inwentarz można było odłożyć, byle nie do szafy, tam zaginę, wyskoczę w nieodpowiednim momencie. W drzwiach wymieniały się uwagami, znowu pada, znowu ziąb, wiatr zacina, pierdolona Polska. Szła na autobus pół godziny przed odjazdem, bała się, że nie zdąży. Pozostawione w przedpokoju czapka i rękawiczki nie były w stanie jej zawrócić. Sąsiedzi mówili, widzieliśmy Lotkę, siedziała na

przystanku, trzęsła się z zimna; mama odpowiadała, babci zawsze zimno, nawet w najupalniejszy dzień lata. Marznie w czapce, bez czapki, żadna różnica.

Kiedy Lotka znalazła mój podręcznik umarłych, postraszyla ojcem, a ja zsikałam się pod stołem w kuchni. Stała wtedy bez ruchu i wgapiała się w kałużę na nierównej, wyszuranej podłodze. Kazała iść do pokoju. Siedziałam w mokrym ubraniu do wieczora. Nie powiedziała ojcu. Do czasu jego przyjazdu zdążyła zapomnieć. Wracał późno albo wcale, bezimienny pies szczekał na niego, chociaż różnili się tylko tym, że jeden z nich miał łańcuch i kaganiec. Budziłam się, gdy zjawiał się w domu, powstrzymywałam się przed przywołaniem mamy, wołałam pozostać niewidzialna. Wychodził, gdy świtało. Zostawiał po sobie popiersia ludzi nieżywych, obrazy z grubymi panami w koronkach, które nazywał portretami przodków. Mama upychała graty ojca w moim pokoju. Ich nie kolorowałam, trzymałam się z daleka od jego umarłych.

Po wyjeździe ojca mama robiła przemeblowanie, przesuwiała ciężkie szafy w pokojach, nic z nich nie wyjmowała, szkoda jej było czasu, wołała tracić go na nerwowe masowanie sztywnego karku, może to już, może tym razem coś pękło, odwiedziłaby lekarza, ale jedyny, któremu ufała, od dawna nie żył. Wchodziłam do pokoju i nie wiedziałam, gdzie będzie stało moje łóżko. Przyszłość była niepewna, obawiałam się, że po kolejnym przemeblowaniu mój pokój zostanie przydzielony komuś innemu. Może chciałam zniknąć przez mamę, a nie przez babcię. Na zapas. Na wszelki wypadek.

Czasem ktoś pukał do bramy, dzwonek nie działał, nie było komu i po co naprawiać. Dzieci sąsiadów z Koniec trzy wołały: Malwina, Malwa, a ja biegłam do nich tak szybko, że bezimienny pies na łańcuchu nie mógł mnie dogonić. Babcia podchodziła bez pośpiechu, a ja za każdym razem wierzyłam, że wpuści gości. Nie, odpowiadała, patrząc na niedomyte buzie dzieciaków. Nie chciała bałaganu, przekonana, że najszczęśliwsza jestem zasikana pod stołem w kuchni. Przebrzydła babcia, mówiłam, wszystko przez babcię. Listonosza wyczuwała od razu, kątem wadliwego na minus pięć oka potrafiła zauważyć skrawek niebieskiej czap-

ki z przetrąconym orłem, wynurzającej się na sekundę zza obdrapanej z zieleni bramy. Poznawała go po szczekaniu psa, bardziej zaciekle. Przychodził co kilka miesięcy z rachunkiem za wodę, a dwa razy do roku tuż po świętach z kartką z Jezusem w dziecięcej lub martwej postaci w towarzystwie brytyjskiej królowej na znaczku zawsze w innym kolorze i z tymi samymi życzeniami, miejsca nie zmieniał nawet przecinek. Wesołych Świąt życzy Tadek z rodziną. Tak oto kontaktowali się ze mną moi umarli. Ale raz pan z poczty przyszedł dwa tygodnie po dostarczeniu rachunku za wodę, w czerwcu, nawet Jezus nie może aż tak opóźnić swojego przyścia w chwale. Drożdżówka z serem tamtego dnia nie poszła na marne, babcia dostała szwungu, kalorie paliły się jak stodoła, kiedy leciała przez ogród jak Olga Bondarienko na trzy tysiące metrów. Listonosz, nie mniej zaniepokojony, wręczył paczkę owiniętą w szary papier, poszarpany niedbałością lub zniecierpliwieniem, podstemplowaną po angielsku, zaadresowaną odręcznie na nazwisko babci i Koniec dzieś. Listonosz obskakiwał babcię jak kocur w zalotach, a ona odsuwała się, niechętna bliższym kontaktom. Wzięła paczkę pod ramię i zatrzasnęła bramę. Pocztowy musiał stać pod ogrodzeniem jeszcze dłuższą chwilę, bo pies dostał od ujadania piany. Wróciła do domu, położyła pakunek na stole. Chodziła wokół niego, zmieniając wydreptane ścieżki. Pytałam, co to za paczka, zdawała się tego nie słyszeć; słuch miała dobry tylko wtedy, gdy potrzebowała. Zdecydowała się otworzyć pakunek dopiero, gdy wróciła mama. Sięgnęła po nóż z szuflady, wykonała cesarskie cięcie, dyplomowana w bólach położna. Papier wrzuciła do piecyka, ogień go pożarł. Mama otworzyła pudełko. Wypadło z niego futro. Babcia syknęła, martwe zwierzę milczało, sierść i kurz rozniosły się po kuchni, zdawały się wisieć w powietrzu, grając na zwłokę. Zaraz potem z pudła wygramolił się brat bliźniak. Do każdej czapy szpilą ze szklanym niebieskim łebkiem doczepiona była karteczka. Mała i krzywa. Na jednej widniał napis: Lotka, na drugiej: Ula. Moja babka i matka. Oba kreślone drżącą ręką, podobne do pisma dziecka. Nie becz, powiedziała babcia. Obracała w ręku liniejącą czapę, przekładała ją z miejsca na miejsce jak garnek ze zjełczałą zupą. Zamknęła w komodzie, wyjęła, włożyła do szuflady. Nie wiadomo, gdzie to położyć, mrucała.

II

Rozpadałam się tak, jak rozpadał się nasz dom na Koniec die-
sięć, jeszcze przed moimi narodzeniem. Ze ścian odlatywał
tynk, płot próchniał, drzwi domykały się dopiero po mocnym
trzaśnięciu, schody skrzypiały. Być może dałby się naprawić,
ale nikt się do tego nie garnał. Mama i babcia nazywały dom po-
niemieckim, chociaż Niemcy opuścili Nową Sól czterdzieści lat
wcześniej. Wyjeżdżając, zabrali wszystko z wyjątkiem porcelany;
musieli wiedzieć, że w trakcie podróży delikatne rzeczy rozpa-
dają się na kawałki. Budynek nie był remontowany, najpierw ze
strachu, że Niemcy wrócą, a potem z przyzwyczajenia; pęknięcia
na ścianach stały się niezauważalne, podobnie jak niesłyszalnie
trzaskały drzwi. Ostatni. Bez możliwości wyboru, za to z pocało-
waniem ręki. Miał być schronieniem. Nie kryjówką. A prabab-
ka myślała, że wraca do domu z malwami w Chrobrowiczach
na Wołyniu, gdzie co trzy, cztery lata w lutym lub marcu rodziła
dziecko. Lubiała, gdy wszystko się powtarza, uchyla szczelinę ta-
jemnicy istnienia. Nikt poza nią nie chciał wracać do pierdolo-
nej Polski. To tylko na chwilę, wmawiała córkom. Jedna trzaska-
ła drzwiami, druga milczała. Ta druga to moja babka. Wszystko
przez babcię.

Przeprowadź się do mnie, chociaż na chwilę, mówiła bab-
cia do matki, co tam będziesz sama siedzieć. Ja się nie wlicza-
łam półżywy inwentarz. Sprzedać dom na Końcu, powtarzała,
najlepiej sprzedać. Lato zbliżało się do moich siódmych uro-
dzin, wiatr pachniał konwaliami i końskim łajnem, cieszyłam
się, że idę do szkoły. Nie mogłam doczekać się podręczników,
sądziłam, że pojawią się w nich nowi umarli. Mama przeniosła
moje papiery z jednej szkoły do drugiej, a potem rzeczy w kilku
starych walizkach. Z Koniec die sięć na Przyszłości osiem. Zo-
stawiła podręcznik umarłych, poniemiecką porcelanę, krzesła,
popiersia rzekomych przodków ojca i tapczan. Nie zabieramy
staroci, obwieściła. Rzuciłam się na podłogę i waliłam w nią gło-
wą. Futrzane czapki zabrała do walizki, widziałam przez palce.
Zasnęłam, obudziłam się odłożona gdzie indziej. Wieczorem
mama próbowała skontaktować się z ojcem, dzwoniła do skle-
pów z antykami, mieszkania jego matki, znajomych. Nikt nic

nie widział, o ile odebrał. Może to wszystko przez ojca, nie przez babcię. Może chciałam zniknąć tak jak on. Zostawiał po sobie uskok koło drzwi, pachnący jak więdnące kwiaty, omijałyśmy go z mamą, nie wspominając. Jeżeli w naszym domu się o czymś nie mówiło, to nie istniało. Chciałam, by o mnie też milczano.

Był koniec lata osiemdziesiątego dziewiątego. Pomieścił nas zwykły samochód, stary i rżący jak kierujący nim facet. Na osiedle Przyszłości, powiedziała mama. Koniec zniknął za zakrętem, teraz czekał na nas początek. Taksówkarz jechał przez centrum po kocich łbach, ponemieckich. Na murach wciąż widniały plakaty mężczyzn w za dużych garniturach, trwających w uścisku dłoni z mężczyzną noszącym za duże wąsy. Skręciliśmy za ceglany kościołem z wieżą, którą łatwo pomylić z fabrycznym kominem, mama powiedziała, że właśnie tu mnie ochrzczono, a ja poczułam dumę, że zdarzyło się to w tak ogromnym miejscu. Wjechaliśmy w Wojska Polskiego, potem w świętej Barbary, mijając targowisko, prawie legalne i nazywane nowosolskim Manhattanem. Nowa Sól, miasto robotnicze, już za czasów Niemców była niekochana i jak na niekochaną przystało, zatruwała życie każdego, kto znalazł się w pobliżu. Usytuowana w niecce, gromadziła dym i zanieczyszczenia z okolicznych, wyżej usytuowanych miasteczek. Niemcom przysługiwały co roku dwa wyjazdy do sanatorium. Po wojnie przesiedlonym Polakom nic się nie należało, z wyjątkiem opuszczonych domów i pracy w fabryce. Ciężkie, ponemieckie powietrze wdzierało się wieczorami przez okna, szczypało w oczy, wędrowało po schodach, by przedostać się na strych i opaść kolejną warstwą kurzu na nierozpakowanych walizkach. Taksówkarz chwilę kluczył w wąskich uliczkach osiedla, mówił, że bloki numerował pijany, nie ma trójki, piątki, szóstki, jedenastki, trzynastki. A ja nie odpowiedziałam, chociaż widziałam. Te brakujące domy należały do umarłych.

Bloki miały barwę ludzkiego mięsa, człowieka świeżo obdartego ze skóry, mama przekonywała mnie, że to kolor różowy. Na schodach zatrzymywałyśmy się na każdym półpiętrze, by zrobić pół przerwy na złapanie oddechu; nie chciała mojej pomocy, niosła walizki sama i wyrzucała z siebie przekleństwa, żeby łatwiej było się wznosić. Sąsiedzi kłócili się, oglądali telewi-

zję, otwierali drzwi, by sprawdzić, kto idzie, szczekali psami. Na drugim piętrze pachniało zatargiem i wódką, na trzecim umytą podłogą, wilgotną sierścią. A na naszym ciastem drożdżowym i pastą do podłogi. Babcia krzyknęła, że otwarte. Wcale nie było. Musiałyśmy poczekać, aż doszura do drzwi i przekręci klucz. Przecisnęłyśmy się do przedpokoju, mama, wzdychając, zrzuciła z siebie pakunki. Babcia zniknęła za zakrętem, z kuchni dobywały się uderzenia pokrywek, garnki grały marsza. Marsz, marsz Dąbrowski.

Nie będziemy spać razem, trzeba zostawić miejsce dla taty, kiedyś przyjedzie za późno z kolejnymi gratami, wyjedzie zbyt wcześnie, ludzie chcą wieszać nowych przodków na ścianach, jest ruch w interesie. Mebel Malwina został przesunięty do pokoju o kilku nazwach: pokój duży, dzienny, telewizyjny, babci. Nie chcę, krzyczałam, wszystko przez babcię. A babcia milczała, nie lubiła dużo mówić, na wszelki wypadek zatkała się drożdżówką z serem, patrzyła, jak walę pięściami w szare linoleum. Wiedziałam, że teraz moja rodzina z podręcznika mnie nie znajdzie; za tydzień, miesiąc przyjadą autokarem na Koniec dziesięć, zaczną dzwonić niemym dzwonkiem w bramie, nawet pies im nie odpowie; mama oddała go sąsiadom, żeby nie zdechł z głodu. Zostałam sama. Wszystko przez babcię.

Już niedługo szkoła, powiedziały. Będziesz w pierwszej b. Babcia zna nauczycielkę, czasem przychodzi do sąsiadki z naszego piętra, pani Stasi. Bardzo cicho rozmawiają o życiu, nic nie słysząc przez ścianę. Takim to dobrze. Albo ma się dzieci, albo czas wolny. Babcia od września miała zajmować się noworodkami w szpitalu, chciała dorobić do emerytury. Mama zaczęła grozić, że znajdzie mi jakieś zajęcie po szkole, a ja nie wiedziałam czy cieszyć się, czy wpaść w rozpacz.

Dostałam miejsce w szafie na zabawki, na półce robiłyby bałagan, duży pokój to przecież część reprezentacyjna, do której zaprasza się gości, hydraulika albo ojca. Telewizor świszczał, pokrywał śnieżną wysypką Sigmę i Pi. Oglądaj, ucz się, ucz, koteczku, instruowała babcia. Ucz się, ucz, bo nauka to złoty klucz. A mi robiło się duszno, głowa pęczniała jak grube kostiumy przybyszów z Matplanety, obijała się o szyby, czyste i wyprasowane.

To dziecko zaraz zemdleje, wyjdź, Malwinko, na balkon. Ponieważ powietrze, właśnie tego mi było trzeba. No i wyszłam, pierwszy raz znalazłam się tak wysoko. Od bezwładu dzieliła mnie tylko barierka pomalowana na zielono. Cały świat u moich stóp chwiał się, zbliżał, oddalał, był Matplanetą, odejmował i dzielił. Rozpadł się na pięćdziesiąt dwie części. Po drugiej stronie blok numer dwanaście. W oknie na czwartym piętrze stała kobieta i dziecko, młodsze ode mnie, pchało się na parapet. A świat jak burta statku, przechyla się w dół i w górę. Zwymiotuję. Utonę albo spadnę.

Bezsensowność. Tylko na jej odwiedzinach pozwalała babka. Spałam od dwudziestej trzeciej do północy, mówiła z dumą, zasnęłam o piątej, wstałam o szóstej. Do snu szykowałam się wedle planu, rozbierała po Dzienniku, zawsze przy oknie przy zapalonym świetle. Brała mnie z zaskoczenia, nie zdążyłam odwrócić wzroku od wyskakujących z fartucha fałdów i sutków, zwisów, zgrubień. Nakładała spraną koszulę nocną, wzdychając, wychodziła z pokoju do łazienki, by zostawić zęby. Stara bezwstydnica. Wszystko przez babcię. A potem zasypiała, świszcząc jak zepsuty telewizor. Na godzinę, dwie w porywach. Spała niespokojnie jak w pociągu, między stacjami otwierała oczy, sprawdzając, czy nikt nie zwinął jej kołdry. Powietrze zatrzaśnięte w ciele unosiło się i opadało, ulatywało, a potem wracało, by przepelnić czarę. A ona znowu je wypychała, wyrzucała z siebie. Najpierw budziło się ciało, przewracało z boku na bok, mlaskało bezzębą szczęką, wyrzucało z siebie jęki. Oczy otwierały się po kilku minutach, błądziły po suficie w poszukiwaniu punktu zaczepienia. Trafiała na żyrandol. Już wiedziała, gdzie jest. Pociąg dotarł na stację. Dopiero wtedy zaczęłam czuć sensowność. A babka błąkała się na pięćdziesięciu dwóch metrach, tak jak błąkała się po domu na Koniec dziesięć, wydreptując ślad po sobie, pomnik z tańszego zamiennika spizu. Obie po swojemu zapadałyśmy w ciemność, zakątków wystarczyło dla wszystkich. W mój sen wchodziło to, o czym śniłaby babcia. Ale nie śniła. Bo nie spała. Nie spała. Bo nie chciała tych snów. Dawała mi je na chwilę do potrzymania. Na przechowanie. Na niemówienie o tym, co się widziało.

Spadnie, mama krzyczy, Halina w końcu spadnie, łeb sobie

ukręci, będzie nieszczęście. Jest koniec lata trzydziestego dziewiątego. Na chrobrowiczowskiej ziemi wyrosło zboże, tak wysokie, że mogą się w nim schować. Konopie są wyższe od Tadka, wyższe od taty. Siedzę na podwórzu z książką, grusza pachnie, Halina próbuje się po niej wspinać, ma trzy lata, a już wyżej ode mnie włązi. Chce zerwać gruszkę, obciera nogi o pień, wierci się jak mszyca. Owoce chyboczą się, chyboczą się nóżki Haliny. Pod oknem rosną malwy, piąte dziecko mamy. Obok w zagrodzie koń kary, wyczesany, jedyny taki w okolicy, przez niego zawsze ojca wołają na pogrzeby. Nadaję karemu różne imiona: Czekoladka, Czarus, Węgielek, Kawka, ale tatko nie chce go nazwać, koń jest koniem, częścią stajni, pługą, wozu, inwentarza. Ruchomością. Elementem krajobrazu sunącym po Wołyniu. Słońce nie potrzebuje własnego imienia, nie potrzebują go malwy. Ojciec ma na imię Henryk. Najmłodszy z całej osady. Z całego oddziału. Bombardier. Piekarz. Ojciec czworga dzieci. Osadnik wojskowy. Przygodny woźnica pogrzebowy. Stworzony do przynoszenia życia i śmierci.

Mamusia chwytą mnie za łokieć, *Moby Dick* ląduje na trawie. Lotka, nie czytaj, od książek dziewczęta tracą urodę. Idź lepiej poszukać ojca. Ona zawsze daje mi zajęcie, gdy widzi mnie wędrującą po innych światach. Mówi, że tu, gdzie jesteśmy, jest najlepiej. Ale tylko na chwilę. Mamusia czuje w powietrzu katastrofę.

Wychodzimy z Haliną na drogę. Jedzie stary Gąsior, w wozie sami chłopcy. Narobił chłopaków, nie potrzebuje parobka. Jest ich pięciu, nas tylko czworo, w tym dwie dziewczyny, a Zbyszek jeszcze malutki, urodził się w lutym. Najstarszy z młodych Gąsiorów, dryblas, pod koniec sierpnia wyjeżdża po nauki. Zamieszka na stacji w Lublinie, pewnie u jakiejś przyzwoitej pani. Nasz Tadek też by pojechał, ale mamusia uważa, że nauka niewiele ma wspólnego z prawdziwym życiem, zresztą tatko nie dałby sam rady, parobek dziś jest, jutro nie ma, nie wiadomo, w którą stronę wiatr zawieje.

Tatko ścina z Tadkiem konopie. Parobek układa je w kopki rozgląda się, nikogo nie widzi, spluwa, pan nie zna się na ziemi, a osiem hektarów dostał po wojnie z Rosjanami, niewiele, widać

nie tak dużo warte były jego medale. Tata żartuje, że Żenia zostanie z nami, dopóki się nie ożeni. Stapiam się z ziemią, w moje włosy wślizguje się zboże. Jestem czarnoziemem i widzę, bo roz-taczam się na osiem hektarów, jak Żenia ściąga spodnie i sra na rzodkiew. Mówię o tym w domu przy kolacji, ścierka przelatuje mi nad głową. Takich bzdur opowiadać nie przystoi. Ale mama sama lubi żartować, gdy podczas przerwy Żenia przychodzi po zupę. Narwij malw, śmieje się, podając mu pajdę, podaruj jakiejś pannie, samemu w nocy na sianie marzniesz, najlepiej taką z po-sagiem, do młodości nie idziesz.

Wstaję rano, na kołdrze rozkładam *Moby Dicka*. Budzi mnie tata, jego skrzypienie, niezdarne omijanie dźwięków. Tat-ko też by poczytał, książki mam od niego, ale on idzie chleb piec, z ośmiu hektarów czarnoziemem i karego konia trudno rodzinę wyżywić. Potem wyrywa się ze snu Zbyszek. Krzyczy, jakby świat się kończył. Budzi cały dom, mamę, Halinę. Halina ubiera się, nakłada koszulę na lewą stronę, chce zdjąć, drugi raz włożyć, mama to widzi, nie ruszaj, krzyczy, z tego poprawiania będzie nieszczęście, męża nie znajdziesz. Na końcu wstaje Tadek, póź-niej, niż powinien. Kiedy kur wypluwa na płocie płuca, jeden brat doi krowę, a drugi matkę. Wychodzę przed dom. Pachnie świeżo skoszonym zbożem. To tylko koniec lata. To tylko koniec.

Rano babcia powiedziała, źle spałam, nie spałam, będzie padało. Ona żyje w kraju, w którym wiecznie pada. Uciekłam do mamy, nie chcę w dużym pokoju, źle mi na rozkładanym fotelu, śnią mi się dziwne sny, nie chcę ich, nie są moje. Będzie padało, odparła mama, trzeba się ubrać.

III

Patrzyłam przez okno i wydawało mi się, że ludzie na ulicy widzą mój dom na wylot, gdzie stoi łóżko, szafa, w której trzymam za-bawki, nieutulone misie, pieski z krzywymi nogami; miały imio-na, ale ich zapomniałam. Naprzeciw okien kuchennych i małego pokoju stał blok dziesiątka. Złamany wpół, z tunelem, w którym znikali ludzie. Mama wskazała na jeden z balkonów, zobacz, tam mieszka wariatka, kiedy wyszłam rano po zakupy, wyzwiała mnie

od kurew. Pewnie za długo siedziała w oknie, wiatr zawiał, diabeł piaskiem sypnął po oczach. Na balkonie stała kobieta, ufryzowana, w granatowej sukience, mocowała się z barierką, sprawdzała, która pierwsza puści. Mówiła coś, wyrazy tworzyły zdania, ale nic nie oznaczały. Ktoś oszukał, ktoś zabrał. Pierdoleni głupcy. Mama zasłaniała mi uszy, ale ja i tak słyszałam. Do kuchni weszła babcia, w torbie z zakupami znalazła drożdżówkę, powiedziała: bój się Boga, chłodno, będzie padać w środę i czwartek. A potem głos babki zmieszał się z głosem wariatki, nie wiedziałam już, której jest zimno, a którą oszukali.

W czwartek były moje urodziny. Siódme. Mama i babcia upiekły tort z kremem porzeczkowym, zrobionym z zapasów na zeszłoroczną zimę, tych słoików nie dało się przejeść, wciąż próbowałyśmy, ale one rozmnażały się przez wekowanie. Na górze tortu mama namalowała kremem słoneczko, ale słońce nie świeciło. Padało. Babcia wykrakała. Wszystko przez babcię. Siedziałyśmy przy jednym stole, rozłożonej ławie w dużym pokoju, w telewizji leciał Znachor, znowu bolała głowa, ręce nie potrafiły wytrzymać z nogami w jednym pokoju, znachor mnie nie uratował. Chciałam, żeby zjawiała się wielka rodzina, słyszeć śpiewy, dmuchać balony. A byliśmy tylko trzy z siebie niezadowolone. Mama tłumaczyła, miała przyjść ciocia Halina, ale coś jej wypadło, msza albo kot z okna. Zaczęłam płakać, nie chciałam urodzin. Uznała, że płaczę za ojcem, wybiegła do budki telefonicznej, przeszukując portfel w poszukiwaniu żetonów. Widziałam ją przez okno, stała przy automacie między blokiem trójką a kioskiem, dzwoniła na wszystkie numery z notesu, kolejno odlicz. Wróciła zła, usiadła na fotelu w kuchni, nie chciała rozmawiać. Gdy będziesz widziała się z kupcem na Koniec, zabierz od razu słoiki z piwnicy, babcia powiedziała do mamy, wychodząc z łazienki. Zapomniała zgasić światło, nigdy go nie gasiła, szczególnie w nocy. Światło, krzyknęłam. Machnęła ręką, ale potem się cofnęła. Rachunki, tylko rachunki potrafiły ją na chwilę zatrzymać.

Mama wstała wcześniej rano. Szum wody obudził babcię, bez okularów widziała tylko żyrandol, wielki, brązowy; musiał być taki, inaczej zgubiłaby się w czasie i miejscu. Siadła na łóżku, koszula podwinęła jej się na dupie, trzymała w ręce rąbek

materiału, gniotła go, wykręcała. Odwróciłam się, nie chciałam patrzeć, jej ciało pojawiało się bezwstydnie bez ostrzeżenia, rozlewając się na boki. Śpij, śpij, kotulku, powiedziała. Bój się Boga, dopiero szósta, spałam może z piętnaście minut. Po omacku szukała okularów, z szafki spadła lampka, poparzyła żarówką rozgrzaną po nocy, babcia syknęła, popędziła do kuchni polać dłoń zimną wodą. Twierdziła, że nie potrafi zasnąć w ciemności. I tak nie spała. Po ciemku nie mogłaby szurać z pokoju do kuchni, z kuchni do pokoju. A ja budziłam się w nocy, światło wlażyło mi pod powieki, nie potrafiłam się poruszyć, mój dom był obcym miejscem. Światło, krzyczałam, zgaś światło, może przez sen, może we śnie. Pokój był dzienny przez całą dobę.

Babcia wyszła z mamą, zostawiły mnie samą. Śpij, śpij, aaa, kotki dwa, jeszcze chwila, jeszcze kilka dni i będziesz musiała zrywać się z samego rana. Śpij, śpij, nie otwieraj nikomu. A ja śpię, śpię, nie otwieram, bez szurania łatwiej zasnąć.

Wróciły z targu, każda przyniosła po dwie płócienne torby wypełnione ogórkami, pomidorami, jabłkami, wiśniami. Zamknęły się w kuchni, zrobiły upał. Zamieniały się w kiszonki, soki, przeciery, dzemy. Chowały siebie w słoiki głęboko pod koprem, miażdżyły, rozgotowywały, cięły na kawałki, zakręcały wieczka, chowały w ciemnej piwnicy, na kilka lat, na amen. Trochę się przełknie, o reszcie zapomni. Wsadzi się podstępem do urodzinowego tortu.

Wieczorem wtoczył się ojciec, pomyłony o jeden dzień, zawiany, w jego Polsce, tak jak w Polsce babci, cały czas wiało i padało. Posadził mnie sobie na kolanach, czuć było od niego gnijącymi kwiatami. Ziewnęłam głośno, takie zmęczone dziecko. Idź się wykapać, powiedział, ale nie chciałam. Chciałam zasnąć natychmiast, kiedy babcia jeszcze nie szurała, póki nie zrzuciła na mnie snów, nie nakładała mi ich podwójnie na talerz. Ojciec zatrzasnął mnie w łazience, kąp się, myj uszy, wyszoruj brudną gębę. Usiadłam na brzegu wanny, odkręciłam wodę. Niech płynie, niech wypełni wannę jeziorem. Widziałam w podręczniku ludzi, którzy zamknęli oczy w wannie i już się nie obudzili. Spuchli tak, że skórę można było z nich zdejmować jak ubranie. A ja puchłam snami mojej babki.

Jedzie, jedzie, jedzie pan, na koniku sam, sam, sam. A za panem chłop, chłop, chłop, na koniku hop, hop, hop. Pachnie końcem lata, świerszcze nie odpuszczają, grają marsza, ciężko orzec, czy weselnego, czy na pogrzeb, słońce wtula się w czarną ziemię, niebo odsłania wszystkie swoje możliwości, jakby brało udział w konkursie, a to przecież najpiękniejsze lato, nie musi starać się bardziej.

A od wojny coraz dalej. Daleko. Zimniej, zimno, ciepłej, ciepło, gorąco. Historia lubi się powtarzać, szepcze wieczorem mama, to są szczeliny, przez które widać Boga. I diabła.

Siadamy przy stole, mamusia nalewa zupę z grubo krojoną barabolą, wszyscy tu uprawiają ziemniaki, są najłatwiejsze. Żenia śmieje się, że w województwie wołyńskim zjada się ich więcej niż w całej Rosji. Żołnierze Piłsudskiego może i pogonili Ruskich, ale bez miejscowych nic by nie zasadzili. Tatko czyta Pożegnanie jesieni. Mama żegna się, czemu przynosisz do domu książki diabelskie, podtyka mu pod nos talerz z zupą. Ciepło, ciepło, ciepłej, gorąco. Zupa wylewa się na książkę, spływa po stole. Na kolana, na podłogę. Ojciec wystrzeliwuje z krzesła, jakby kto mu lont podpalił. Wybuchowy bombardier. Nie odzywa się do końca posiłku. Zalana książka to plama na honorze.

Rano staję przy płocie, lubię wszystko widzieć z bezpiecznej odległości. Stary Gąsior ładuje na wóz pięciu synów i kosy. Zetną zboże, zamienią złote łany na polskie złote. Przejeżdżają wzdłuż naszego płotu, drugi od końca posyła mi buziaka. Cały wóz się trzęsie pod stadem Gąsiorów, jeden z nich woła: Lotka, chcesz zobaczyć ptaka?

A ja przestępuję z nogi na nogę, nie mogę doczekać się września, za chwilę pójdę do szkoły, a Gąsiory nich idą do diabła. Zazdrościłam uczennicom, gdy zmarł Piłsudski, nosiły do szkoły we włosach czarne wstążki. Tata włączył wtedy radio. Kryształowa trumna jechała koleją na platformie przez cały kraj, przez Dubno, Równe, Łuck i Beresteczko. Stała na stacji lokomotywa, ciężka, ogromna i pot z niej spływał. Zawiadowcy ze wzruszenia pomyliły się tory, skierował pociąg na rampę towarową. Naczelnik zjechał na bocznice, spoczął wśród zboża i drewna, majowe

słońce ogrzewało trumnę. Promienie przebiły się przez chmury, Bóg spojrział, ale się nie odezwał, cud się nie wydarzył, nikt nie zmartwychwstał. Ręka Naczelnika zadrżała, pewnie ze zniecierpliwienia, skończcie już z tym cyrkiem obwoźnym, koniec audyencji, koniec. Zawiadowca gwizdnął na odjazd, wsiadać, kryształowe wieko zamykać. Maszyna ruszyła po szynach ospale. A dokąd? A dokąd? A dokąd? Na Wawel.

Pachną malwy, pachnie skoszona trawa, po osadzie rozniósł się krzyk i płacz kobiety. We wszystkich językach. I w żadnym. Sąsiadka, Marianna, żona rotmistrza Gałązki, przybiega z wiadomością. Jechał wśród pól wóz drabiniasty, wiózł dzieci i kosy, podskoczył na kamieniu, najmłodszy Gąsior poleciał prosto na ostrze. Matka pokiwała głową, przecież mówiła, czuć w powietrzu katastrofę. Najpiękniejsze lato nie było wystarczająco piękne, by ktoś się nie zabił. Najpiękniejsze lato pachnie końcem świata. Ale to tylko koniec. To tylko koniec lata.

Wziął tatko konia, nie Kawkę, nie Nockę, nie Węgielka, nie Czekoladkę, tylko karego, część wyposażenia. Włożył czarny garnitur i czapkę. Głowę ma opuszczoną, tylko wąsy ciągną ku górze. Podkreścone i grube. Zawsze wygląda, jakby się uśmiechał. Po czuwaniu wrzucają na wóz trumnę z Tomeczkiem Gąsiorem. Już wszystko przesądzone. Ksiądz z Targowicy, nie chcieli tego z Rykań Wielkich, czyni znak krzyża nad dziurą w ziemi. A potem na sznurach prowadzą chłopca do ciemnego dołu. Gąsior wleciał na kosę, wylądował w piachu. Pierwszy pogrzeb na osadzie, jeżeli nie liczyć nieudanych porodów. Słońce grzeje, ptaki śpiewają jak durne, chociaż powinny się zamknąć.

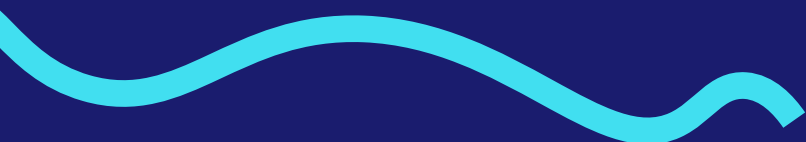
Tatko wraca późno. Pachnie smutkiem i jesienią. Miesza łyżką w zupie tak, że zdążyła wystygnać. Wozisz umarłych, wozisz, mówi mama, a ciebie nikt nie zawiezie. Był najmłodszy w oddziale, pod sobą miał tylko bomby. Poszło Rosjanom w pięty, wspominał. Mamusia powtarza, że ona szlachcianka, a on przybłąda. Miała w skrzyniach porcelanę i pierzyny, potwierdzoną datę i księdza, przeniesiono już fortepian panienci na środek salonu pana młodego, wszystko rozsadził bombardier, na rękach miał mąkę i proch armatni. Wpadli na siebie w powojennym zamieszaniu, poszli do kawiarni, chociaż panience przyrzeczonej

nie wypadalo. Powiedzial jej, ze byl jeszcze dzieckiem, kiedy wstapil do legionow, teraz wypieka biały chleb w oczekiwaniu na czarną ziemię obiecana przez Wodza. Wyciągnął z książki pismo urzędowo potwierdzające każde słowo. Prawdziwy żołnierz. Może być cały we krwi, ale nie zniesie plamy na honorze. Emilia zabrała ze sobą tobolek bez porcelany. Wskoczyła przez okno i frrrrrr, poleciała. Cały posag diabli wzięli. Wiedziała, że pewnego dnia los się o niego upomni.

W nocy zaczyna się burza. Ziemia pod naporem wody rozwiera się, rodzi umarłych. Naczelnik jedzie na kasztance na przedzie procesji, w dłoni trzyma szablę i urnę z sercem. Tomeczek Gąsior z kosą w plecach próbuje za nim nadążyć. Prowadzą kruczatę dzieci spędzonych, urodzonych w barwach wieczornego nieba. Zatrzymują się pod krzyżem, próbują chwycić Chrystusa za nogi. Bóg zabrał, niech teraz coś da. Jeszcze trochę lata, trochę kłosów pszenicy, pękających w zaciśniętych pięściach. Łakotków, swawoli. Umarli chcą śpiewać, skakać, wybiec w pole, stroić lalki, rwać kwiaty, nasze malwy przepływają im przez dłonie. Stoję w oknie, w ciemnicy i głuchocie, widzę umarłych, a oni mnie, pioruny błyskają i płoną. Wskazują procesji drogę. Lećcie, aniołki, do mamy. A kysz, a kysz. Korowód odchodzi w stronę Rykań Wielkich, tam, gdzie stoi kościół, nie boją się złego oka tamtejszego księdza. Do wschodu krążą po naszym powiecie dubieńskim. Od kaplicy do kaplicy. Dopiero trzeci kur ich przepędza. Śpiewali tak, że czarna ziemia drżała: pókiż trwa niebo i ziemia, Wiekuisty Panie, nie zemścisz się za niewinnej krwi naszej wylanie. Dobry Jezu, a nasz Panie, daj nam wieczne spoczywanie.

Marta Hermanowicz:

36-letnia Malwina wraca do rodzinnego miasteczka, by pożegnać umierającą babkę. Ze starą Lotką łączy ją szczególna więź – Malwina od dzieciństwa śni o jej wspomnieniach wojennych. Przesiedlenie z Wołynia na Sybir, dwa lata w łagrze, utrata najbliższych, ucieczka przez Związek Radziecki do Armii Andersa oraz przyjazd na Ziemie Odzyskane kształtują osobowość oraz rzeczywistość nie tylko babki, ale i wnuczki. Urazy i lęki Lotki znajdują u Malwiny dramatyczny wyraz w fascynacji śmiercią, próbach samobójczych oraz walce z rodziną, szkołą, ojczyzną, językiem i Bogiem. Powrót w rodzinne strony staje się podwójną konfrontacją – z przeszłością swoją i babki, jednak daje też możliwość pogodzenia się z historią rodziny i własną. Powieść odwołuje się do zjawiska postpamięci i dziedziczenia traum wojennych.



Rekomendacja organizatorów kursu

Paulina Matuszewska | *Goździkowe papierosy*

Małe prozy tej autorki wędrują od faktu do fikcji, od jednego gatunku do drugiego, a ich mocnym elementem, dobrze widoczną i charakterystyczną nitką, jest pisanie z wyobraźni. W *Goździkowych papierosach* szczególnie ciekawią elementy samopoznania i przypominania sobie fragmentów przeszłości, wzięte z powieści o dojrzewaniu. Ta proza wcale nie podąża przewidywalną ścieżką – mamy tu i spotkanie z orientem, i wrażenie obcości, i pasję podróżowania. Bohaterka spogląda na siebie z pewnego oddalenia, a styl staje się wiernym zapisem jej zmiennych emocji.

Filip Modrzejewski

Goździkowe papierosy

Buaya – krokodyl

Tam w głąb, gdzie nic nie ma, gdzie rzeka płacze się dziko z ostatnimi połączeniami lasów deszczowych – tam mieszkają prawdziwi Dajakowie. Tam żadne drogi nie wżarły się jeszcze w ziemię na dobre, czasem się pojawiają, ale z reguły tylko na chwilę, tylko w jedną stronę. Tam linie szlaków na mapach bardziej sugerują niż istnieją, efemeryczne i zawodne, mrugają przez moment, zwodzą i zaraz rozplývają się pod kaprysem ulew, rozrastających się chaszczy i niespokojnych gleb. Tam nic nie jest pewne. Zaufać można tylko rzece. Ona daje życie dżungli i łagodzi działanie czarnej magii. Chroni od zła.

Tam jeszcze nie wszystko udało się nam spalić na głębokim tłuszczu, spakować w plastik i skonsumować. Tam daleko w głąb lądu wyspa nadal skrywa tajemnice – chwała Bogom naszym, waszym i przodkom – prawdopodobnie niestrawne dla ciężkich cywilizowanych brzuchów. Nie żaden Kalimantan, nie żadne Borneo, ale dziesiątki, może nawet setki małych światów, z których każdy ma swój własny język, swoje własne duchy i nadprzyrodzone moce. Bo świętość najsilniej objawia się wzdłuż równika. Tam daleko za wielkimi plantacjami palm olejowych, za gęstwinami puszczy nadal żyją szczepy dajackich wojowników, których wskazujące palce przypominają ostrza maczet: mogą ciąć gałęzie, a kiedy trzeba – ranić wroga. Są też kobiety zdolne ożywiać zmarłych za pomocą ziół. Mają długie uszy, a całe ich ciała pokrywają tatuaże, których wzór zmienia się wraz z fazami księżycy. Są Dajakowie, których wzrost sięga dwóch metrów, a ich potężne, silne dłonie zdolne są wrywać palmy i przesuwac skały. Są też Dajakowie bardzo maleńcy, lecz zwinni jak małpy,

którzy potrafią latać pomiędzy koronami drzew. Tam daleko w górach słycać śpiew kobiet wysokich jak drzewa, znających sekret długowieczności – niektóre mają po dwieście, trzysta lat, ich zęby są czarne od betelu, ale twarze nadal nieskazitelnie gładkie, srebrzystobiałe jak księżyc.

O nich wszystkich opowiadał mi kiedyś przy winie palmowym Yohanes, bo przy winie palmowym lubił tematy nieprzyziemne, a potem na trzeźwo udawał, że nic nie pamięta. Był Dajakiem. Nie wiem na ile prawdziwym, bo ani po tej, ani po tamtej stronie świata nikt jeszcze nie nauczył mnie stopniowania prawdziwości. Sam Yohanes też nie był co do tej kwestii ze sobą zgodny. W każdym razie urodził się w dajackim kampungu nad rzeką Kahayan i w jego domu mówiło się po dajacku, wierzyło się w Jezusa Chrystusa i duchy krokodyli. Historia jego rodziny była przy tym tak pięknie pogmatwana, pełna międzyetnicznych mezaliansów, zakazanych miłości i zdrad, że można by na jej podstawie nakręcić pasjonujący sinetron – indonezyjską tele-dramę w odcinkach – i Bollywood by jej pewnie pozazdrościło. Bez względu na to, czy słowa Yohanesa były prawdą i w jego żyłach faktycznie kipiała krew dajackiego, madurskiego i gadziego pochodzenia, co do jednego nikt nie miał wątpliwości: kiedy już pił – pił twardo jak Dajak.

Tak przynajmniej było kiedyś, kiedy jeszcze nosił kaszkiet i szelki, słuchał ska i bujał się vespą po przedmieściach Balikpapan. A czasem po kryjomu szedł na karaoke, żeby się wyśpiewać i wytańczyć z dziewczynami przy tandetnym disco. Ale to było dawno na Kalimantanie i podobno nieprawda.

Dziś bujamy się z większą dystynkcją, bliżej centrum, na Jawie, na północy Yogyakarty, w galerii handlowej, gdzie wszystko się świeci bezwstydnie, a Yohanes się w to świecenie znakomicie wpisuje. Ma na sobie tweedową marynarkę od Tommy'ego Hilfigera, widać, że strzyże się u najlepszych barberów w Dżakarcie i pewnie vespę zamienił na porsche, ale tego nie wiem, bo mu to porsche do tego pierwszego-wrażenia-po-latach sama dopisałam, przecież nie będę pytać, czym jeździ. Wciąż jest jednak

Dajakiem i choć nie ma wrodzonej zdolności przesuwania skał, to widać, że gdyby się uparł, jednym telefonem mógłby to jakoś załatwić.

Dziwnie się spotykamy, jakoś tak niejawajsko, zbyt linearnie, tak jakby czas, który dzieli nas od ostatniego spotkania, nie turlał się leniwie wokół własnej osi, nie opływał widzialnego, tylko faktycznie minął. Yohanes się zmienił. Zielone obwódki wokół tęczówek miał już wtedy, więc to nie soczewki. Ale zęby musiał wybielić, skórę też, ciekawe czy za pomocą kremów, czy jakiegoś bardziej ekskluzywnego zabiegu.

Rzucam, że strasznie zbielał przez te wszystkie lata, oklepianym pół żartem, pół komplementem w dżakarckim stylu, żeby trochę odpompować atmosferę, w którą wpadliśmy jak w pudełko tej sztywnej szklano-marmurowej kawiarni, zaprojektowanej w służbie kątów instagramowego kadru. Yohanes się śmieje, trochę sztucznie, serialowo, jakby pozował do zdjęcia. Mówi, że niektórzy w firmie biorą go za Chińczyka.

– Nie widzę sensu, żeby wyprowadzać ich z błędu – dodaje i błyszczy uśmiechem.

Jest sterylnie, luksusowo i lśniaco, klimatyzacja rozkręcona chyba na minus milion – tu dobrobyt lubuje się w zimnie. Nie wiem, kiedy zbudowano ten pałac, ale niedawno były tu tylko rzędy biedadomków nad zaśmieconym kanałem, parę warunków i warsztaty ślusarskie. Dziś jest ekskluzywny bazar, trochę raj. Każdy może sobie przyjść, wyziębic się rozkosznie i poogłądać cuda za witrynami. Tłoczno tu jak w stojącym nieopodal Borobudur, tak jakby spacerowanie po mallu miało być uświęcającym rytuałem, symboliczną podróżą do doskonałości. Podobno centra handlowe buduje się na wzór piramidy Masłowa – tę akurat wzniesiono na doryckich kolumnach, ot taki egzotyczny akcent – każde piętro ma zaspokajać inną kategorię potrzeb. Mnie i Yohanesa los przywiódł na sam szczyt. Siedzimy więc w sferze samorealizacji i wielkich idei, w kawiarni, z której powinien roztaczać się widok na miasto i górujący nad nim wulkan Merapi, ale nie widać nic. Akurat dziś perspektywę świetlanej

przyszłości przysłonił dym, który dotarł tu znad płonących kalimantańskich lasów i spletał się ze smogiem w gęstą białą masę jak kondensowane mleko. Co by nie było, mogło być gorzej, ale my akurat siedzimy na samej górze. Ja, bo się nieźle urodziłam, on – bo się nieźle napracował.

Patrzę na niego i zastanawiam się, jak tego dokonał. Nie miał ani krewnych w administracji rządowej, ani chińskiego nazwiska, które utworzyłoby mu drogę w świecie biznesu, ani odhaczonej pielgrzymki do Mekki. Na Kalimantanie miał dwie możliwości: zostać w biedzie albo iść w olej palmowy. Yohanes był marzycielem, więc wybrał drugą opcję. Ale żeby wybić się dalej, i to jeszcze na Jawie, musiał mieć albo dobrego dukuna, albo naprawdę sporo determinacji.

– Rzadko śpiam – mówi tonem, jakby to była jego życiowa dewiza.

Oto ile mu zostało, jak twierdzi, po babce. Starszemu bratu przypadła drewniana chatynka na palach, Yohanesowi – chroniczna bezsenność.

Chodził do szamanów, księży i lekarzy, pił i palił rozmaite zioła, wcierał olejki, łykał proszki. Eksperymentował z hipnozą, medytacją i alkoholem. Magia dajacka i wschodniojawajska nie pomagały. „Takich przypadłości się nie leczy”, mówili starsi, którzy wiedzieli, co mówią, i dodawali: „Lepiej się z nimi zaprzyjaźnić”.

A babka Yohanesa podobno nigdy nie zasypiała całkowicie. I nie narzekała na zmęczenie. Tylko pół jej ciała zapadało w sen, podczas gdy drugie pół czuwało. Jedno oko zawsze miała otwarte, wlepione w przestrzeń, czujne. Widziała, jak mały Yohanes nocą próbował przemknąć się do spiżarni. „Wracać mi do pokoju, Nees!” – dobiegał jej głos z sypialni. „Wracaj, bo krokodyl pogryzie cię w pięty!”. Yohanes wracał, bo bał się panicznie. Wiedział, że z krokodylami nie ma żartów. Wtedy to one pełniły władzę nad rzekami. A nad rodzinnym domem Yohanesa sprawowały szczególniej patronat – tak było od pokoleń. Yohanes

nie pamiętał dlaczego. Pamiętał natomiast, jak krokodyli upiór przemawiał ustami babki, gdy ojciec wrócił pijany do domu i wszczywał jakąś awanturę. Miała łagodną naturę i niełatwo było wyprowadzić ją z równowagi, ale na zło reagowała stanowczo. A gdy pouczenia nie skutkowały i ktoś naprawdę przekroczył granice jej cierpliwości, wybuchała straszliwym gniewem. Wstępował w nią wtedy duch przodków: źrenice zwężyły się w ziarenka czarnego ryżu, zęby stawały się ostre jak szpilki, a skóra twardniała, przybierając kształt łuski.

Może trochę podobnej do tej na pasku Yohanesa, który z przejściem opowiadał mi teraz o kampanii, którą prowadziła jego firma. I kreślił swoją historię w tak przejmujący sposób, jakby wciąż opowiadał o babce przemieniającej się w krokodyla. Inni goście kawiarni zerkali na niego raz po raz – chyba dlatego, że na Jawie tak silna ekspresyjność zarezerwowana była dla teatru. Czy to za sprawą charyzmy, czy też – jak szeptali zawistni – dajackiej czarnej magii, Yohanes miał dar mówienia tak, by ludzie go słuchali.

– A ty? – wymierzył we mnie niespodziewanie, gdy już zamknął swoją opowieść jakimś mocnym przesłaniem. Wymierzył celnie, bo załuło. – Po co wróciłaś?

Pociągnęłam łyk kawy. Żałowałam, że to była kawa, a nie wino palmowe, bo przy winie byłoby mi mniej wstyd, że nie jeżdżę jeszcze porsche.

– Podróżuję – odpowiedziałam tonem, jakby to była moja życiowa dewiza.

Taka odpowiedź zwykle wystarczyła, by zaspokoić ciekawość sąsiadki, wzbudzić poklask wśród białasów albo przedłużyć wizę w imigracyjnym. Podróżowanie zawsze spoko. Myślałam, że tu też jakoś przejdzie. Yohanesa nie przekonało to jednak. Westchnął głęboko, poprawił okulary i zaczął kolejną opowieść. Tym razem jednak nie o sobie, niby też nie o mnie, ale wiadomo. O tym, że kiedyś trzeba w końcu wziąć życie w swoje ręce, ścisnąć z całych sił, trzymać i nie puszczać. Stanąc do

walki i przepoczwarzyć się w najlepszą wersję siebie. Schwytać chwile, które są nam dane, i zapanować nad czasem, zanim to on zapanuje nad nami i pożre nas, nasze marzenia i potencjały. I że najlepiej nie odkładać tego na jutro. Aduh.

Obserwowałam go uważnie, ale wyłączyłam dźwięk i da-
jackie czary, bo nie po to wywracałam świat na drugą stronę,
żeby słuchać kazań z tej pierwszej. A gdy wytłumiłam słowa, zlał
mi się Yohanes obecny z Yohanesem z przeszłości. Zlał mi się
ze swoją babką, którą poznałam jako niedołązną staruszkę, ale
wiedziałam, że w młodości musiała mieć charakter jak on. Kro-
kodyli temperament. Grzął Yohanes wciąż w swoim dawnym
mentorskim tonie, tych samych pięknie teatralnych gestach.
Tylko dawniej scenografia była inna. I zestaw rad, które odtwa-
rzałam sobie w myślach później, podczas podróży w głąb wyspy,
gdy dżungla gęstniała i nie było z kim rozmawiać, bo mało kto
tam był i mało kto mówił po indonezyjsku. Raz – nie płynąć zbyt
daleko w górę rzeki; dwa – zawsze pilnować swoich włosów i śli-
ny; trzy – nigdy nie pić dajackich trunków, których nazwy nie
umiesz wymówić; cztery – nie przypatrywać się zbyt długo i zbyt
intensywnie starym kobietom z tatuażami.

Na pięć wróciłam myślami do tej smutnej wioski,
w której poznałam Yohanesa. Pachniało tam śmiercią, mimo że
pogrom miał miejsce dziesięć lat wcześniej. Mignął mi obrazek
rodziny, z którą przy płynęłam – wąska łódka, wolny kawałek po-
kładu między kurczętami w klatkach i koszami pełnymi warzyw
z bazaru. Oczy najmłodszej z ich córek, czarne kule połyskujące
spod grzywki, wlepione w moją osobę – blade dziwactwo z za-
światów. Mieliśmy dopłynąć gdzieś indziej, jakieś pięć kampun-
gów dalej w górę rzeki, ale popsuł się silnik, zapadł zmierzch,
a w rzece były krokodyle. Musieliśmy zostać na noc.

W zasadzie było tam tak samo jak trzy kampungi wcze-
śniej. Kilka starzejących się drewnianych domów na palach, ja-
kiś warung, w tle dżungla. Gdzieś tam jakieś statuetki przod-
ków ze smutnymi twarzami bezrobotnych alkoholików. No i ten
duży pusty plac – milczące wspomnienie po kilku madurskich
domach. Spłonęły podczas wojny, jak wszystko, co należało
kiedyś do Madurów. A potem straszyla wszystkich ta pustka

– symbol niezbyt udanego eksperymentu polityki transmigracji. Idei, która miała uporać się z populacyjną dysproporcją: odludnić przeludnione i doludnić niedoludnione obszary. Poprzerzucać i przemieszać, tak żeby było w miarę po równo i wszystko cacy. W wiosce Yohanesa akurat nie wyszło. Próba integracji przeciwności zakończyła się rzezią, którą dżungla pachniała w tej okolicy do dziś. W miejscu dawnych madurskich domów nie było nic, pustka nie porosła nawet mchem.

Siedzieliśmy tam wieczorem na bambusowej macie, piliśmy wino, a Yohanes opowiadał. I czarował słowem tak malowniczo, a trunek tak magicznie kołysał zmysły, że wkrótce rozmywały się granice między Borneo a Kalimantanem, wczorajszym i dzisiejszym, opowieścią i snem. I widziałam te wszystkie niesamowite stwory, tych nieustraszonych wojowników i czarownice bez ust. Był też duch z sylwetką dziecka i twarzą starca, który mącił zmysły zagubionym w dżungli wędrowcom – widziałam na ziemi ślady jego małych czteropalczastych stóp. Albo cień tej włochatej zjawy przypominającej bawoła, która podobno żywi się padliną, a najbardziej lubi ludzkie mięso. I czułam rozpacz tych jawajskich marynarzy-lekkoduchów, którzy zwodzili dajackie kobiety – nieświadomi, że w ten sposób wiążą swoje serca niewidzialną nicią z Kalimantanem na zawsze. Widziałam, jak wracali potem do swoich jawajskich domów i żon, a im bliżej Jawy byli, tym mocniej nie ciągnęła ich do tyłu, wrosnięta w klatkę piersiową, powodując straszliwy rwący ból, którego nie dało się uśmierzyć. Słyszałam ich jęki, kiedy konali z miłości. Widziałam twarze dumnych malajskich podróżników, którzy wspinali się na Wielką Górę, nie zważając na to, że wchodzi na teren święty i strzeżony przez magiczne siły. Wbrew ostrzeżeniom mieszkających w pobliżu Dajaków, nie uszanowali prawa natury, więc góra musiała ich ukarać. Słyszałam ryk tygrysa dobiegający ze szczytu – jego echo było tak silne, że roznosiło się na całą wyspę – czułam, jak trzęsie się ziemia i podróżnicy jeden po drugim spadają w przepaść, a ich ostatnie wspomnienie zastyga w dajackiej legendzie.

I nawet nie zauważyłam, kiedy Yohanes przeskoczył zwinnie z opowieści o zjawach do opowieści o pogromie, a właściwie

wcale nie musiał za daleko skakać, bo dla niego to była wciąż jedna i ta sama historia, równie realna i nierealna, jak wszystkie inne.

Księżyc wisiał nad nami jak pomarańczowy kokos i świecił mocno, bo wtedy jeszcze nie było tyle dymu, który by go przysłaniał, i odbijał się ten księżyc w oczach Yohanesa, okalanych zielonymi obwódkami i jakąś smutną tajemnicą. I przenieśliśmy się razem do tej nocy, kiedy domy Madurów płonęły jeden po drugim jak suche liście bananowca i choć nic ich nie wyróżniało, to ogień omijał domy Dajaków, Jawajczyków, Bugijczyków i Banjarów. Tej nocy księżyc świecił nad Kalimantanem jak pomarańczowy kokos, a rzeki milczały i wszędzie czuć było gniew dajackich przodków, którzy pierwszy raz od stu lat opuścili dżunglę, i słychać było świst mieczy mandau, które latały między koronami drzew. Wystarczyło, że wojownik szeptem wypowiedział zaklęcie, a miecz momentalnie wznosił się w górę, przesywając powietrze, po czym leciał prosto do ofiary. Z chirurgiczną precyzją przecinał tętnicę na wysokości krtani i rozdzielał ciało na dwie nierówne części – wraz z głową raz na zawsze pozbawiał wroga godności. A potem mandau powracał do właściciela, by przynieść mu dowód swej wierności – krew na ostrzu jeszcze niezastygła, wciąż czarna i ciepła, jak noc w podrównikowej dżungli.

I w całej wiosce walały się madurskie głowy – wykrzywione grymasami lęku twarze obcych, złych, bezimiennych, od jakiegoś czasu już nie braci, nie sióstr, już nie sąsiadów, nie ludzi. I patrzył na to wszystko Jezus, i patrzył Allah, i najwyraźniej musiała być w tej rzezi jakaś słuszność skoro żaden z nich nie szedł na ziemię i nie powstrzymał tego szaleństwa.

Pamiętał Yohanes dokładnie, jak ojciec z wujem siedzieli w jadalni i pili, niby zwyczajnie jak zawsze, w kłębach papierosowego dymu, tyle że zamiast wina pili krew madurską, pili szklanka po szklance, aż do momentu, gdy oczy ich zaszyły bielmem i wpadali w trans, a potem brali maczety i szli na polowanie. W telewizorze leciał jakiś dangdut, muzyka grała głośno, a na ekranie wirowały biodra kobiety w żółtej sukience, najpiękniejszej istoty, jaką nastoletni wówczas Yohanes kiedykolwiek

widział. Gdyby babka była w domu, na pewno by przełączyła, ale babka siedziała wtedy na pomoście, z nogami spuszczonymi w dół, i patrzyła na rzekę czerwoną od krwi. Od tamtej pory miała już zawsze tam siedzieć i nigdy nie wrócić do zmysłów, od tamtej pory ojciec miał już nigdy nie wytrzeźwieć, więc Yohanes mógł oglądać telewizję do woli i tak w istocie spędził kolejne parę lat. A potem przerzucił się na internet, zagraniczne teledyski i filmy z torrentów, dzięki którym świetnie nauczył się angielskiego i podstaw hackingu, i mógł uciekać w jeszcze dalsze zakątki wirtualnych światów, czarujących nawet bardziej niż biodra tancerki w żółtej sukience.

Opowiadał Yohanes o nocy, podczas której płonęły domy, ludzie odcinali swoim sąsiadom głowy, miecze latały w powietrzu i wszystko to działo się naprawdę, przysięgał, wszystko można zobaczyć przecież na YouTube, chociaż dziś już nikt tego nie ogląda, bo kto by pamiętał rzeź sprzed kilkunastu lat, kiedy tyle szokujących historii można znaleźć w sieci. Opowiadał, a jego barwnej narracji nie przeszył cień smutku czy wzniosłej powagi, właściwie to nawet nie przestawał się uśmiechać. Siedzieliśmy w tym miejscu i piliśmy wino, i wciąż smakowało ono zadziwiająco dobrze, tak jakby to wszystko zadziało się tylko w sferze groteskowej opowieści, tak jakby pogrom należał do tego samego świata, co włochate zjawy.

Słyszę świst nad głową, ale to musi być tylko złudzenie, bo przecież teraz siedzimy w szklanym mallu. Jeśli czas i odległość istnieją gdzieś poza sferą subiektywnych doświadczeń, to jesteśmy od tamtych zdarzeń daleko. Yohanes wyrósł na senior-key-account-managera do spraw doniosłej wagi. Ja urosłam tylko w biodrach, ale też przybyło mi przecież lat, poza tym jestem białasem i siedzę tu z nim, więc z boku pewnie wyglądam na całkiem poważną. Jeśli wysokość istnieje gdzieś poza sferą subiektywnych doświadczeń, to na tym piętrze mamy poniekąd całe miasto pod sobą.

No ale poza całą tą otoczką Yohanes wciąż ma w sobie coś z tamtego dzieciaka w kaszkiecie. To nadal ten sam uśmiechnięty

i pełen życia chłopak, wirtuoz baśniowej narracji i subtelnej kokieterii. I choć pierwszy raz opowiada mi coś na trzeźwo, to jego opowieść wcale nie traci blasku. Śmieje się, że przestał pić zanim go było stać na prawdziwe wino – „takie z Zachodu” – więc nigdy nie dowie się nawet, jak smakuje.

Po dajacku, madursku i indonezyjsku już prawie nie mówi. Nie dlatego, że zapomniał. Język bogów biznesu daje mu więcej mocy sprawczej. Z pomocą brandingów, networkingów i innych dźwięcznych zaklęć może kreować rzeczywistość, jakiej pragnie. A planów i pomysłów ma mnóstwo. Od dziecka przecież marzył aż nadto, kompulsywnie – cóż innego miał robić w kampungu, w którym zostali właściwie tylko umarli.

Po jego erudycji wnioskuję, że przez lata musiał sporo przepracować z tym YouTube'em, pod opieką mówców motywacyjnych i innych dukunów coachingu. Zmienił styl, kastę i branżę na bardziej – jak twierdzi – etyczną i na czasie. Z sentymentem wspomina dzień, w którym wsiadł na łódkę i pierwszy raz sam popłynął do miasta, sprzedał telewizor i kupił za niego dwa stare telefony i trzy ładowarki. Po kilku latach sukcesów w drobnym handlu dostał pracę w rafinerii oleju palmowego. Stamtąd do świata dzakarckich korporacji nie było już tak daleko.

Tymczasem to, co minione, straciło ważność, nie wspominając już o tym, co „prymitywne”. A baśń Yohanesa przybrała nowy kierunek: przyszłość. Świetlana, obiecująca i równie abstrakcyjna. Przecież oboje widzimy za szybą ten dym. Nawet w tym bajkowym luksusie nie da się ukryć, że dżungla umiera dziś szybciej niż kiedykolwiek i że miasto, w którym jesteśmy, za pięćdziesiąt lat pewnie w ogóle nie będzie istnieć.

Zamawiamy wegańskie i bez słomek, żeby nie było, że nic z tym nie robimy. Dziś już nie duchami, lecz ideami unieważniamy rzeczywistość. I patrzę w te jego oczy okalane zielenią, i krąży mi w głowie tyle pytań, których nigdy nie zadałam; czemu akurat Madurowie, dlaczego nic nigdy nie mówił o matce i czy zanim obejrzał teledysk z pięknnością w żółtej sukience, też cierpiał na bezsenność. Ale to już przecież zupełnie inny Yohanes, inna sytuacja, no i nie Kalimantan, lecz Jawa. Tamto

przepadło. Nad nami lampa ledowa jak pomarańczowy kokos, a cała reszta – przed nami. Na szyi Yohanesa dostrzegam błysk złotego łańcuszka, ciekawe, czy wisi na nim Jezus Chrystus czy raczej krokodyli kiel, a może medalik z wygrawerowanym cytatem z jakiegoś amerykańskiego poradnika psychologii pozytywnej – przechodzi mi przez myśl, ale strofuję się zaraz. Bo to przecież w ogóle nieistotne, nic nie oznacza, a na pewno nie więcej, niż to jego porsche.

Paulina Matuszewska:

Goździkowe papierosy to pamiątka z Indonezji – zbiór opowiadań w miękkiej paczce, bez filtra. To opowieść o dojrzewaniu i paleniu. Byciu w miejscu i przemieszczaniu się. Gdzieś pomiędzy porą suchą a deszczową, wulkanem a oceanem, minionym a obecnym. To podróż po indonezyjsku – *jalan-jalan* – doświadczana jako ruch cykliczny, nieustanne i niespieszne powracanie.



Pozostałe teksty

Ziemowit Józwik – *Wieczór świata tego*

Natalia Królikowska – *Daleko*

Karolina Ludwikowska – *W upalne dni czas płynie wolniej*

Ewelina Najdrowska – *Mdłość*

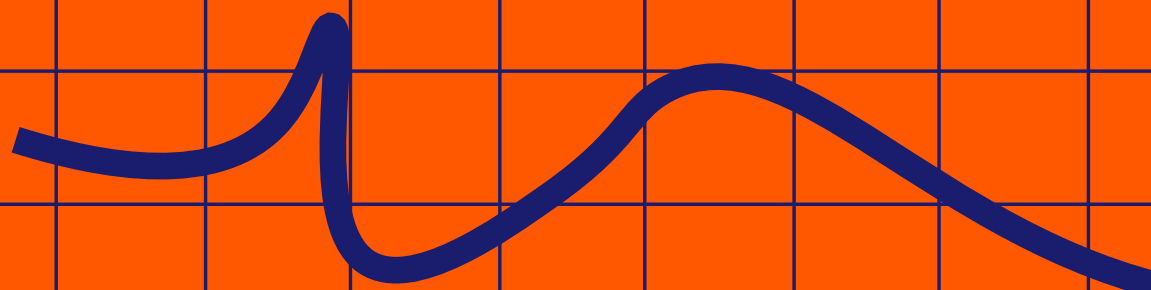
Rafał Sieradzki – *Nie powie ci las*

Alina Staneczek – *Wyrównania*

Aleksandra Śmierzyńska – *Punkt 0*

Tomasz Tarmas – *Djemeryci*

Daniel Wołyniec – *Exit*



Wieczór świata tego

Krótką serią z karabinu maszynowego. Górski wicher poniosł echo w noc. Przyparta do zmrożonej ziemi kobieta instynktownie obróciła się za siebie. Zobaczyła skrytą w mroku stromą poloninę. Pewnie strzały zaalarmowały patrol. Albo był to po prostu zwykły odgłos nocy na tej ziemi niczyjej. Chłopak nie zważał na rozdzierające ciszę wystrzały. Leżał skulony obok, wsparty na łokciach, drżał z zimna i zmęczenia. Oddychał ciężko. Starał się opanować. W dłoniach ścisnął latarkę. Co chwila odliczał do dziesięciu w jakiś bezsensowny sposób – raz po raz to zapalał, to gasił lampkę, kierując wątlą stróżkę światła w majaczącą przed nimi ciemną ścianę lasu. Tam powinna być granica. Próbował powstrzymać targające ciałem dreszcze, szczerkanie zębami. Powtarzał to swoje liczenie – obłąkaną litanię. Przerywał tylko, gdy krztusił go kaszel. Co jakiś czas dawał latarką sygnały, które na ułamki sekund objawiały jego twarz – młodą, rozedrganą, skrytą za okularami.

Tak, a w lesie na wprost nich siedzi tamten – też schowany za okularami.

Latarka znaczy na nich świetlne refleksy.

Wiedziała, że on tam jest.

Czeka. Obojętny jak trup. Obły. Nieruchomy.

Obserwuje ich żalosne wysiłki. Chłopca, co chciał się zasłużyć ojczyźnie i jej, którą ta ojczyzna mimo zasług na wszelki wypadek ukarze. Skupiony albo znudzony. Poprawia mankiety, czeka i obserwuje.

Wypatrywał ich – jej – przyjscia już od dawna. Senny, przyprószony śniegiem, znudzony monotonnym ruchem gwiazd po karpackim niebie. Szarymi rankami odtajający z szadzi. Stróż. Major Nowożenny. Siedzi i czeka, wyglądając ich świetlnego znaku.

Próbowała pomóc, jakoś przekazać to chłopakowi. Patrz – odpowiadają, jest światło. Słowa więzły jej w gardle. Chłopak nie słyszał. Drżał, odliczał, zapalał latarkę. Nie mogła znieść tego bezsensownego rytuału.

Przecież musiała jeszcze wrócić po tamte kobiety.

Nagle spadła w dół, w noc.

Osuwała się bezwładnie po stromiznie.

Ostre powietrze zakłuło ją w piersi.

Ledwo teraz widziała odbłaskujące w okularach majora refleksy latarki.

Zatrzymała się raptownie na przymarzniętych krzakach kosodrzewiny. Otoczył ją dławiący sosnowy aromat. Zaciszne schronienie przed zrywającym mroźnym wichrem. Zaczęła zapadać się w lepkie, senne odrętwienie. Ostatkiem woli targnęła się rozpaczliwie. Stała na czworakach.

Przecież musi po nie wróc. Same zabłądzą na tej dziwnej ziemi niczyjej.

Wnet zjawily się tuż przed nią – kobieta i dziewczynka. Ta pierwsza – beznamiętna. Niespiesznie wyciągała papierosa z czerwonej paczki. Mimo chłodu – ubrana wieczorowo. Tylko ramiona miała przykryte futrzaną etolą. U rąbka jej sukni wisiała sierota w łachach wyżebranych od żydowskiego subiekta. Starła się zwrócić na siebie uwagę damy. Ta ją ignorowała. Zimna, wystudiowana obojętność powstrzymywała ją od odtrącenia dziewczynki.

Kobieta próbowała podnieść się z klęczek. Zachwiała się.

Przeszył ją ból.

Nogi zdrętwiały.

Odmówiły posłuszeństwa.

Upadła.

Nowożenny patrzył obojętnie z oddali. Wyczekiwał. Szkiełka okularów co jakiś czas mrugały do niej świetlnymi refleksami w ciemności.

– Musimy iść – bezsilnie starała się wydusić.

Dama i sierota nie zwróciły na nią uwagi.

– Chodźmy. Granica zaraz... – zawahała się – Laura! – ledwo wyszeptała.

Nagle rozległy się gwizdy.

Znienacka przeszły ciszę.

Otoczyły ją zewsząd.

Nim kobieta zdążyła się zorientować, ktoś podciągnął ją za kołnierz brezentowej kurtki, którą podarował jej ten drżący chłopiec z latarką. Zaraz. To on. Ciągłe migał lampką w stronę skraj lasu i nie zważając na jej bezwładne, niezdarne kroki, włókł ją w stronę ciemnej ściany drzew.

– Zaraz, a one, Laura...

Słowa gorzko więzły w gardle. Chłopak jej nie słyszał. Na jego mrugnięcia latarką odpowiadały refleksy z gęstwiny kryjącej w mroku pozbawioną wyrazu twarz wyczekującego majora.

Mimo bolesnego uścisku targającego ją mężczyzny, wykręciła się w stronę damy i sieroty.

Wytworna pani z papierosem znikła.

Dziewczynka rozglądała się tępo. Zobaczyła wleczoną kobietę. Rzuciła się ku niej. Próbowała wyciągnąć ręce, złapać sierotę, ale chłopak jeszcze mocniej chwycił jej bezradne, odrętwiałe ciało. Nieustępliwa, bezwzględna, miażdżąca siła.

Znowu gwizdy.

Ze wszystkich stron stłumione męskie warknięcia, wojskowe komendy.

Wokół niej.

Potknęła się. Straciła sierotę z oczu. Mignęło znów światło odbite od okularów.

Refleks musnął jakiś jasny kształt.

Kobieta odwróciła wzrok. W ciemności znów zadrgało światło. Tym razem już wyraźniej objawiając nagą postać.

Kobieta wyteżyła wzrok. Z mroku wynurzyła się dziewczyna. Stała ku niej lekko. Jej twarz kryła czarna maska. Biała figura kontrastowała z nieprzeniknioną czernią nocy. Coraz wyraźniej wyłaniała się z ciemności. Ciało przysłaniały tylko długie, rude włosy. Wiatr je targał. A ona próbowała je przykryć czarnym woalem.

Znów gwizdy, ponagłające warknięcia.

Ktoś ją włókł, potem nagle dźwignął.

Wokół ucichło.

Po chwili oślepiło ją światło.

Odruchowo zmrużyła oczy.

Dostrzegła odbijające się od okularów refleksy pobłyskujące w rytm dyndającej w mroku żarówki.

Po chwili zbliżyła się do niej twarz. Wąskie usta, obwisłe policzki i szerokie czoło łysiejącego mężczyzny. Objęło ją apatyczne spojrzenie ledwie widocznych, głęboko osadzonych oczu krótkowidza.

– To ona – sapnął niemrawo, odwracając się za siebie w ciemność.

Jego słowom odpowiedziały dwa energiczne, metaliczne stuknięcia. Chciała dostrzec ich źródło. Zobaczyła tylko stojącą tyłem po-

stać. Wysoki, zawinięty w wojskowy płaszcz. Armin? – przeraziła się. Nagłe szarpnięcie zrzuciło ją z ławy, na której ją posadzono.

Opadła na drżącą, rytmicznie podskakującą podłogę.

Zrozumiała, że się porusza.

Była w ciężarówce. Teraz dopiero usłyszała skrzypienie resorów i mechaniczny wizg mozołącego się na wysokich obrotach silnika.

Poczuła na twarzy ciężki oddech. Schylało się nad nią znów to obłe oblicze schowane za okularami. A w tle, w ciemności tamten drugi. Armin? Ogarnął ją mrok. Coś znowu załomotało. Raz, drugi.

*

Przeszył ją dreszcz. Ocknęła się nagle. Siedziała przy stole, oparta czołem o blat. Towarzyszył jej tylko jednostajny, świdrujący dźwięk niedokręconej żarówki w lampce obok. Wyprostowała się ostrożnie. Zamrugła oczami. Przed nią wciąż stała maszyna do pisania. Przeczytała ostatnie zdanie. Powiodła wzrokiem po niemal pustym, obcym i wrogim pokoju. Było ciemno, zimno, cicho.

Nikogo tu nie ma.

Znowu coś załomotało. Trzy krótkie stuknięcia przerwały letarg kobiety. Ktoś pukał do drzwi.

Oparła się o stół. Wstała powoli. Ciężkim krokiem skierowała się ku wejściu, po drodze bezmyślnie odrywając jeszcze kartkę z kalendarza. 29 lutego, 1939.

*

– Dzień dobry. Policja Państwowa.

Lekko zbitemu z tropu Bogartowiczowi odpowiedziało beznamiętne spojrzenie błękitnych oczu. Zawsze krępowały go te wizyty o świcie. Nie lubił budzić ludzi ze snów. A do tego nie spodziewał się kobiety.

– Pani wybaczy wczesną porę, Pani zrozumie. Bogartowicz, Policja Państwowa. Proszę przebaczyć najście. Czynności służbowe.

Pani Kossakiewicz?

Kobieta wciąż wpatrywała się niewidzącym wzrokiem. Jej twarz kojarzyła mu się trochę z wizerunkami świętych męczenników. Zawstydzająco intrygująca uroda przybrana w pozę umęczoną, strapioną, bolesciwą. Jaśniała na ciemnym tle.

– Czy pani Kossakiewicz?

– Tak, tak, proszę. – wskazała ręką wewnątrz.

Bogartowicz kiwnął głową i niepewnym krokiem – bacznie obserwując kobietę w oczekiwaniu, że nagle się ocknie i każe mu jednak wyjść lub choćby regulaminowo się przedstawić – wszedł do środka. Kossakiewicz nie zwracała na niego uwagi. Sprawiała wrażenie nie tyle nagle wyrwanej ze snu, co raczej zjawy – znużonej, obojętnej i zmęczonej.

Mieszkanie było prawie puste. Kossakiewicz musiała się ledwo co wprowadzić. Zdjął kapelusz i w oczekiwaniu na gest kobiety powoli obracał go w rękach. Ona natomiast stała do niego plecami, spoglądała w okno, na próżno wypatrując świtu. Bogartowicz przestąpił z nogi na nogę i podjął kolejną bezradną próbę nawiązania rozmowy.

– Jak mówiłem, Bogartowicz, Policja Państwowa. Prowadzę śledztwo. Mam do pani kilka pytań.

Kobieta zaplotła ręce za plecami. Obracała pierścionek na palcu. Po chwili szybkim ruchem przełożyła go z palca serdecznego na wskazujący. Odwróciła się do Bogartowicza i wskazała skinieniem głowy krzesło. Siadł bez zastanowienia. Uważnie wodził za nią wzrokiem. Widocznie otrząsnęła się z pierwotnego odrętwienia. Jej ruchy były pewne, zdecydowane. Zanim usiadła naprzeciwko, sięgnęła jeszcze po papierosa. Leżąca na stole czerwona paczka dotychczas umknęła uwadze policjanta. Niemieckich papierosów nie widział od upadku C.K. monarchii. Wytresowany, chciał posłużyć kobiecie zapalniczką, lecz ona zdążyła uprzedzić usankcjonowany w męskim kodeksie gest i machnęła tylko ręką na jego niewczesne przysługi. Łapczywie zaciągnęła się papierosem. Przymknęła oczy. Zabębniła palcami o blat. Po chwili skryła swoją twarz w tytoniowym dymie.

Ziemowit Jóźwik:

Zbliża się wieczór świata tego – czas żniw huku i blasków. Pół roku przed apokalipsą w modernistycznym metropolis Lwowie oficera Policji Państwowej i uciekającą z III Rzeszy zdekonspirowaną współpracowniczkę polskiego wywiadu łączy zbrodnia. Wskutek zbiegów okoliczności kobieta staje się celem opętanego żądzą zemsty ukraińskiego nacjonalisty. Idący jego śladem policjant pragnie odkryć prawdę i ocalić *femme fatale*. Nie spodziewa się jednak, że jego śledztwo wiedzie do ujawnienia szpiegowskiej przeszłości kobiety – a tym samym zagraża jej życiu.



Daleko

PROLOG

Flashback

Ilekcroć myślę o Janku, zastanawiam się, czy poznałbym go, gdybyśmy spotkali się na ulicy. Dziesięć lat to spory szmat czasu. Gapię się na ludzi, których mijam w sklepie czy w metrze, z nadzieją, że przypadek znów złączy nasze drogi, tak jak już raz to zrobił, wierząc szalenie w to, że cud może się powtórzyć. Nieraz, w długie, bezsenne noce, wpisywałem jego nazwisko w wyszukiwarkę internetową, w media społecznościowe, stosowałem różne kombinacje zapisów, ale mimo starań nie udało mi się trafić na jego ślad. W końcu założyłem w kilku serwisach konta, wykorzystując dane, jakie o nim miałem, na zdjęciu profilowym umieściłem znalezioną w sieci fotkę stojącego tyłem gościa w czarnej bluzie, z trochę dłuższymi blond włosami. Co wieczór, otwierając piwo, przelogowywałem się na ten profil, czekając aż ktoś mnie, znaczy jego, znajdzie – jakaś ciotka, kuzyn czy stara znajoma. Powiadomienia ani zaproszenia nie przychodziły. Nie było go i nikt go nie szukał. Nikt poza mną. Odnalezienie go stało się moją obsesją. Im bardziej się starałem, tym było mi ciężiej. Znałem wiele szczegółów z jego życia, przegadaliśmy tyle godzin! Wydawało mi się, że nikt nie zna mnie tak dobrze jak on i że ja nigdy wcześniej ani nigdy później nie zbliżyłem się do nikogo tak bardzo. Ale być może to wszystko mi się wydawało? Może zmyślił to wszystko, żeby zakpić z mojego życia, zadrwić z mojego ocalenia? Na początku, w pierwszych miesiącach po zejściu na stały ląd, nie zaprzątałem sobie nim głowy. Trafiłem do szpitala przejściowego, w którym czekałem na badania i odpowiedni genowy dobór ochrony przed zarazą i jej mutacjami, która – jak nas poinformowano – była już w odwrocie. Planowałem dalsze życie. Mimo tego, co nas spotkało, miałem marzenia. Dopiero po jakimś czasie, po kilku latach, kiedy zacząłem orientować się, że

nic z tego nie będzie, że nic dobrego ani pozytywnego na mnie nie czeka, przypomniałem sobie jego słowa. Nie spałem trzecią noc z rzędu, patrząc w telefon, sprawdzając wiadomości, które nie przychodziły i oglądając na monitorze wspólne zdjęcia z namiastką rodziny, którą udało mi się na chwilę stworzyć i którą w jednym momencie straciłem. Byłem sam, bez pracy, w nałogu.

Ta zima w końcu musi minąć – powiedziałem do siebie na głos w pustym pokoju i to zdanie zawróciło mnie w czasie na pokład statku, kiedy oparci o burtę staliśmy obok siebie, paląc papierosy i wrzucając niedopałki do oceanu, rozmawialiśmy o sztuce, życiu i innych ważnych – jak nam się wówczas wydawało – rzeczach.

To było jedno z jego ulubionych haseł, lubił je powtarzać w zupełnie nieoczekiwanych momentach, choć zdawać by się mogło, że nie pasuje do niego, bo powiedzieć, że z optymizmem był ten chłopak na bakier, to jakby nic nie powiedzieć. Mimo to wypowiedział je bez cienia ironii, ścisząc głos w kadencji, co nadało mu nieco melodramatycznego charakteru. W ten sposób wypowiedziane, na przekór swemu znaczeniu, nie pozostawiało żadnej nadziei. A może ja dzisiaj doszukuję się w nim drugiego, głębszego znaczenia? Może po prostu powtarzał je, bo źle znosił chłód, który tak często doskwierał nam na statku? Dołączył do wyprawy w samym środku długiej i mroźnej zimy. Opowiadał mi później, że ponad godzinę czekał na zaokrętowanie, drżąc z zimna i bezskutecznie próbując się rozgrzać. Żeby zmieścić się w nadesłany kombinezon ochronny, musiał zdjęć ciepłą, wypełnioną gęsim puchem kurtkę. W zmarzniętej ręce trzymał dokumenty – paszport, zawierający wszystkie niezbędne dane biometryczne, wzrost (183 centymetry), kolor tęczówki (niebieski), kształt linii papilarnych (osobliwy), informacje o przebytych chorobach (angina, ospa, różyczka, SARS-CoV-2.0, ptasia grypa siódmej generacji) i odbytych szczepieniach (zgodnie z kalendarzem); formularze, wymagane przez organizatora rejsu, składające się z długich paragrafów zgód i oświadczeń, wymagających czytelnego podpisu w kilkunastu miejscach oraz potwierdzenie dokonania wpłaty zawrotnej sumy, gwarantującej dwanaście miesięcy bezpiecznego żeglowania po morzach

i oceanach, z dala od toczącej świat od kilku lat zarazy. – O panie, jeśli nie zabije mnie wirus, zdechnę tu z głodu i z zimna – mruzczał do siebie. Miał specyficzne, podszyte smutkiem, poczucie humoru. Nigdy nie śmiał się w głos. Dużo razem żartowaliśmy, ale mam wrażenie, że nigdy nie udało mi się go rozbawić. Janek Kasperski, gość, o którym chcę wam opowiedzieć, rzadko się uśmiechał, dużo kłął i zawsze mówił prawdę. No chyba, że jestem debilem, a to wszystko było zmyśleniem.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przyływ

Kiedy przybył do portu, nawet nie wiedział, na co ma czekać. Niecierpliwił się i kłął pod nosem, jak zwykł robić w sytuacjach nudy, stresu czy samotności, a więc dość często. Nie było nikogo, kogo mógłby zapytać, jak długo jeszcze trwać będzie odprawa. Był zły na siebie, że się na to zgodził. Od początku, kiedy tylko matka przedstawiła mu ten pomysł, wydawał mu się niedorzeczny. Ale ona zawsze stawiała na swoim i zawsze stawiała jego na pierwszym miejscu. Tak było, kiedy wybierała mu kolejne szkoły, wakacyjne wyjazdy, zabawki, zajęcia dodatkowe. Tak było też ostatniego wieczoru, kiedy przekonała męża, żeby pozwolił jej spać w tę ostatnią wspólną noc razem z Jankiem. Bez grama zażenowania opowiadał mi, że w dzieciństwie bardzo często spał z rodzicami, ale wtedy, w przeddzień wyjazdu, kiedy miał dwadzieścia trzy lata, wydało mu się to bardzo dziwne. Nie chciał sprawiać matce przykrości, bo wiedział, jak mocno go kochała. Wbił wzrok w podłogę, kiedy przechodził przez salon, mijając ojca moszczącego się na kanapie w oparach dezaprobaty. Pamiętam jak dziś, że właśnie tak się wyraził – „moszczącego się w oparach dezaprobaty” – myślałem, że się zgrywa, ale on to mówił całkiem normalnie i śmiertelnie poważnie, używał wyszukanych słów i tworzył przedziwne konstrukcje zdaniowe bez cienia maniery, z naturalnością codziennej, potocznej mowy. Po tego typu fikołku stylistycznym płynnie przechodził do dalszej części opowieści. Wszedł więc do sypialni rodziców. Matka leżała w łóżku, wyglądała staro. Nie chorowała, ale kilka ostatnich lat, spędzonych w izolacji, bardzo ją postarzyło – wyjaśniał. Przestała

farbować włosy, nie malowała się na co dzień. Skóra obwisła na jej szczupłym ciele.

– Chodź, przytulimy się – powiedziała jak dawniej.

Położył się na kołdrze, na boku, twarzą w stronę jej twarzy.

– Nie żegnamy się, wiesz? – dotknęła jego twarzy.

– Wiem, mammo.

– Objął ją ramionami, żeby zakończyć tę żalną scenę. Wtuliła głowę między jego barki i po kilku minutach zasnęła. Delikatnie się od niej odsunął i przewrócił na plecy. Nie wiedział, jak długo wpatrywał się w punkt na suficie, nie myśląc o nikim ani o niczym. Kiedy zaczął morzyć go sen, zrobiło mu się chłodno. Wsunął się pod kołdrę. Zasypiał, czując szorstkie, kilkudniowe włoski na nogach matki, na swojej łydce. „Edypek, nie Edypek, ważne, by mamusię kochał” – zażartowałem, kiedy mi o tym opowiadała. Nie zareagował, takie zaczepki nie robiły na nim żadnego wrażenia. I jeśli myślicie sobie teraz, że Janek musiał być strasznym maminsynkiem, to na pewno się mylicie, choć jest w tym trochę mojej winy, bo opowiadam historię jego wyprawy chronologicznie i po kolei, czyli jak należy. Staram się ją uporządkować, żeby żaden szczegół znajomości z tym zupełnie niezwykłym, młodym człowiekiem nie umknął mojemu staremu, wypalonemu i zdegenerowanemu umysłowi, który wolałby pewnie zacząć tę historię od środka, czyli od momentu, w którym po raz pierwszy wpadliśmy na siebie w korytarzu, prowadzącym do głównej sterowni, ale takie ujęcie dawałoby jedynie obraz częściowy, fragmentaryczny. Pewne rzeczy muszą więc być doopowiedziane, być może zmyślane, bo dzisiaj fikcja – jak żywi nad umarłymi – zawsze ma rację nad prawdą. Kiedyś potrafiłem się lepiej wysławiać, na studiach pisywałem recenzje kinowe i prowadziłem bloga o związkach malarstwa ze sztuką filmową. Problem w tym, że nie miałem wówczas nic do powiedzenia, bo w dupie byłem i chuja widziałem, pozowałem na krytyka, a byłem nikim, jak większość z kolegów po piórze. Przeintelektualizowane bałwany, bufony, piszące z wyżyn swojej zajebistości, skarłały wyścig szczurów, w którym nie chodziło nawet o pieniądze.

Podróż nie trwała długo, mimo że zamiast przeznaczoną tylko dla służb i spedycji autostradą bezzałogowa autonomiczna taksówka, służąca do transportu tzw. potencjalnych, czyli możliwie zakażonych, jechała starą trasą. Ruch był niewielki. Młody mężczyzna siedział sam na tylnym siedzeniu. Obok leżała książka, gruby tom, wciśnięty mu w ręce przez matkę „na wypadek, gdyby popsuł się czytnik”. W bagażniku walizka i niewielki bagaż podręczny. Wydawać by się mogło, że jest turystą spieszącym na lotnisko, żeby za kilka godzin znaleźć się w przyjemniejszym, cieplejszym miejscu globu.

Nie był.

Chociaż pokonywał tę drogę kilkakrotnie przy różnych okazjach, nigdy wcześniej nie przyglądał jej się z taką uwagą. Nigdy wcześniej nie jechał bez telefonu, którego brak odczuwał teraz wyraźnie, jak ból fantomowy. W rękach obracał niewidzialny przedmiot, tak jak zwykł bawić się urządzeniem, które zostało w szufladzie biurka w jego oddalającym się z każdym kilometrem pokoju. Za szybą rozpościerał się przygnębiający krajobraz. Co kilka kilometrów wśród pól, w niewielkim oddaleniu od drogi, stały rozpadające się bary, hotele, zajazdy. Duże inwestycje, wielomilionowe kredyty, które pochłonęły niejedno ludzkie życie w ostatniej dekadzie. Za oberwanymi sztyldami, niegdyś przyjaźnie zapraszającymi na „pyszny zestaw podróżnika” czy „flaczki babci Zosi”, kryły się rodzinne dramaty, które nasz bohater przy odrobinie empatii mógłby sobie wyobrazić, aby umilić sobie czas podróży i oderwać myśli od położenia, w którym chcąc nie chcąc się znalazł. Jednakże wówczas Janek pozbawiony był jeszcze zdolności współodczuwania. Zarówno empatia, jak i sympatia były dla niego uczuciami obcymi, o których istnieniu miał pojęcie jedynie teoretyczne. Z literatury wiedział, co oznaczają te słowa, jednak jak dotąd nie miał okazji doświadczyć ich na własnej skórze. Od późnego dzieciństwa zamknięty w czterech ścianach, odizolowany od reszty świata, tak jak i świat odizolowany od niego we wzajemnym strachu wszystkich przed wszystkimi, dorastał w jałowym i septycznym środowisku bezwarunkowej miłości rodzicielskiej.

Zapytałem go kiedyś, o czym myślał, tuż przed wejściem na statek, jak zapamiętał ten moment, czy żegnał się ze światem? Dla mnie to był przełom, obietnica nowego początku, czysta kartka, którą miałem w końcu szansę zapisać po swojemu. W głowie trwała nieustająco gonitwa myśli, dziesiątki gotowych scenariuszy na nowe życie. Choć Janek był sporo młodszy ode mnie, jakieś piętnaście lat, spojrzał na mnie jak na małe, podekscytowane Gwiazdką dziecko. Uniósł brwi i powiedział: „Mówiłem ci, że było mi zimno”. Bang! Byłem jak Titanic, na kursie do Nowego Świata, pędzący na zderzenie z górą lodową, której wierzchołkiem były te krótkie, rzucane jakby od niechcienia zdania, pod którymi kryła się bryła, gotowa rozedrzeć mój kadłub. Były dni, kiedy nie wychodziłem ze swojej kajuty, nie chciałem z nim rozmawiać, broniłem się przed nim, ale wiedziałem, że przynajmniej tam, na statku, nie miałem szans, byliśmy na siebie skazani. Ku mojemu zaskoczeniu pewnego dnia wrócił jednak do tamtej rozmowy. Leżeliśmy wtedy na pokładzie, grzejąc się w zwrotnikowym słońcu poranka, a on zapytał, czy słyszałem kiedyś na statku gwizdek. – Gwizdek? – byłem zaskoczony. – Czy ktoś jeszcze używa gwizdka w tych czasach? Komunikaty, polecenia, instrukcje padały zwykle z megafonów. Opowiedział mi wtedy, że kiedy przemarznięty na kość czekał na zaokrętowanie, z odrętwienia wyrwał go dźwięk gwizdka. Rozejrzał się po marinie, próbując zlokalizować jego źródło. Dostrzegł jedynie nadjeżdżającą od strony lądu kolejną taksówkę, taką samą, jak ta, która przywozła jego – bezzałogową, z jednym tylko miejscem dla podróżnego, z numerem bocznym na drzwiach i na małym, poręcznym bagażniku. „Kolejny pasażer, a więc teraz moja kolej” – pomyślał. Wiedział, że ze względów bezpieczeństwa niemożliwe jest, aby stali tu razem. Każdy miał własną, wyznaczoną z góry godzinę. Jego lub jej przyjazd oznaczał więc, że w końcu zostanie odprawiony i zaokrętowany. Tak też się stało. Spojrzał na jacht. Północny wiatr był zimny i mocny, Jankowi łzawiły oczy, kiedy patrzył w stronę jednostki. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że widzi jakąś postać stojącą na pokładzie i machającą mu przyjaźnie. „To pewnie on gwizdał” – pomyślał. Rampa opuszczała się przed nim powoli i majestatycznie. „To mały krok dla człowieka, ale wielki dla ludzkości” – zadrwił i rozbawiony własnym żartem wszedł na pokład statku.

ROZDZIAŁ DRUGI

Za życie zwyczajne

I.

Wydawać by się mogło, że pierwsze trzynaście lat życia Janek Kasperski przeżył w szczęściu i względnym spokoju. Ukochane dziecko swoich rodziców, upragniony wnuczek, oczko w głowie bliższych i dalszych krewnych. Bystry, inteligentny i dobrze wychowany umiał odnaleźć się w każdej sytuacji. Najchętniej stał jednak z boku i obserwował. Nie lubił dowodzić, nigdy nie zabiegał o uwagę i posłuch wśród rówieśników. Taka postawa, osobna i wsobna jednocześnie, frustrowała jego matkę, która już od kołyski widziała syna na piedestale świata, w jakiejś ważnej roli społecznej. Janek kochał matkę, dlatego od czasu do czasu fundował jej powód do dumy. Nie kosztowało go to wiele, nauka przychodziła mu z łatwością. Nie lubił jednak wysiłku, starań i dążeń. Od małego pogardzał dzieciakami wrywającymi się do odpowiedzi. Na pytanie, kim chce zostać w przyszłości, odpowiadał, że dostawcą pizzy, co było bardzo zabawne, zważywszy na to, że rodzice płacili za jego szkołę kilkanaście tysięcy rocznie, kwotę niemałą, nie dość dużą jednak, by znacząco uszczuplała domowy budżet. Bezsprzecznie tkwił w Janku potencjał. Mógł zostać każdym, kim chciał – neurochirurgiem, astronautą, artystą, kłoszardem lub pijakiem – skala jego możliwości i zdolności była bardzo szeroka. Jako dwulatek mówił pełnymi zdaniami, szybko nauczył się czytać, do szkoły poszedł rok wcześniej. W wieku dwunastu lat mówił płynnie po angielsku, jednak od czytania Conan Doyle’a czy Dickensa w oryginale – takie lektury podsuwała mu matka – wolał gry komputerowe. Świetnie grał w szachy, ale nie chciał brać udziału w zawodach. Lubił rysować, ale rysunków nie dokończył, szkice i zamalowane w jednej piątej kartki walały się po całym mieszkaniu. Książki czytał kompulsywnie i nieregularnie – potrafił w jeden wolny weekend przeczytać kilkusetstronicowy tom, po czym porzucić czytanie na kilka miesięcy, niemal doprowadzając matkę do rozpacz. Na pytania, o to, jakie książki lubi, odpowiadał, że krótkie. Nie miał swoich ulubionych autorów ani gatunków. Matka na „chybił trafił” znosiła mu książki z różnych dziedzin, licząc na to, że któraś zainteresuje syna, ale co do tego nigdy

nie mogło być pewności. „To wszystko przez ten poród!” – mawiała babcia Hanka. „Nawet nie pozwoliłaś mu się normalnie urodzić! Dziecko winno się trochę starać od samego początku. Nie można tego obowiązku zrzucać na innych”. Matka nie chciała tego słuchać. Cesarskie cięcie wydawało jej się najbezpieczniejszym sposobem wydobywania dziecka na świat. Poród naturalny jawił jej się jako barbarzyństwo, zupełnie zbędne cierpienie, którego można w prosty sposób uniknąć. Wystarczy tylko pomyśleć i odpowiednio wszystko zaplanować. Podobnie w życiu. Nie wystarczy być, należy się starać, myśleć, przewidywać. Plan na dziecko był więc z góry przemyślany i prowadzony metodą projektową – od wyznaczenia celów, przez pożądane rezultaty, aż do końcowej ewaluacji. Ojciec bez wielkiego entuzjazmu przyglądał się wysiłkom żony. Nie miał co do swoich dzieci wielu oczekiwań, co w wypadku jego starszej córki z pierwszego małżeństwa zaowocowało nie do końca trzeźwym, punkowym życiem na krawędzi w najbardziej imprezowych miastach Europy i okazjonalnym kontaktowaniem się z resztą rodziny, która jej pozostała. Nie chcąc podobnego losu dla syna, pan Kasperski postanowił nie przeszkadzać żonie w jej ambitnych planach wychowawczych, w których realizacji niemałą rolę odgrywały jej własne, niespełnione ambicje niepełnoetatowej wykładowczynie na prowincjonalnym uniwersytecie i autorki mało poczytnych recenzji i esejów krytycznoliterackich. Sama za swoje niepowodzenia winiła własnych rodziców, ich robotnicze korzenie i niewystarczający kapitał społeczny, z jakim wyprawili ją w życie. Ojciec Janka również pochodził z prostej, robotniczo-chłopskiej rodziny, która o ile przyprawiała go o jakiś kompleks, o tyle było to dla niego mało istotne. Spełniał się w nie do końca legalnych interesach, które dostarczały mu wszystkiego, czego potrzebował do życia – odpowiedniej pozycji, pieniędzy, a przede wszystkim stałych dopływów adrenaliny. Zadowolony ze swojego życia nie wymagał zbyt wiele od syna. Mógłby Janek co najwyżej być trochę mniej fajtlapowaty (to przez matkę) i bardziej interesować się sportem, motocrossem lub sztukami walki. Tak czy inaczej, z tych bądź z innych powodów oboje rodzice kochali swojego jedynaka ponad życie i oboje chcieli dla niego jak najlepiej. Szybko zorientowali się, że mogą mu na wiele pozwolić, bo on sam niewiele chce. Do szczęścia potrzebował jedynie spokoju, odrobiny czułości i akceptacji tego, jaki był.

II.

Z wiadomych względów dużą część naszych rozmów zajmowała pandemia. Mnie zastała ona w Saint Martin, na Karaibach, dokąd uciekłem przed swoimi demonami. Trochę pożyłem, nie mogę powiedzieć, że nie. Miałem prawie czterdziestkę na karku, dwa nieskończone fakultety, jeden zakończony odwyk, nieślubne dziecko, z którym nie utrzymywałem kontaktów, masę długów i mocne postanowienie poprawy. Jak się okazało, nie tylko ja chciałem się zmienić, ale i cały świat. Dlatego tak bardzo interesowało mnie, jak ta rewolucyjna zmiana wpłynęła na kogoś, kto nie zdążył jeszcze niczego posmakować, komu kolejne lockdowny zastąpiły drogę do pełnego doświadczania rzeczywistości. Chociaż musiało dotyczyć go to bardzo osobiście, świetnie wszedł w rolę badanego obiektu, opowiadał dużo i ze szczegółami, zupełnie jakby nie mówił o sobie.

III.

Kiedy wybuchła pandemia, Kasperscy opuścili swoje miejskie mieszkanie i wyjechali do domku wypoczynkowego w górach. Z dala od zgiełku, dużych skupisk ludzkich i codziennych obowiązków, w otoczeniu przyrody, czuli się bezpiecznie. Życie zwolniło swój bieg, a oni mieli swój azyl. Pierwsza fala zachorowań to był miesiąc miodowy, w trakcie którego chodzili na spacer, grali w planszówki, a kiedy przyszło lato, opalali się na trawniku przed domem i kąpali się w rzece. Rządowe zakazy i obostrzenia przyjęli jak dar. Korzystali z pracy i nauki zdalnej, które pozwalały na większą swobodę i elastyczność, wysypiali się, całymi dniami chodzili w pidżamach. „Kiedy pandemia się skończy, co roku będziemy sobie brali parę tygodni na takie wagary”, obiecywała Jankowi matka. Kiedy fala zaczęła opadać, odwiedzali ich znajomi i przyjaciele. Nikt nie sądził wówczas, że ta wyjątkowa sytuacja będzie trwać wiecznie. To jak z narkotykami – raj pozostaje rajem tylko wtedy, kiedy jest wyborem, pewną możliwością. Kiedy staje się koniecznością, zamienia się w piekło.

Jesienią, kiedy sytuacja epidemiczna zaczęła się stabilizować, wrócili do miasta, do pracy i do szkoły. Ze świata dobiegały

jednak niepokojące wieści. Azja walczyła z kolejną falą pandemii, w Ameryce wirus mutował, w Afryce wybuchła całkiem nowa, dużo groźniejsza i jak to w tej części świata bywa, dużo bardziej śmiertelna epidemia. Zamiast żelaznej kurtyny na świat opadły śluzki dekontaminacyjne oddzielające strefy brudne od czystych, z tym że tych drugich pomimo globalnych wysiłków wszystkich państw i rządów było z każdym miesiącem coraz mniej. Kasperscy ponownie wyjechali z miasta. Takich wyjazdów i powrotów w ciągu kolejnych paru lat było jeszcze kilka, z tym że każdy kolejny okazywał się trudniejszy od poprzedniego.

Dla Janka nie do zniesienia było ciągle przebywanie z matką. Coś, co kiedyś sprawiało mu radość, co było tożsame z jego pojęciem szczęścia, w swoim pandemicznym nadmiarze stało się przekleństwem. Przebywanie przez wiele miesięcy pod jednym dachem paradoksalnie spotęgowało w nim kielkujące poczucie samotności, coś, czego nigdy wcześniej nie odczuwał. Po raz pierwszy z taką intensywnością poczuł wówczas własną odrębność, która przyjęła dla niego kształt ciszy. Wyniósł z pokoju wszystkie potencjalne źródła dźwięków – tykający zegar, wydającą cichy pisk ładowarkę do laptopa, kłatkę z chomikiem. Najbardziej lubił noce, kiedy rodzice już spali. Kładł się wtedy w ciemności z otwartymi oczami i wsłuchiwał w górską ciszę. Lubiał być sam, nikt nie pieprzył mu, o czym mówić i jak. Po tak spędzonej nocy hałasy dnia – stukanie naczyń, szuranie kapci, łoskot pralki – były torturami, a ich głównym generatorem była matka – kat dokonujący zamachu na jego ciszę. Im cichsze były wydawane przez nią dźwięki, tym głośniejsze rozbrzmiewały w jego głowie. Najgorsze było przełykanie herbaty, każdy łyk rozsadał mu czaszkę. Uciekał wtedy do lasu. Godzinami wędrował przed siebie, bez celu, byle dalej od niej. Nienawidził się za to, bo przecież ją kochał, nikogo nie miał poza nią. Bywały dni, że ostatkiem sił wracał z wędrowni i rzucał się matce w ramiona, pełen skruchy i strachu o to, że mogliby się stracić. Jednak na ogół wracał równie wściekły jak wtedy, kiedy wychodził, a swój powrót uważał za osobistą porażkę, za przejaw słabości. Fantazjował, że opuszcza dom i nigdy do niego nie wraca, zaczyna życie w górach, na łonie natury, a szalejący z niepokoju rodzice szukają go po całym świecie i jak w Legendzie o świętym Aleksym, którą

ostatnio omawiali na lekcjach języka polskiego, nie rozpoznają go w zarośniętym, na wpół zdziczałym niemowie, którego spotykają na swojej drodze.

– Mógłbyś chociaż słuchać audiobooka, kiedy tak chodzisz bez sensu. Marnujesz tylko czas – zrzędziła matka.

– Na quadzie byś pojeździł. Po co ci go w ogóle kupowałem! – wtórował jej ojciec.

Pretensje obojga wydawały się Jankowi jak zawsze nieuzasadnione, bo w życiu kierował się zwykle swoją własną, nieco pokrętną logiką, nie do końca tolerowaną przez bliskich. Spacer to taka sama strata czasu jak czytanie książek, a o quada nigdy nie prosił. W siódmym roku pandemii pojazd został ku uciesze Janka w końcu sprzedany, tak jak wiele innych rzeczy – za bezcen.

Gospodarka światowa wywinęła kozła. Towary niegdyś uważane za luksusowe, dobra tak zwanej klasy premium, straciły na znaczeniu. W cenie były za to towary pierwszej potrzeby. Jak na wojnie. Matka była minimalistką, ale ojciec rozpaczał, kiedy musiał sprzedać swoje zabawki – motocykle crossowe, łódkę i sportowy samochód. Z każdą utraconą rzeczą tracił nadzieję, że los się jeszcze odwróci. Dla matki z kolei każdy sprzedany przedmiot był szansą na przetrwanie kilku miesięcy. Wierzyła w naukę, śledziła doniesienia i choć wiele z dotychczasowych rozwiązań, które miało naprawić sytuację, zawiodło, wciąż pojawiały się nowe perspektywy i otwierały nowe możliwości. Pierwsze lata walki z kolejnymi zarazami koncentrowały się na stworzeniu szczepionki, globalnego panaceum, które uchroni ludzkość przed zakażeniami. Niestety, to rozwiązanie byłoby zbyt proste. Kolejne lata przyniosły prace nad stworzeniem technologii indywidualnej, spersonalizowanej terapii genowej, skierowanej nie do ludzkości ogółem, a do pojedynczego człowieka. Olbrzymie maszyny obliczeniowe miały w niedalekiej przyszłości na masową skalę odczytywać ludzki genotyp i tak profilować leczenie, aby było ono jak najbardziej celowe w każdym jednym i osobnym przypadku. Powiedzieć, że był to wyścig z czasem, to jakby nic nie powiedzieć. Każdego dnia umierały na świecie setki tysięcy ludzi. Krematoria pracowały dwadzieścia cztery

godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Większość dzieci rodziła się w domach, kobiety umierały w położach jak sto lat temu. System opieki zdrowotnej nie działał. Przyjęcie do szpitala było jak wygranie losu na loterii.

Pewnego dnia rodzice Janka otrzymali list, który w trybie pilnym, ale w tonie solidarnościowym, nakazywał im opuszczenie górskiego domku, który miał zostać tymczasowo udostępniony medykom w celu tak zwanych pobytów regeneracyjnych. To było jak wyrok. W miastach o wiele trudniej było przestrzegać zaleceń, wirusy krążyły w powietrzu, którym się oddychało.

– Nie możemy wrócić – powiedziała matka kategorycznie. – To znaczy: Janek nie może wrócić – sprostowała.

To wtedy po raz pierwszy pojawiła się myśl o tym, że jest jeden sposób, aby przetrwać bezpiecznie. Jakiś czas temu pojawiły się w internecie informacje o tak zwanych rejsach donikąd (Cruises to nowhere), organizowanych na mniejszych bądź większych statkach wycieczkowych, okrążających ziemię bez schodzenia pasażerów na ląd. Setki takich widmowych okrętów dryfowało po morzach i oceanach, dobijając do portów jedynie w celu uzupełnienia zapasów. Była to dość osobliwa i ekskluzywna forma przetrwania, ale Kasperscy mieli odłożoną pokaźną sumkę na zagraniczne studia jedynaka, które to plany nie mogły zostać wcielone w życie ze względu na sytuację. Ojciec z początku oponował. Janek nie był pewien, czy bardziej było żal mu pieniędzy, czy rozstania z synem. Jednak jak to on, opowiadał o tym bez cienia goryczy czy żalu. Ja bym się wkurzył! W końcu jednak ojciec wykopał spod ziemi słoiki (banki nie były wówczas najbezpieczniejszym dla gotówki miejscem depozytu) i wysłał należną kwotę organizatorom rejsu. Janek nie był zachwycony tym rozwiązaniem, ale kiedy po kilku tygodniach, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, przyszła informacja o terminie i miejscu zaokrętowania, spakował walizkę i udał się jako pierwszy człowiek w rodzinie i w kręgu bliższych i dalszych znajomych w podróż donikąd. Gdybym powiedział mu wtedy, jak zblazowanym i uprzywilejowanym był gówniarzem, pewnie by nie zrozumiał, tylko by patrzył na mnie tymi swoimi oczami w taki sposób, że to mnie znów byłoby głupio. Nie chciałem być małostkowy, przemilczałem sprawę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Spragnieni

Pierwszej nocy na statku powtórzył mu się ten sen, o którym myślał, że już go nie pamięta, a który tak często budził go w dzieciństwie, że zlany potem, zapłakany szedł do sypialni rodziców, gdzie pośród ciepłych, znajomych i bliskich ciał, znajdował spokojną, czarną resztkę nocy. Sen ówczesny, przyobleczony w elementy współczesnej mu jawy, która musiała być jego źródłem i wstępem do niego, był powtórzeniem, zazębieniem starego koszmaru z lękiem nowym, jeszcze nienazwanym, choć już przeczuwanym.

Wędrował przez gęsty, świerkowy las. Padał deszcz, zraszając drzewa i formując kałuże, ale nie mocząc jego. W ręku trzymał coś, czego nie mógł opuścić, bo myślał, że było to berło. Zdawało mu się, że jest sam, ale za plecami czuł czyjąś obecność. Odwracał się i wołał w głąb lasu, prosząc, błagając znajdującą się tam istotę o wyjście mu naprzeciw. Za każdym razem jego wołanie pozostawało bez odpowiedzi. Zapadał zmrok, a on nie wiedział, jak wrócić do domu. Rozglądał się wokół, ale wszystko wyglądało tak samo. Z każdej strony otaczała go ściana ciemniejszej z każdą chwilą zieleni. Słońce opadało coraz niżej, a on zaczynał się bać coraz bardziej.

– Go! – jakiś nieznany krzyk rozdarł powietrze. – Go water the horses!

Chciał się obudzić, ale nie potrafił, tak jak nie mógł we śnie się zatrzymać, nogi same niosły go w las, przez co sen trwał godzinami, więząc go w coraz większym, coraz bardziej obezwładniającym strachu. Był naczyniem, wchłaniającym deszcz, który oszczędzając go, moczył wszystko wokół, powoli wypełnianym narastającą trwogą, która od nóg, stających się coraz cięższymi, przechodziła w wyższe partie ciała, wypełniała mu brzuch, ścisnęła narządy w jego wnętrzu, zalewała płuca, uniemożliwiając złapanie oddechu, wpływała przez gardło i nos do wnętrza głowy, zatykając usta, nie mogące wydać już żadnego krzyku, paraliżując zarówno myślenie, jak i działanie. Tak przepełniony, rozpadał się na drobne kawałki, a lęk, trwoga i zwykłe, ludzkie

przerażenie wylewały się z niego potężnymi falami, pochłaniając po kolei krzaki, drzewa, ścieżki, igliwie, pochłaniając w końcu zachodzące słońce.

Statkiem mocno kołysało. Janek otworzył oczy, ale jeszcze przez kilka kolejnych, długich sekund nie mógł się ruszyć.

– Napójcie konie! – tubalny męski głos ze snu dobiegał jednocześnie z głębi jego umysłu i z korytarza.

– Konie? Co u licha?! – pomyślał zdezorientowany i uniósł się na łokciach. Świadomość bardzo powoli i okrężną drogą, ale wracała do jego ciała.

Statkiem bujało, a w drzwi jego kajuty z całym impetem wpadł jakiś ciężar, z pewnością należący do właściciela głośu.

– Napójcie konie! – rozległo się ponownie i bliżej, tym razem jednak lekko stłumione.

Całkiem wybudzony, Janek odrzucił kołdrę i zerwał się na równe nogi. Dwoma susami doskoczył do drzwi i uniósł klapę, zasłaniającą znajdujące się w nich przeszklenie. Wielkie, smutne, jakby zażawione i zielone jak mokry świerkowy las oczy wpatrywały się w niego, bezgłośnie wzywając pomocy. Jak porażony odsunął się od drzwi i opuścił klapę. Obraz zniknął. Z korytarza dobiegał tupot nóg i coraz bardziej ściszone głosy.

– Tracisz rozum, chłopaku – powiedział do siebie.

Statkiem ponownie zakołysało. Złapał się uchwytu i powoli usiadł na łóżku. W takich to niezwykle-onirycznych okolicznościach rozpoczął się pierwszy dzień podróży Janka Kasperskiego.

II.

O 8:15 trzykrotnie zapukano do drzwi. Śniadanie. Wiedział, że musi chwilę odczekać, aby bezpiecznie i bezkontaktowo zabrać je z korytarza. Przywilej pierwszego tygodnia. Potem będzie zmuszony brać udział w posiłkach z innymi pasażerami. Taki był

regulamin. Tak więc należało postępować, choć było to wbrew nawykowi i przyzwyczajeniom Janka, który wspólne, niedzielne obiady w restauracji ze znajomymi rodziców czy świąteczne przyjęcia rodzinne pamiętał jak przez mgłę, nie wspominając już o hucznych studenckich biesiadach przy bimbry i chipsach, których biedak nie miał szansy w ogóle uświadczyc.

Uchylił drzwi i podniósł tacę. Porcja była niewielka i niezbyt wykwintna. Po rejsie można by oczekiwać chyba czegoś więcej. Miska owsianki z suszonymi owocami i dzbanek herbaty z zaparzaczką. Coś między przedszkolem a szpitalem.

– Janek, nie jesteś na czasach. Ty tutaj walczysz o życie – powiedział do siebie i przystąpił do jedzenia.

III.

Któregoś wieczoru, do dziś nie wiem w jakim celu, opowiedział mi dziwną historię, którą nie wiem, jak winienem interpretować i czy w ogóle mogę i powinienem to robić.

W trzeciej albo czwartej klasie Fabian, jego szkolny kolega, zaprosił go do siebie „na działkę”, która jak się okazało, nie była żadną działką, tylko olbrzymią, podmiejską posiadłością z dwoma domami – jednym dla gospodarzy, a drugim dla ich gości – kilkoma garażami, stajniami i kortem tenisowym. Dni mijały na wspólnej zabawie. Byli wtedy z Fabianem obaj w „okresie przyrodniczej zajawki”, w leśnym bajorze łapali traszki i żaby i wpuszczali je do stawów na terenie posiadłości, łapali motyle i tworzyli z nich katalog różnokolorowych okazów, wbijając szpilką ich drobne ciała do dużych zeszytów. Jako zadośćuczynienie masowym mordom na narodzie motylim popołudnia spędzali, spacerując wzdłuż szutrowej drogi i zdejmując z niej tłuste cielska czarnych, pozbawionych skorupy, a przez to nagich, paskudnych ślimaków, których całe gromady wychodziły na drogę w jakimś zupełnie niezrozumiałym i nienaturalnym pędzie ku śmierci pod kołami aut.

Pod koniec tygodnia dziadkowie Fabiana wyprawili duże przyjęcie w ogrodzie. Od samego rana przyjeżdżały różne osoby, które rozstawiały wielkie białe namioty imprezowe, dekorowały je świeżymi kwiatami, nakrywały stoły, przywoziły napoje i jedzenie. Na Fabianie te przygotowania nie robiły żadnego wrażenia, dalej chciał siedzieć na drodze i zdejmować z niej ohydne ślimaki, ale Janek wolał zostać i przyglądać się, jak powstaje ten całkiem nowy świat. Z pomocą przyszła babcia, która nakazała chłopcom się przebrać, nie wychodzić poza teren posiadłości i zachowywać się przyzwoicie.

Siedzieli na schodach domu gościnnego i znudzeni rzucali kamyczkami w łebki kwitnących tulipanów, kiedy zaczęli nadjeżdżać goście.

– Chodź, przywitamy się i cię przedstawię – powiedział Fabian i pociągnął Janka. – Zaraz będzie wesoło.

Wśród przybyłych było sporo dzieci, dziewczyn i chłopców w różnym wieku. Szybko uformowały się różne bandy, które rozbiegły się po terenie w jakiś własnych, wyimaginowanych misjach. W pewnym momencie Janek zgubił Fabiana. Szukając go, trafił do głównego namiotu, w którym siedzieli dorośli. Dobrze się złożyło, bo strasznie zgłodniał. Podszedł do stołu uginającego się pod ciężarem pyszności i wziął całą garść makaroników, bezowych francuskich ciasteczek, kruchych na zewnątrz i mięciutkich w środku. Wyszedł z namiotu i opędzłował je wszystkie. Były przepyszne, wypełnione malinami oraz białą i mleczną czekoladą, której strużka spływała mu teraz po brodzie. Obliznął usta ze smakiem i wrócił do namiotu po kolejną garść. Nigdy nie jadł czegoś tak dobrego. Dopiero kiedy się nasycił, pomyślał, że Fabianowi pewnie smakowałyby tak samo. Dlatego wrócił do stołu, żeby tym razem wziąć porcję dla przyjaciela. Po raz kolejny wyciągnął rękę nad ramieniem jakiejś starszej pani, kiedy usłyszał niski głos dziadka Fabiana, który uciszył inne głosy i wypełnił swoją stanowczością po brzegi cały namiot.

– Janie, to nieładnie tak częstować się bez pytania.

– Do tego z taką łapczywością! – dodała piskliwym głosem jego żona.

Wszystkie oczy kilkudziesięciu dorosłych zwróciły się w stronę Janka, w stronę jego wyciągniętej nad stołem ręki żebraka, ręki kogoś gorszego, kogoś z innej klasy, kto nie potrafi się zachować i nie zna manier, ręki prostaka, łasego na słodczyce, ręki barbarzyńcy, którym był. Nigdy wcześniej ani nigdy potem nie czuł tak ogromnego wstydu. Chciał zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu. Chciał zadzwonić po rodziców, żeby zabrali go z tego koszmarnego miejsca, miejsca jego upokorzenia, ale bał się, że ktoś opowie im o tym, jak się zachował, że poczują ten sam wstyd. Musiał ich przed tym uchronić, musiał chronić siebie. Dlatego został u Fabiana jeszcze dwa dni – zgodnie z tym, co zostało ustalone przed jego przyjazdem, po czym wrócił do domu jak gdyby nigdy nic.

IV.

Po śniadaniu umył zęby, wyszczotkował włosy. Prysznic wziął dopiero, kiedy przestało kołysać. Wyjrzał przez okno. Słońce było wysoko, ale przesłaniała je gruba warstwa chmur. Morze miało stalowoszary kolor. Zaciągnął zasłonę. Kajuta była niewielka, ale lepiej wyposażona niż moja. Pod oknem stało niezbyt szerokie, ale dwuosobowe łóżko. W nogach stała skrzynia na pościel, będąca jednocześnie siedziskiem. Dalej mały stolik, krzesło do spożywania posiłków, fotel z podnóżkiem i toaletka. Wszystko utrzymane było w jasnobrązowej tonacji z dodatkami zieleni. Na tapicerowanym wezglowiu widniała spora, czerwona plama. Czyżby krew? Nie, to rozlane czerwone wino z czasów, kiedy na rejsach się piło i bawiło, a nie uchodziło przed niebezpieczeństwami świata. Obecnie na statku obowiązywała prohibicja, kategoryczny zakaz używania wszelkich substancji psychoaktywnych. Selekcja naturalna, ocaleją tylko abstynenci. Tacy jak Janek, czyli ci, którzy nie mieli dotąd okazji upicia lub innego odurzenia, mieli największe szanse, nieświadomi tego, co tracą. Nie to co ja. Z pierwszego detoksu wywalili mnie ze słowami: „Chyba się panu imprezy pomyliły”. Ale wróćmy do naszego uroczonego flegmatyka.

Znużony spojrzął na wiszący nad drzwiami zegarek. 9:30. Od przebudzenia minęły dopiero dwie godziny. Sztućce, kubek i talerz po owsiance umył z dużą dbałością – niespotykaną zbyt często wśród młodych ludzi – o wszystkie ranty i brzegi w umywalce. Wrócił do pokoju i sięgnął do walizki. Gdzieś na spodzie leżały dodatkowe przybory kosmetyczne. Rozłożył przed sobą zestaw do pielęgnacji dłoni, stóp i paznokci, z którego wyjął szczypczyki. Wrócił do łazienki i napaścił wody do umywalki, dodał trzy pompki mydła w płynie. Kiedy woda się zapieniła, włożył do niej lewą dłoń i przez chwilę namaczał ją w roztworze. Następnie starannie wytarł ręcznikiem oraz odruchowo i jeszcze staranniej zdezynfekował. W końcu przystąpił do wycinania zawadzającej mu skórki w palcu serdecznym. Robił to poważnie i z uwagą, nie chciał się skaleczyć. Kiedy operacja zakończyła się sukcesem, wrócił do pokoju. Była 9:39.

V.

Tobie, drogi czytelniku, wizja spędzenia tygodnia w zamknięciu, może wydawać się okropną, ale dla naszego bohatera nie było to nic niezwykłego. Nawykły do izolacji, bez oporów poddał się reżimowi sanitarnemu, obowiązującemu na statku. Nie narzekał, nie wariował, nie denerwował się. Spokojnie leżał, czekając na upływ z góry określonego czasu. Przemierzał kajutę wzdłuż i wszerz, dla zachowania odpowiedniego tętna i kondycji stawów, wykonywał kilka powtórzeń podstawowych ćwiczeń gimnastycznych, robił wymachy rękami, co parę kroków przysiadał. Godzinami wyglądał przez okno, wypatrując na horyzoncie lądu. W myślach dokonywał obliczeń na temat miejsca i położenia statku. Według jego szacunków po tygodniu rejsu winni znajdować się gdzieś na Morzu Północnym. Czasem, leżąc w ciemności, nasłuchiwał dźwięków statku – huku fal, głośniejszej pracy silników, jakichś kroków w oddali, ale w szczególności nasłuchiwał odgłosów zza ściany. Już pierwszego dnia, sąsiad z kajuty obok dał o sobie znać cichym pogwizdywaniem. Melodia wydała się znana Jankowi, ale dźwięk był zbyt słaby, a wspomnienia zbyt odległe, aby przypomniał sobie tytuł lub nazwisko kompozytora. Później słyszał ją jeszcze kilkakrotnie, głównie wieczorem,

kiedy kładł się do łóżka i zasypiał. Z początku zbyt pochopnie wysnuł wniosek, że osoba zza ściany musi być bardzo mało aktywna, całymi dniami leży w łóżku lub siedzi w fotelu. Dopiero wieczorne gwizdanie uzmysłowiło Jankowi Kasperskiemu, że ta osoba wstaje, kiedy on zasypia, że ich cykle dobowe są doskonale odwrotne. Kiedy sobie to uświadomił, pozazdrościł pasażerowi i stracił do niego całą sympatię, którą zdążył już zainwestować w tę znajomość.

Janek też był nocnym markiem, lubił noc z jej ciemnością, spokojem i ciszą, ale matka pilnowała go, aby nie siedział po nocach i wcześniej wstawał. Nienawidziła spania do późna, gardziła ludźmi, którzy wstawali później niż o siódmej. „Tylko nieroby i nygusy śpią dłużej. Porządni ludzie, ludzie, którzy mają coś do zrobienia wstają wcześniej”, tak w skrócie można by streścić jej teorię klasy próżniaczej. Chcąc nie chcąc, Janek odziedziczył po rodzicach pewne przekonania, mimo że część z nich była sprzeczna z jego osobistymi odczuciami czy naturalnymi predyspozycjami. Jednak im bardziej denerwował się na towarzysza, tym więcej myśli mu zajmował. Każdego wieczoru zasypiał coraz później, aby uszczknąć coś więcej niż poranne pogwizdywanie znajomej melodii z codziennej rutyny tamtego. Przed upływem pierwszego tygodnia wiedział już, że po przebudzeniu sąsiad najpierw bierze długi prysznic, a dopiero później zjada śniadanie, które, zważywszy na porę, jest kolacją. Długi czas spędzany w toalecie mógłby świadczyć o tym, że tamten jest kobietą. Ale czy na pewno i czy cokolwiek to zmienia? Nad wyraz spokojny i powściągliwy okaz był z Janka Kasperskiego, który z pokorą przyjmował wszystko, co serwował mu los.

Czego nie można z całą stanowczością powiedzieć o jego innych współpasażerach, ponieważ ludzie – co jest absolutnie naturalne i zgoła normalne – różnie znosili narzucane im ograniczenia. Wyróżnić wśród nich można było kilka grup. Solidarnościowcy – ci, którzy każde zdanie rozpoczynali od bredni w stylu: „Dla dobra ogółu” lub „Naszym wspólnym interesem jest...”, kiedy nie do końca wiadomo było, do kogo konkretnie odnosi się owo „my”, tych było z początku najwięcej, co wciąż dobrze stanowiło o kondycji ludzkości w jej wymiarze humanitarnym w dziesiątym roku

pandemii; survivalowcy – którzy wszelkie zagrożenia traktowali jak wyzwanie, z którym należy się zmierzyć w otwartej i brawurowej, aczkolwiek skazanej na porażkę, konfrontacji; konfederaci – walczący o wolność do samostanowienia, doprowadzający każdą niezgodną z ich światopoglądem rozmowę do absurdu; oraz jaśniepaństwo – które z dużą dozą buty i pogardy postuloowało dostęp do terapii, opieki medycznej i udogodnień dla najzamożniejszych. „Może to i niesprawiedliwe” – mówili. „Ale przynajmniej jest szansa, że ktoś ocaleje. W przeciwnym razie zginieemy wszyscy”. Byli jeszcze malkontenci, którzy z dezynwolturą kontestowali każdą próbę rozwiązania któregoś z problemów, podając w wątpliwość sens jakichkolwiek działań i w każdym rozwiązaniu wynajdując jego najsłabsze strony.

Już wkrótce nastąpić miało spotkanie naszego bohatera z przedstawicielami każdej z grup. Póki co, cieszył się ostatnimi dniami samotności, choć radość powoli, acz sukcesywnie wypierana była przez coraz liczniejsze obawy o różnej, nie zawsze uzasadnionej, proveniencji.

Natalia Królikowska:

Daleko to opowieść o podróży donikąd. W dziesiątym roku pandemii rodzice wysyłają 23-letniego jeźdźcę Janka w rejs, którego celem nie jest żaden z portów, lecz przetrwanie podróżujących do czasu wynalezienia panaceum na chorobę trawiącą ludzkość. Na statku Janek spotyka szereg postaci reprezentujących różne ludzkie typy. Podróż staje się drogą do samopoznania bohatera. Powieść kończy się dramatyczną sytuacją na Morzu Śródziemnym, kiedy żaden z portów nie chce przyjąć okrętu ocalałych. Luksusowy statek wycieczkowy staje się tym samym skazaną na zagładę tratwą.



W upalne dni czas płynie wolniej

Powietrze miało pachnieć cynamonem. Przez okna wdzierały się jednak inne zapachy: jedzenia smażonego na straganach, rozgrzanego asfaltu, przejrzałych owoców i spalin. Razem z nimi do pokoju wlewał się lepki, duszny gorąc i chociaż zawieszony u sufitu wiatrak pracował na najwyższych obrotach, tak szybko że nie dało się policzyć, ile ma skrzydeł, to gęste powietrze stało w miejscu. Lena znowu usłyszała ten dziwny, gardłowy język; chciała wyłowić jedno z kilku nauczonych w samolocie słów, ale dźwięki zlewały się w zbitą masę o postrzępionych brzegach, ostrą i nieprzyjazną. Z okna pierwszego piętra widziała, jak w oddali przez ulicę przetacza się gęsty tłum: dzieciaki biegały prawie nago, pomiędzy nimi przewijali się szczupli, młodzi chłopcy i kobiety z grubymi, błyszczącymi włosami. Z kolei okno wychodzące na drugą stronę pokazywało inne miasto – pnące się w górę ulice były zadbane, za kamiennymi murami kryły się przestronne wille. Tutaj chodniki były puste; co jakiś czas ulicą przejeżdżało błyszczące auto, po czym znikało za którąś z bram.

Mimo że Lena była tylko w majtkach i luźnej koszulce, jej skóra była wilgotna od potu. Przyjęcie miało zacząć się wieczorem, kiedy upał – miała nadzieję – zelżeje trochę. Rozejrzała się dookoła – nierozpakowane pudła pokrywały całą podłogę, kilka worków leżało pod ścianą, wysypywały się z nich ubrania. Z rezygnacją otworzyła pierwszy z brzegu karton – na wierzchu leżało zdjęcie w ramce. Lena była na nim o kilka lat młodsza, miała grzywkę i długie włosy, Adam bez brody, Sary nikt by nie rozpoznał: dopiero co wypadły jej mleczaki i straszyla bezzębnym uśmiechem przedszkolaka. Lena wyjęła fotografię i położyła ją

na pustym stoliku. Do nowych miejsc nie powinno się przywozić zdjęć z przeszłości, pomyślała. Są na nich tylko duchy.

Zapoznawcza kolacja na cześć nowo przybyłych odbywała się w domu któregoś z dyplomatów. Adam, otwierając granatową kopertę z zaproszeniem, która czekała na niego na blacie w kuchni ich nowego domu, zauważył, że jego dłoń lekko się trzęsie. Będzie musiał poznać mnóstwo nowych ludzi. Zapamiętać ich imiona. Zdecydowanie – ale nie za mocno – ścisnąć obce dłonie. Chwalić kraj, do którego przyjechali zaledwie dzień temu, a o którym pół roku wcześniej nie wiedział nic. Wkupić się do tego elitarnego grona, które ma swoich ulubieńców i tych, którzy są poza.

– Boisz się? – Drgnął, kiedy głos żony nagle pojawił się za jego plecami. Poczł na ramionach ciepłe dłonie i przez chwilę wydawało mu się, że należą do kogoś innego. Lena miała lodowate ręce, które musiał ogrzewać nawet w ciepłe wiosenne dni. Nie odwrócił się, zamiast tego zamknął oczy, a koperta wyslizgnęła mu się i upadła z powrotem na stół. Adam chciał coś odpowiedzieć, ale nagle poczuł napierający na niego upał i to, że nie ma siły na wypowiedzenie choćby słowa.

Na początku, kiedy przez znajomości ojca trafił do ministerstwa, nie do końca wiedział, na czym będzie polegać jego praca. Bez zastanowienia robił to, czego wymagali od niego ludzie w garniturach i okularach bez oprawek. Dopiero parę lat temu zaczął myśleć o wyjeździe na placówkę. To dlatego przedzierał się przez stosy nudnych dokumentów, umów i książek, zdawał niezliczone egzaminy, pracował po godzinach w biurze, które z miejsca jego potencjalnego startu w świat stało się senną przystanią. I nagle, zupełnie niespodziewanie, został wezwany na rozmowę do dyrektora, który oznajmił mu, że jeden z ambasadorów zrezygnował. Uważa, że Adam świetnie go zastąpi. W przyszłym tygodniu przedstawi jego kandydaturę ministrowi, najpierw jako chargé d'affaire, na zastępstwo, potem jako ambasadora. Ufa, że Adam znakomicie się sprawdzi.

– W tym kraju nie ma problemów – powiedział, uprzedzając wszystkie pytania. – Jest za to ocean, słońce i palmy. Świetny start do dalszej kariery, to już w końcu najwyższy czas.

Potem lekko się uśmiechnął i puszczał oko do Adama, dodał:

– A żonie możesz przekazać, że w powietrzu pachnie cynamonem.

Lena wiedziała, że nie może powiedzieć „nie”. Uświadomił jej to sam Adam po powrocie z pracy, kiedy podekscytowany możliwością wyjazdu chodził z jednego pokoju do drugiego. „Szansa”, powtarzał. „To naprawdę jest duża szansa”. Lena w myślach chciała dodać: „wyłącznie dla ciebie”, ale nie odzywała się, mechanicznie gładząc blat.

– Naprawdę mi na tym zależy – usłyszała szept Adama, próbującego wtulić się w jej włosy. – Nie udawaj zaskoczonej.

Lena stężała pod jego dotykiem, chciała wyswobodzić się z uścisku, mąż trzymał ją jednak mocno. Po chwili odpuściła, stali przytuleni w ciszy.

W końcu Adam wypalił:

– Kochanie, przecież nie masz nic do stracenia. – Po tonie jego głosu wiedziała, że stara się, żeby nie zabrzmiało to dziwnie, ale i tak poczuła ucisk w brzuchu.

– Jakie to smutne. Mam trzydzieści osiem lat i nic do stracenia – powtórzyła za nim. – Moje wszystko może zaraz ruszyć za ocean, a ja zostanę z niczym.

Wyswobodziła się z uścisku.

Adam miał minę zbitego psa, bezradnie opuścił ręce. Wyglądał jak kukielka, którą po spektaklu odrzucono w kąt. Lena parsknęła śmiechem.

– Jedźmy – powiedziała. – Tylko stawiam dwa warunki. Po pierwsze, nie będę musiała tam robić nic poza pisaniem. Po drugie, sam przekonasz Sarę.

Przyjęcie u amerykańskiego ambasadora zaczynało się o ósmej. Adam sądził, że najważniejszą cechą dyplomaty jest przychodzenie o czasie, nie za wcześnie, żeby nie zobaczyć pani domu bez makijażu, nie za późno, żeby nie natknąć się na kogoś pijanego w sztok. Na tę okazję wybrał ciemnogrnatowy garnitur, białą koszulę i użył perfum, które dostał od żony na gwiazdkę. Po kilku minutach poczuł, że cały lepki od potu, ma na plecach powiększającą się z każdą minutą plamę.

– Dziewczyny! – krzyknął z garderoby w stronę schodów. – Gotowe?

Nikt mu nie odpowiedział.

Adam wyszedł z pokoju, zajrzał do sypialni. Sukienka Leny leżała na łóżku, szpilki stały pod ścianą. Zerknął na zegarek, było pięć po siódmej.

– Sara! – Poszedł w stronę pokoju córki.

Drzwi były zamknięte, zapukał w nie kilka razy, w końcu naciśnął klamkę. Na łóżku, odwrócone do siebie tyłem, leżały obie, jego żona i córka. Spały, były jak wyrzucone na brzeg, martwe ryby.

Kiedy w końcu dotarli na miejsce, odważył się spojrzeć na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Przeklął pod nosem, Lena zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok.

– Szybko, idziemy.

Ruszył pierwszy, i nie czekając na żonę i córkę, dotarł do drzwi wejściowych, przy których stał wysoki, zasuszony lokaj.

– Czekaliśmy na państwa. – Ukłonił się, po czym uchylił drzwi rezydencji.

Ze środka doleciały dźwięki niskiego, kobiecego głosu. Adam usłyszał jeszcze, jak lokaj mruczy do Leny:

– Proszę czuć się jak u siebie.

Po przejściu wąskiego, ciemnego holu, Adam znalazł się

w przestronnym salonie i niezdecydowanie stanął na środku. Nagle poczuł się jak gówniarz, któremu udało się wślizgnąć na imprezę starszego brata. Narastała w nim paląca złość na siebie samego, na zakorkowane miasto, na niedziałającą nawigację, ale przede wszystkim na Lenę. Początek jego historii tutaj miał być zupełnie inny, bez głupich potknięć, które co chwila zdarzały mu się w poprzednim życiu. Tutaj chciał być jak kameleon, który bez przeszkód wtapia się w otaczające środowisko. Na szczęście po chwili, zapewne zawiadomiony przez lokaja, pojawił się przed nim gospodarz, tęgawy Amerykanin z widoczną łysiną, z którą klócił się szpaler równych, zbyt dużych zębów.

– No! – wykrzyknął uradowany, jakby spotkał starego znajomego. – Już myśleliśmy, że stchórzyłeś.

Adam zaczął przeproszać za spóźnienie, gorączkowo rozglądając się w poszukiwaniu Leny i Sary. Amerykanin jednak nie pozwolił mu dojść do słowa, kładąc na ustach palec, a ten gest miał w sobie coś jednocześnie władczego i dziecinnego. Potem mężczyzna wziął Adama pod ramię i poprowadził w głąb domu. Przeszli najpierw obok dwóch starszych par, siedzących przy atrapie kominka i grających w brydża, potem minęli dwie kobiety ubrane w czarne suknie, które umilkły na ich widok. Zatrzymali się przy schodach wiodących na górę.

– Coś mi się zdaje, że poszła odpocząć – wymruczał Amerykanin, poufale ściskając Adama za ramię.

– Kochanie! – zawołał w stronę szczytu schodów. – Chodź się przywitać!

Po kilku sekundach, kiedy cisza stawała się coraz bardziej krępująca i Adam chciał się grzecznie wycofać, ambasador zamaszystym krokiem wszedł na stopnie. Na górze otworzył drzwi po prawej stronie w korytarzu. Jego kroki umilkły, ale po sekundzie Amerykanin pojawił się, prowadząc przed sobą żonę. Zeszli po schodach.

Kobieta ubrana była w obcisłą, czarną sukienkę i razem z nią pojawił się aromat ciężkich, drzewnych perfum. Miała około czterdziestki, na jej twarzy widać już było delikatne ślady po

wizytach u chirurga – nieco zbyt wydatne usta, perfekcyjne kości policzkowe. Adam pomyślał o niestarzejących się eksponatach z muzeum figur woskowych. Ambasador, uradowany, szczebiotał: „Zapoznajcie się: Adam, nasz nowy kolega, moja żona, Gloria”, i miał na twarzy rozlewający się uśmiech, z pewnością taki sam jak wtedy, gdy pokazywał gościom najpiękniejszy eksponat ze swojej myśliwskiej kolekcji.

– Przepraszam, że panią fatygowałem – zaczął wyjaśniać Adam zaraz po tym, jak uścisnął gładką dłoń z długimi, bordowymi paznokciami i złotą biżuterią. – Nieco się spóźniłem i...

– Pierwsza zasada dyplomaty: nigdy się nie tłumacz – przerwała mu delikatnie. Mówiła z południowym akcentem. – Chyba musi się pan jeszcze dużo nauczyć.

Ambasador parsknął śmiechem.

– Cała Gloria! Bezczelna Włoszka! – Puścił do Adama oko. – A teraz wróćmy do gości, bo zaraz o nas zapomną.

Adam spojrzał na Glorię, która obojętnie zapalała papierosa. Było w niej coś przyciągającego, jakaś perwersyjna przyjemność oglądania fałszywego piękna, które już niedługo się rozpadnie. Ich spojrzenia się spotkały, jakby wiedziały, o czym myśli.

– Zapalisz? – Wyciągnęła w jego stronę rękę z prawie pustą paczką.

Pokręcił głową.

– Zdaje się, że i tak na coś umrzemy – szepnęła, powoli wydychając dym.

Adam, prowadzony przez ambasadora z powrotem do salonu, co chwila musiał przystawać, uśmiechać się, podawać dłoń, przedstawiać się i zamieniać dwa zdania na temat kraju lub pogody. Nie umiał zapamiętać imion ludzi, ich narodowości ani twarzy, wszyscy zaczęli zlewać się w jedną, elegancko ubraną masę;

coraz bardziej wypatrywał Leny i Sary, które – wydawało się – zupełnie zniknęły z przyjęcia.

Nagle, zamiast iść dalej w głąb salonu, ambasador przystanął przy mahoniowych drzwiach i otworzył je. W niewielkim pokoju, który wyglądał na gabinet, znajdowała się grupka osób palących cygara.

– No, nareszcie jesteśmy – rzucił w przestrzeń Amerykanin, ciężko łapiąc oddech.

Nikt więcej się nie odezwał.

Pierwszy z trzech mężczyzn miał szczupłą, przystojną twarz o latynoskich rysach, na jego prawej ręce połyskiwał złoty sygnet; drugi, dobrze zbudowany, był typem wikinga z blond włosami i oczami koloru lodu; trzeci, dużo starszy od reszty, już siwy i z okularami w grubych, ekscentrycznych oprawkach, wyglądał trochę na projektanta mody, trochę na biznesmena filantropa.

Zaczyna się, pomyślał Adam. Audycja u wielkiej trójcy. Uściśnął każdemu dłoń, za każdym razem powtarzając w myśli: Argentyna, Szwecja, Anglia.

Po prezentacji zapadła cisza, Amerykanin rozsiadł się w fotelu, ciężko wzdychając. Cztery pary oczu utkwione były w Adama, badawcze spojrzenia równocześnie taksowały jego strój i gesty.

– Czego się pan spodziewa po pobycie tutaj? – zapytał w końcu Argentyńczyk. Miał łagodny, cichy głos. Adamowi przypominał właściciela pięciogwiazdkowego hotelu albo modela z reklam kosztownego alkoholu.

– W zasadzie zawsze o tym marzyłem... – Żle. Brzmi, jakby miał szesnaście lat i próbował wyprosić u rodziców zgodę na wyjazd z kumplami pod namiot. – Po prostu uwielbiam podróże, nowe wyzwania, poznawanie nowych ludzi... – Kurwa, ogłoszenie matrymonialne. – Nigdy nie słyszałem nic o tym kraju i chciałem przekonać się na własne oczy, że naprawdę istnieje. I że faktycznie pachnie w nim cynamonem. – Roześmiał się. Tylko on.

– Nie, nie pachnie tu cynamonem – po chwili ciszy rozległ

się miękki głos Argentyńczyka. – I tego, że istnieje, też nie byłbym taki pewien.

Właściwie rozdzielili się od razu. Widziała, jak Adam gorączkowo szuka wzrokiem swojego anioła stróża, który miał go wprowadzić w całe towarzystwo. Zostawił ją i Sarę zaraz po wejściu, w dużym, ciemnym holu, sam pogalopował do światła i muzyki.

– To co, idziemy czy uciekamy? – zapytała Sara, nerwowo wygładzając swoją krótką, oliwkową sukienkę.

Lena wzięła głęboki oddech.

– Daj spokój. Nie możemy zwać z pierwszego przyjęcia. Tylko nie jedz owoców morza – dodała, kiedy wchodziły już do rozświetlonego salonu. – Nie wiadomo, jak długo leżały w tym upale.

Wszystko wyglądało tak, jak sobie wyobrażała, tylko powiększone razy dwa. Ogromny, kilkudziesięciometrowy salon, u sufitu obracające się powoli wiatraki, stoły zastawione jedzeniem i butelkami wina. Dom był urządzone z powściągliwą elegancją, którą Lena kojarzyła z przeglądanych u fryzjera magazynów wnętrzarskich. Na ścianach wisiały duże, geometryczne obrazy, a kroki tłumiły puszyste dywany, w których zapadały się szpilki. Panoramiczne okna wychodziły na bujny, zielony ogród porośnięty bananowcami. Ludzie pachnieli mocnymi perfumami, nieudolnie ukrywali swoje bogactwo. Mężczyźni ze złotymi zegarkami wystającymi spod mankietów, kobiety w sukienkach z odkrytymi plecami, szmer rozmów unoszący się w powietrzu niczym stado leniwych motyli. Lena nie miała pojęcia, do kogo powinna zagadać, komu się przedstawić, o ile w ogóle kogokolwiek obchodziła jej obecność.

– Czy w tym kraju istnieją ludzie w moim wieku? – usłyszała szept Sary.

Uśmiechnęła się.

– Przykro mi, ale wygląda na to, że przetrwali tylko tak starzy jak ja. – Głową wskazała na kruchą, stareńką kobietę w białych,

ufryzowanych włosach, otulających ją szczelnie jak hełm. Na pomarszczonej szyi błyszcząły perły, ciężkie powieki pomalowane były złotym cieniem. W ręce starsza pani dzierżyła kieliszek szampana, kilka kropelek spadło jej na dekolt.

– No dobrze, spróbujmy sprawić, żeby ten wieczór nie był aż tak zły. – Lena westchnęła i pociągnęła córkę w stronę baru.

O nie, pomyślała Sara, kiedy dotarły przed skąpaną w ciepłym świetle ladę, za którą ubrany na biało barman serwował drinki. Zaczyna się.

Pod barem tłoczyła się młodzież, głównie w jej wieku albo nieco starsi, każdy z kolorowym kieliszkiem. Sara widziała, że jej mama spogląda na nią triumfalnie z miną, która oznacza „znalazłam ci kolegów!”. Sara spuściła wzrok, starając się zniknąć, przemknąć niezauważoną, nie zostać przyłapaną na życiu. Jej mama podeszła do baru i zamówiła mojito, niezręcznie jakoś opierając się ramieniem o ladę. Brakowało tylko, żeby odwróciła się do wysokiego chłopaka obok i powiedziała „hej”.

– Hej – wypaliła Lena.

Zdziwiony chłopak odwrócił się do niej i nieśmiało wydukał:

– Dobry wieczór pani.

Na twarzy mamy Sara zobaczyła zawahanie.

– Mamo, błagam, tylko nie mów „ale fajna imprezka” – wyszczała, przechodząc na angielski.

Chłopak się roześmiał, Lena też.

– O Boże, co w tym złego? – zapytała. – Jesteśmy nowe – zwróciła się do chłopaka. – Ale nie chcę brać cię na litość. Nie musisz z nami rozmawiać. – Lena usłyszała ciężkie sapnięcie Sary. – To moja córka, wychowała się w dżungli i muszę ją nauczyć, jak się rozmawia z ludźmi.

Okazało się, że Jonas jest synem niemieckiego ambasadora, gadatliwym nastolatkiem, który mieszka na placówce dopiero od pół roku. Wcześniej spędził cztery lata w Tajlandii.

– Przyzwyczaisz się, nie jest źle – powiedział do Sary, kiedy jej mama, rzucając brzmiące jak tajny kod „pamiętaj o owocach morza”, zniknęła w tłumie. – Na początku jest dziwnie, w ogóle nie rozumiesz ludzi na ulicy, nie ogarniasz ich zwyczajów, ale potem się przyzwyczajasz. Tylko po prostu dalej nic nie kumasz. No i jak dla mnie jest trochę za gorąco, ale lepsze to niż niemiec-ka pizgawica. Co pijesz?

Niech chociaż Sara dobrze się bawi, myślała Lena, lawirując w salonie między kelnerami roznoszącymi przekąski i ogromnymi donicami z palmami. Duże, przeszklone drzwi prowadziły do ogrodu i było tam znacznie ciszej, a mrok delikatnie rozświetlały powtykane w ziemię latarenki. Usiadła na kamiennej ławce stojącej przodem do domu. Przez duże okna widziała cały parter – przyjęcie było całkiem spore, wydawało się, że pracownicy ambasad tworzą własne miasteczko, które mogłoby znajdować się gdziekolwiek na świecie. Roześmiani ludzie oblizywali łyżeczki z musu czekoladowego, popijali szampana i poklepywali się po plecach, a przy okazji byli w pracy, spełniając swój dyplomatyczny obowiązek powitania nowego członka sekty. Liczyła, że zobaczy gdzieś Adama, w końcu ktoś chyba zapyta go, gdzie zostawił żonę, i wtedy będzie musiała radośnie ścisnąć rozgrzane, mocne dłonie i wdychać zapach przetrawionego alkoholu.

Ale jak widać, na razie jej mąż świetnie radził sobie sam. Lena wzięła jeszcze jeden łyk mojito, odstawiła szklankę na ziemię i poszła w głąb ogrodu.

– I mu mówię, że go, kurwa, nie rozumiem i dyktuję jeszcze raz, po-wo-li, nazwę tej ulicy, gdzie chcę dojechać, i pytam się go, jak to zrobić, a ten autobusiarz nic, znowu zaczyna do mnie charczeć w swoim języku, więc w końcu się wkurzyłem i zatrzymałem pierwszą lepszą taksówkę. – Wśród ogólnego rozbawienia syn gospodarza opowiadał historię o tym, jak zaraz po przyjeździe chciał wniknąć w kraj i żyć jak normalni ludzie. – I tak było ze wszystkim, więc olałem to, niech oni sobie żyją osobno i my osobno – podsumował i wziął duży łyk piwa.

Siedzieli w niewielkim pomieszczeniu, w którym ściany aż po sufit wypełnione były książkami, a do półek sięgały

starodawne drabinki. Zdawało się, że miejsce to pełniło funkcję reprezentacyjnej biblioteki. Colin, syn gospodarzy, siedemnastolatek o czarnych, sycylijskich włosach i amerykańskiej pewności siebie, na wieść o tym, że dołączyła do nich Sara, ściągnął wszystkich młodych, którzy stali przy barze, i zarządził, że idą gdzieś, gdzie będzie można w spokoju pogadać. Siedzieli więc teraz wśród książek na podłodze i w klubowych fotelach – Colin w największym, skórzanym chesterfieldzie stojącym za biurkiem – razem jakieś dziesięć osób, i przekrzykiwali się, opowiadając swoje historie. Sara czuła, że delikatnie kręci się jej w głowie – Jonas wziął dla nich drinki na bazie wódki z trzciny cukrowej, mówiąc, że musi zacząć od tutejszej klasyki. Nigdy wcześniej nie piła nic tak mocnego, ale nie umiała odmówić komuś, kto przygarnął ją do towarzystwa. Z głowy wylatywały jej angielskie słówka, najchętniej zwinęłaby się na podłodze w kłębek i zasnęła. Powoli gubiła się w historiach opowiadanych przez Colina, Jonasa i całą resztę. Schemat wszystkich był taki sam: rodziców nie ma w domu, wpada grupa znajomych, ktoś wskakuje w ubraniu do basenu, a ktoś zaczyna palić w salonie, włącza się alarm, przyjeżdża policja, trzeba wcisnąć im jakąś gadkę, na tyle prawdopodobną, żeby rodzice się o niczym nie dowiedzieli, a najlepiej wsunąć kilka zmiętych papierków.

Powoli rozmowy cichły, coraz więcej osób odstawiało puste butelki i zanurzało się w swoich telefonach, ich twarze rozświetlał zimny blask. Do Sary przysiadł się Jonas, podpity na tyle, że niektóre słowa wymawiał z twardym, niemieckim akcentem.

– Spodoba ci się tutaj, zobaczysz.

Kiedy Sara nie odpowiedziała, nachylił się do jej ucha i wyszeptał:

– Nie martw się, najwyżej stąd uciekniesz. A ja z tobą. – Roześmiał się.

Spróbował zbliżyć usta do policzka Sary, ale szybko się odsunęła. Poczuła, że jest zmęczona, że musi odszukać rodziców i namówić ich na powrót do domu. Spróbowała wstać, ale nagle usłyszała głos Colina. Stał na stole, wymachując butelką z szampanem, i mówił, patrząc prosto na nią:

– Nasza nowa koleżanka Sara musi teraz poznać nasz kodeks. – Uciszył śmiechy i gwizdy, które rozległy się wokół. – A więc po pierwsze, nie kablujemy. Po drugie, jesteśmy tu, żeby dobrze się bawić. I po trzecie, nie wiemy, co to znaczy dyplomacja.

Korek wystrzelił w powietrze i trafił w obraz na ścianie. Szampan zaczął ściekać po rękach Colina, ubraniu i stole, i wsiąkł w puszysty perski dywan.

Adam przypuszczał, że to próba sił – gospodarze terytorium chcą pokazać, kto tu rządzi – ale nie miał pojęcia, którą taktykę ma zastosować. Podkulić ogon i udowodnić, że zna swoje miejsce, czy raczej wysłać jasny sygnał, że chce być równorzędnym graczem. Przez dłuższy moment cała grupa mierzyła się spojrzeniami, Adam jako jedyny stał, reszta w milczeniu siedziała w fotelach. W końcu Anglik, który wydawał się Adamowi najbardziej sympatyczny – nie liczył Amerykanina, od razu zorientował się, że ten nie ma nic do gadania – po przedłużającej się ciszy w końcu się odezwał:

– Proszę się nie denerwować. Po prostu chcemy wiedzieć, że nowy członek naszej małej społeczności jest godny zaufania. – Uśmiechnął się jak podczas flirtu. – Na pewno pan to rozumie.

Adam mimowolnie kiwnął głową, miał lodowate ręce, chociaż w pokoju było gorąco i duszno.

– Z przykrością musimy stwierdzić, że pański poprzednik miał z tym pewien problem. – Do rozmowy włączył się mężczyzna o niebieskich oczach, Szwed. – Nie mógł zrozumieć, że w dyplomacji wszystko opiera się na pracy zespołowej. Samotny wilk nic tu nie osiągnie. Liczy się wataha. – Przepraszająco rozłożył ręce, jakby tłumaczył przedszkolakowi, że ten nie dostanie wymarzonej zabawki, jeśli nie będzie dobrze się zachowywać.

Adam, o dziwo, nie wiedział praktycznie nic o swoim poprzedniku. Przy mianowaniu nowego pracownika placówki zawsze pewnie krążą plotki o powodach odejścia starego. Tymczasem biuro milczało. Kiedy Adam zebrał się na odwagę i na kilkanaście dni przed wyjazdem zapytał przełożonego o ambasadora, który był na

placówce przed nim, ten, patrząc mu prosto w oczy, lakonicznie odparł: „Blumenfeld? Problemy zdrowotne. Ciepły klimat nie do końca mu służył”.

– Chyba już wszystko sobie wyjaśniliśmy! – Radosny okrzyk Amerykanina zwiastował koniec rozmowy.

Mężczyzna usłużnie podsunął Adamowi skórzany fotel. Jego wesołość tak bardzo kłóciła się z lodowatą powściągliwością tamtych trzech, że Adam poczuł wdzięczność.

– To najwyższy czas, żeby już dać sobie spokój z tym ceremoniałem. – Amerykanin niemal zatarł pulchne dłonie, w chwilę potem na stole pojawiła się butelka whisky i pięć szklanek. – No to, Adam... Chyba już możemy tak do siebie mówić, prawda? – Odwrócił się do swoich towarzyszy, czekając na ich reakcję.

Zasuszony Anglik jako jedyny przyzwalająco skinął głową. Amerykanin skierował rozradowaną twarz w stronę Adama.

– I jak pierwsze wrażenia z naszego pięknego, egzotycznego zesłania?

Okazało się, że ogród jest większy, niż myślała. Jego dalsza, nieoświetlona część ciągnęła się między drzewami, których liście wydzielały mocny, kadzidlany zapach. Lena szła przed siebie; buty trzymała w ręce, pod bosymi stopami czuła łaskoczącą trawę. Dopiero teraz docierała do niej myśl o tym wszystkim, co stało się podczas ostatnich dni. Wylot z kraju, nieprzespana noc na lotnisku w oczekiwaniu na przesiadkę, kosztowny nadbagaż, rozdrażniony Adam, zmęczona Sara i ona, która gdzieś w głębi duszy wierzy, że ten wyjazd może być początkiem czegoś nowego. Okazało się jednak, że na razie myśl o pisaniu jest tu tak samo wstrętna jak w domu.

Nagle wśród drzew usłyszała szelest. Intuicyjnie odskoczyła, odwracając się w stronę domu, z którego dochodziły przytłumione głosy i muzyka. Nie była daleko.

– Nie ma się czego bać – powiedziała pod nosem, wyteżając w ciemności wzrok.

Szmer się powtórzył, zobaczyła, że zza drzewa wystaje szczupłe ramię. Kiedy podeszła bliżej, dostrzegła młodą dziewczynę, która z wysiłkiem próbowała wstać z ziemi. Podobne do niej długowłose piękności Lena widziała na ulicach, kiedy przejeżdżali taksówką przez miasto. To prawdziwe miasto, czyli daleko od miejsca, w którym mieściły się domy pracowników placówek dyplomatycznych.

– Wszystko w porządku?

Dziewczyna nie odpowiedziała, dłonią z długimi, doklejonymi paznokciami przetarła oczy, zostawiając pod powiekami ślady tuszu. Lena spojrzała na rozciętą wargę, z której sączyła się krew. Brzeg krótkiej sukienki był rozdarty.

– Kto ci to zrobił?

Dziewczyna najpierw przez chwilę patrzyła Lenie w oczy, potem powoli wskazała na rezydencję ambasadora, która wyglądała jak rozświetlony ul, ciepły i lepki. Powoli podniosła palec i położyła go na ustach.

Lena chwyciła jej dłoń i nakryła swoją.

Chodźmy, zanim nasze panie zatęsknią. – Amerykanin z wysiłkiem podniósł się z fotela. – Zawsze musimy najpierw sami sobie pogadać, żeby potem ich nie zanudzać.

Puścił do Adama oko. Miał czerwoną, napuchniętą od alkoholu twarz. Adam też czuł, że jest już bardzo pijany. Upał nie zelżał, a on wypił o kilka chłodnych drinków za dużo.

– Mamy nadzieję, że poznamy dziś twoją rodzinę – usłyszał głos Szweda. Po nim za to nie było widać nic. Jego białe zęby były w tym samym odcieniu, co rozpięta pod szyją koszula. Powoli przeczesał równo przystrzyżone, jasne włosy i dodał:

– Osobiście nie mogę się doczekać.

Chwilę później wyszli z zadymionego dymu pokoju do przestronnego salonu. Adamowi wydawało się, jakby audiencja

u wielkiej czwórki – czy raczej trójki – była czymś, co mu się przyśniło. Szwed wyłuskał z tłumu zgrabną, rudowłosą kobietę, ubraną w sukienkę z głębokim dekoltem, do Anglika dołączyła żona ze sznurem pereł na szyi. Adamowi przypominały ćmy, które nie wiadomo skąd zlatują się do światła. Wypatrywał Leny i Sary, przez głowę przeleciała mu myśl, że znudzone pojechały do domu, ale szybko ją odgonił, wiedzą przecież, jak ważny jest ten wieczór. Z drzwi, ukrytych obok baru, wylała się nagle rozkrzyczana grupa młodzieży. Na jej czele siedł krępy chłopak, a każdy z tego tłumu miał w ręce butelkę lub szklanekę z drinkiem. Sara też. Adam widział, że córka jakby lunatykuje, oliwkowa sukienka zsunęła się z jednego ramienia; pomyślał, że powinien coś zrobić – że w innym miejscu na pewno by podszedł. Sarę za rękę trzymał chłopak z dłuższymi włosami, który ciągle wybuchał niekontrolowanym śmiechem. Cała grupa wytoczyła się na balkon. Adam kątem oka spojrzał, czy ktoś inny zwrócił na młodych uwagę, ale tylko Amerykanin westchnął z nieukrywana zazdrością; reszta wydawała się pogrążona w rozmowie.

– Właśnie, a gdzie twoja córka? – zapytał nagle Amerykanin, szczerze zainteresowany. Jego pocziwe, okrągłe oczy dziewczynka wpatrywały się w Adama z sympatią.

– Zupełnie straciłem ją z oczu – Adam odpowiedział bez zająknięcia. – Pewnie jest gdzieś z żoną. Właśnie, pójdę ich poszukać.

Tak naprawdę chciał jak najszybciej znaleźć Lenę i zapytać ją, o co tu do cholery chodzi i czy nawet przez chwilę nie mogą zostać same. I wtedy zobaczył coś, co najpierw wziął za pijacki zwid, aby po paru sekundach uwierzyć, że dzieje się to naprawdę. Przez drzwi prowadzące do ogrodu wmaszerowała bosa Lena, jedną ręką podtrzymująca słaniającą się na nogach wysoką dziewczynę, w drugiej trzymając szpilki. Głowy wszystkich gości obróciły się w ich stronę, Adam usłyszał dźwięk rozbijanego kieliszka. Kręcone włosy Leny, ułożone przed wyjściem w zgrabny kok, teraz rozsypywały się na wszystkie strony, jasna sukienka umazana była czymś ciemnoczerwonym. Dziewczyna w obcisłej, króciutkiej sukience wbiła wzrok w podłogę. Na obrzmiałej wardze miała ranę, delikatnie sączyła się z niej krew.

– Adam, Boże. Znalazłam ją w ogrodzie. Powiedziała, że to ktoś stąd. – Lena na widok Adama zaczęła prawie krzyczeć, żeby po chwili ściszyć głos, choć i tak mówili przecież w języku, którego żaden dyplomata nie zna. – Gdzie ty nas zabrałeś?

Następne minuty Adam będzie pamiętał jak przez mgłę. Ktoś z obsługi podbiegł do Leny i sprawnie przejął od niej dziewczynę, a potem zaprowadził ją do łazienki, jakaś kobieta popchnęła Lenę na sofę i dała jej tabletkę wyciągniętą z torebki. Z tarasu przybiegła grupka młodzieży, dzieciaki niezdecydowanie stanęły w drzwiach, przerażona Sara szybko podeszła do Leny i wzięła ją za rękę.

Powoli powrócił gwar rozmów, ludzie wracali do wcześniej stworzonych podgrup, znowu pojawiła się delikatna muzyka. Adam zauważył, że zostali na sofie sami, a w ich stronę co jakiś czas rzucane są ukradkowe spojrzenia. Przez jakiś czas siedzieli w trójkę w milczeniu.

– Zadzwoń po policję – powiedziała cicho Lena.

– Posłuchaj, oni się tym zajmą – odparł Adam, próbując przytulić żonę. – Uspokój się.

Lena zaniósła się lodowatym śmiechem. Zaczęła rozglądać się dookoła, zatrzymując spojrzenie na gwarnych grupkach.

– Serio?

– Lena, ja nie jestem tutaj ochroniarzem, dopiero co przyjechaliśmy i...

– ...i dlatego tak to zostawisz – dokończyła za niego, po czym wstała z sofy, złapała Sarę za rękę i ruszyła do wyjścia.

Adam został na kanapie, poczuł, że jego głowa zaczyna pulsować. Zamknął na chwilę oczy, pod powiekami zobaczył wirujący sześcian, który rozpadał się na tysiące kawałeczków.

– Bogata wyobraźnia czy traumy z przeszłości? – usłyszał przy swoim uchu aksamitny głos Argentyńczyka.

Po kilku sekundach domyślił się, że mowa o jego żonie.

– Zmęczenie po podróży – odpowiedział po kilku sekundach. Czuł, że ma suche usta, musiał odchrząknąć.

Argentyńczyk patrzył na niego z lekkim uśmiechem.

– Europejczycy... Zawsze poprawni, zawsze nienaganni. Zmykajcie w takim razie spać, już prawie północ.

Adam wstał z sofy, pocierając twarz. Miał nadzieję, że w ten sposób zakryje rumieniec, który pojawił się na szyi i policzkach. Sztywno uściśnął Argentyńczykowi rękę, po czym ruszył w stronę drzwi prowadzących do ciemnego korytarza.

– Zajmiecie się tym, prawda? – rzucił w przestrzeń, odwracając się w momencie naciskania klamki.

Argentyńczyk parsknął śmiechem, po czym błazeńsko zasalutował.

Kiedy następnego dnia Sara otworzyła oczy, słońce zalewało cały pokój. Poczuła, że gdzieś obok niej zawibrował telefon, znalazła go pod prześcieradłem. Na ekranie wyświetliła się wiadomość od Jonasa: „Co ta twoja matka wczoraj odwaliała? Ale akcja!”. Sara poczuła, że mdłości, które pojawiły się zaraz po obudzeniu, jeszcze się wzmagają. Czuła się jak po apelu w pierwszej klasie, kiedy ze stresu wymiotowała na środku sali gimnastycznej, a potem przez cały rok musiała znosić żarty kolegów. Zrzuciła telefon na podłogę i pomimo gorąca naciągnęła na siebie kołdrę.

Po kilkunastu minutach, kiedy pragnienie stało się nie do zniesienia, Sara zeszła w końcu do kuchni, licząc, że rodzice dawno już zjedli śniadanie. Myliła się, jej ojciec siedział nad kubkiem kawy i niedokończoną kanapką. Na widok córki nalał do szklanki wody i przesunął ją w jej stronę. Sara klapnęła na przeciwko. Przez chwilę siedzieli w ciszy.

– Chyba trochę popłynęłaś wczoraj, co? – powiedział Adam.

Sara unikała jego wzroku, siorbnęła, zajęła się wsypywa-

niem platkow do miski z zimnym mlekiem.

– Nie jestem zly tylko dlatego, ze to byl twój pierwszy wieczór i chcialas sie wkupic do grupy – kontynuowal cierpko.

Sara prychnęła, po raz pierwszy spojrzala na Adama.

– To nie po to tam przyszlismy? Mnie sie przynajmniej udalo.

– Na nastepny raz nie zycze sobie widziec cie w takim stanie, zrozumiano? – Adam podniosl głos.

Nigdy wczesniej nie slyszala czegoś takiego z ust ojca. Nic nie odpowiedziala, platki coraz bardziej rozmakaly pod wplywem mleka. Przypomniala sobie o wiadomosci od Jonasa.

– To ty zostawiles nas same. Co z mama? – uslyszala swój głos. Placzliwy jak u rozkapryzonego dziecka.

– Mama chyba oszalala – w pokoju rozlegl sie nagle głos Leny, chwiejacej sie na schodach.

Oboje, Adam i Sara, odwrócili głowy w jej strone. Lena miala podkrazone oczy, jak po nieprzespanej nocy, ale probowala sie usmiechac.

– Przeciez zartuje... – dodala, widzac ich miny.

Przechodzac, pocalowala Adama w czolo, a Sarę leciutko przytulila.

– Ufff, niezly poczatek naszej przygody, co? – zapytala pogodnie.

Nikt sie nie odezwal.

– Ej, bedzie dobrze. Damy rade – powiedziala i tylko delikatna zmarszczka na czole zdradzala, ze Lena wcale nie jest pewna tego, co mowi.

Karolina Ludwikowska:

Zrobimy wszystko, żeby nasze sekrety nie wyszły na jaw – nawet tysiące kilometrów od domu.

Wyjazd na placówkę dyplomatyczną do innego kraju jest dla Adama, Leny i ich nastoletniej córki szansą na rozpoczęcie nowego życia. Okazuje się jednak, że upalne, rozedrgane miasto nie pozwala tak łatwo zapomnieć o przeszłości.

Bohaterowie zaczynają poznawać coraz więcej tajemnic, które kryją się za fasadami willi, eleganckimi kolacjami i beztroskim życiem wyższych sfer. Pytanie o losy poprzedniego pracownika placówki, którego zastąpił Adam, wisi w gorącym powietrzu.

Niepokojące wydarzenia sprawiają, że najbliższe osoby przestają sobie ufać, a strach i poczucie winy prowadzą do coraz gorszych wyborów, z których nie da się już wycofać.

Mdłość

Pamiętam, że ostatni raz spotkało mnie to, kiedy miałam piętnaście lat. Był wtedy grudzień, dwa dni przed sylwestrem. Tamtego wieczoru wróciłam od koleżanki ze szpitala, miała zapalenie płuc. Musiałam wracać pieszo do domu, bo napadało tyle śniegu, że autobusy zakopywały się w zaspach. Pamiętam, że na kolację zjadłam makaron z kielbasą, to było zanim przeszłam na wegetarianizm. Wiele szczegółów zapisało mi się trwale w pamięci, ponieważ był to dzień, który analizowałam tysiące razy.

Facet o imieniu Leszek patrzył na mnie z lekko pochyloną głową. Wyglądał na nieusatysfakcjonowanego, ale czekał, aż będę mówić dalej.

Co ciekawe, paraliż mojego życia nie nastąpił wtedy, tylko stonkowo niedawno. Leszek zmrużył oczy i wyprostował się, czujnie wyłapując moje słowa.

Paraliż to odpowiednie określenie tego, co się ze mną wówczas działo. Chciałam się podnieść, ale nie potrafiłam się ruszyć. Byłam już wykończona i miałam już, kurwa, dość. Od dawna nie było dnia bez przynajmniej jednego ataku, a leki w moim wypadku tylko pogarszały sytuację. Doszłam do ściany i poczułam, że albo ostatni raz spróbuję, albo dziewiąte piętro mojego pokoju w akademiku.

Leszek lekko obrócił głowę i jeszcze bardziej zmrużył oczy.

Poczekaj, powiedział, opowiedz dokładnie, czego się boisz, a potem przejdziemy dalej.

Mogłabym ująć to tak: boję się wymiotowania. Tak, panicznie boję się rzygać. Boję się. Boję się w chuj. Boję się tak, że jestem w stanie zrobić wszystko, dosłownie wszystko, by do tego nie doszło. Jednak to nie takie proste, jak może się wydawać, bo moje

życie od lat jest fatalną składanką lęków przed wszystkim, co się z tym wiąże: boję się jeździć samochodem i autokarem, boję się lotów samolotem dłuższych niż dwie, trzy godziny (na razie nie leciałam dłużej), boję się ludzi pijanych, boję się jeść w nieznanym mi miejscach, boję się jeść nieznanym mi potrawy, boję się jeść, gdy nie znam daty ważności poszczególnych produktów, zatem ograniczam się do jedzenia rzeczy przygotowanych wyłącznie przeze mnie lub kilka zaufanych osób (wtedy i tak na wszelki wypadek sprawdzam produkty), boję się usłyszeć, że ktoś bliski zmarł (to przez filmy), boję się chorób nowotworowych oraz osób chorych na nie, boję się chodzenia do kina (w filmach zawsze któraś z postaci jest pijana, w ciąży lub chora, zasadniczo bohaterowie rzadko sikają, a już prawie wcale nie srają, czy ktoś w ogóle zwrócił na to uwagę?), boję się operacji ze względu na narkozę, boję się udaru słonecznego, boję się przegrzania, boję się dentysty ze względu na silny odruch wymiotny, boję się tego cholernego patyka u lekarza, gdy chce zbadać moje gardło, boję się alkoholu, boję się anorektyczek i bulimiczek, boję się małych dzieci, które w kółko łapią jakieś infekcje, boję się wrzodów, wyrostka robaczkowego, ospy u dorosłych, zapalenia opon mózgowych, rotawirusów, udaru mózgu, zawału serca oraz każdej choroby na tym świecie, która wywołuje wymioty lub o której tylko słyszałam, że może do tego doprowadzić.

I tak, moje życie było kompletne podporządkowane temu, było pełne rytuałów, moich urojonych przekonań, teorii, które miały objaśnić dotychczasowe zatrucia (nie jeść naleśników w piątek wieczorem, nie jeść dań ze śmietaną poza domem, nie jeść makaronu w kształcie muszelek), jest pełne własnoręcznie ocenzonego ksiązek (słowa nieakceptowalne: rzygać, wymiotować, zwracać, niedobrze mu, puścić pawia, torsje, konwulsje, mdłości, nudności, haftować, jechać do Rygi, wymiociny, itd.) i było zarazem bardzo puste, bo skreślałam kolejnych ludzi (albo piją, albo zachodzą w ciążę, albo uwielbiają mówić rzeczy w stylu: rzygać mi się chce, jak to widzę).

Co robi przeciętny człowiek, gdy czuje mdłości? Biegnie do kibla. A co robię ja? Walczę, by do niczego więcej nie doszło. U mnie zawsze wyglądało to tak samo. Najpierw brałam miętową gumę do żucia (byle nie zielone orbit – ich zapach wywoływał we mnie

mdłości), a gdy to nie pomagało, zaczynałam się cała trząść i zdarzało się, że wyglądałam, jakbym miała atak padaczki. Kiedy byłam między ludźmi, uciekałam lub chowałam się w ustronnym miejscu, a gdy byłam u siebie, to szybko zaparzałam miętową herbatę. Potem moczyłam ręcznik zimną wodą i kładłam go na czoło. Zwykle buczałam, nuciłam coś, by wprawić krtań w drganie, jak kot, czekałam z niecierpliwością, aż mi się odbiło, co dawało namiastkę nadziei, że może być dobrze, że proces trawienia nie został zakłócony. Później ściągałam ubranie, często do samych majtek, albo kładłam się na zimnych kafelkach w łazience i trzęsłam się tak długo, aż opadałam z sił. Ale tylko na jakiś czas. Z wyczerpania robiłam się głodna, a w takim stanie trudno coś zjeść. Potem robiło mi się niedobrze z głodu i wszystko zaczynało się od nowa.

Mogłoby się wydawać: oj, przecież nikt tego nie lubił (no kurwa, raczej, choć w kwestii anorektyczek i bulimiczek nie byłabym taka pewna), w końcu to objaw choroby i pogorszonego samopoczucia. Ale czy ktokolwiek zaczynał każdy dzień od mdłości, zacisniętego gardła, ze świadomością, że oto kolejna doba wypełniona będzie atakami paniki, które doprowadzą do wymknięcia się z wykładu, ucieczki ze sklepu w trakcie zakupów, wysiadania z tramwaju w połowie drogi czy wielokrotnych prób pójścia spać? Jak to się stało, że ta niewinna obsesja, na którą dawniej wystarczyła mi miętowa herbata, gumy do żucia (byle nie zielone orbit!) i foliowy woreczek w kieszeni (absolutny gwarant bezpieczeństwa), spowodowała, że dziś nie opuszczalam akademika i prawie nic nie jadłam?

Nie musisz wcale przyjeżdżać, usłyszałam jej głos, poradzę sobie doskonale, pani Beatka mi pomoże.

Odpowiedziałam, że z tego, co pamiętam, to pani Beatka miała rok temu poważną operację kręgosłupa i chyba nie jest to najlepszy pomysł. Słyszałam, jak moja matka mamrotała coś pod nosem, wiedziałam doskonale, że w tym właśnie momencie zmarszczyła czoło, a usta zacisnęła tak mocno, że prawie ich nie było widać. No dobra, powiedziała, ale nie myśl sobie, że bę-

dziesz tu siedzieć w nieskończoność.

Od terapii minęło już tyle, że wiedziałam, co robić. Wzięłam kilka głębokich oddechów i zamknęłam oczy. Na całe szczęście mogłam zabrać pracę ze sobą, by jechać zająć się matką, która spadła ze schodów. Nie widziałyśmy się prawie rok od czasu, gdy podczas wizyty z okazji moich urodzin rzuciła, że najwyższa pora zrobić sobie dziecko, bo ileż może czekać, aż będzie babcią. Zrobić sobie dziecko, tak powiedziała, jakby miała na myśli zrobienie obiadu. Wtedy również wzięłam kilka głębokich oddechów i powiedziałam jej ze spokojem godnym pracownika McDonalda, który zawsze musi się uśmiechać, że nie zamierzam zachodzić w ciążę ani teraz, ani później i jest to moja absolutnie ostateczna decyzja. Więcej się do mnie nie odezwała.

O jej stanie dowiedziałam się od pani Beatki, która zaznaczyła, że pomoc przy mamie to dla niej nie kłopot, ale chyba powinnam wiedzieć, co się stało, bo wiedziała, że nie rozmawiałyśmy od jakiegoś czasu. Podziękowałam jej za wiadomość i obiecałam, że wyręcę ją, najszybciej jak się da.

Zazwyczaj, gdy wspominałam w towarzystwie, że jestem jedy-naczką, słyszałam, że och, ale ci dobrze, miałaś swój pokój, swoje zabawki i swoje tajemnice bez obaw, że zasrany młodszy brat czy siostra wypalają rodzicom. Nikt jednak nie zwracał uwagi na to, że poza rozproszeniem stanu posiadania klocków lego rozproszona zostaje również odpowiedzialność za chorego rodzica, szczególnie wtedy, gdy nie jest ci z nim po drodze.

Wykonałam kilka telefonów, spakowałam trochę ubrań i kupiłam bilet na pociąg. A więc jadę na Śląsk, na stare śmieci, pomysłałam. Wiedziałam, że jak zwykle na dzień dobry usłyszę, że przecież mogłam zrobić prawo jazdy, kto to widział w tym wieku pociągami jeździć. Matka urodziła mnie późno i miała już swoje lata, a jej przekonania i komentarze nieustannie doprowadzały mnie do szewskiej pasji. Na wszelki wypadek na koszulkę Joy Division zarzuciłam szarą marynarkę. Zdawałam sobie jednak sprawę, że z uwagi na wiek matki w całej tej chujowej sytuacji nie mam za bardzo wyjścia.

Matka przyjęła mnie chłodno. Właściwie nie wiedziałam, czy ją przytulić, ale z kamienną twarzą wykonała całkiem zgrabny unik jak na kogoś, kto ledwo się porusza. Powiedziała, że w lodówce jest sałat od pani Beatki, a jak coś chcę, to mam sobie skoczyć do sklepu. Sałat, słowo, które tak kiedyś u mnie tępiła, mówiąc, że sałatka to sałatka, a nie jakieś śląskie wymysły. Atakowała każdy mój gwarowy wtręt, który mimowolnie przynosiłam ze szkoły, nie odróżniając słów prawidłowych od nieprawidłowych. Na koniec zmierzyła mnie wzrokiem, zdusiła w sobie złośliwe komentarze i z głową zadartą wysoko zasiadła przed telewizorem. Przez chwilę trwałam w pewnej konsternacji i szukałam w głowie słów lub chociaż gestu, który powinien być zastosowany w takiej sytuacji, ale bezskutecznie. Na ekranie właśnie rozpoczął się blok reklamowy, ale mimo to matka nawet nie drgnęła.

Na szczęście robiła się późna godzina, więc miałam dobry powód, by tego dnia nie musieć prowadzić żadnych rozmów. Wzięłam szybką kąpiel, nałożyłam sobie sałotu i zamknęłam się w swoim małym pokoju.

Z okna mojego dawnego pokoju widać główną ulicę oraz nieduży plac z jasnych, niemal białych betonowych płyt. Taki trochę rynek. Rachityczne drzewka, bryłowate ławki, słabo zagospodarowany kwietnik. Wokół są stare kamienice, cukiernia, warzywniak, fryzjer i letni ogródek piwny. Uznałam, że mniejszy pokój będzie lepszy z uwagi na hałas dobiegający z ulicy. Ostatnie dziesięć lat mieszkam i pracuję w centrum Wrocławia i zbyt intensywna cisza wywołuje we mnie niepokój.

Ten pokój zajmowałam mniej więcej do czasów liceum, a później zajęłam większy, który pierwotnie miał być sypialnią mamy. Ta jednak stworzyła w salonie aneks kuchenny, a telewizja, lodówka i łóżko stanowiły tak udane połączenie, że do większego w końcu nigdy się nie przeniosła.

Gdy wyjeżdżałam na studia, ten pokój był w identycznym stanie, w jakim porzuciłam go kilka lat wcześniej. Na ścianach wisiały plakaty Davida Bowiego i The Cure, oba namalowane przez moją

dawną szkolną przyjaciółkę, Anitę. Wszędzie wisiało też mnóstwo koralików, rzemyków, plecionych bransoletek. W różnych miejscach pozawieszałam płyty winylowe, które kupowałam wyłącznie w celach dekoracyjnych, bo nigdy nie dysponowałam sprzętem, który umożliwiłby ich odtworzenie. Drzwi natomiast w całości zaklejone były pocztówkami i zdjęciami ze znajomymi – z koncertów, imprez, ognisk, festiwali. Chociaż cyfrowki nie były już niczym nowym, razem z Anitą wyszperałyśmy na pchlim targu stare analogowe aparaty i przez jakiś czas nigdzie się bez nich nie ruszałyśmy.

Teraz pokój zrobił się pusty, niemalże sterylny. Kiedyś kolorowe ściany pokrywał gołębi kolor, pojawiły się brzydkie bordowe zasłonki, zniknęła moja meblościanka, jaką w tamtych czasach miał w domu każdy dzieciak. Z mojego dawnego pokoju zostało tylko łóżko, wściekle niebieskie, kompletnie niepasujące do całej reszty. Jedyнным pasującym elementem wystroju było niebieskie światło radiowozu, który przed chwilą zaparkował pod naszymi oknami, by łapać za bardzo rozluźnionych wieczorową porą kierowców.

Ta zmiana dokonała się w ostatnich miesiącach, co mogłoby sugerować, że matka próbowała się rozprawić z istnieniem mojej osoby. Nie zauważyłam remontu ani w łazience, ani w przedpokoju, ani w salonie. Brak wnuka był równoznaczny z brakiem córki, a wszelkie dowody potwierdzające moją obecność w jej życiu należało sumiennie uprzętnąć. Brak wnuka to z pewnością wina Bowiego.

Na łóżku leżały dwa grube koce, czysta poszewka i prześcieradło. A więc wiedziała i czekała. Oblekłam koc w poszewkę, zaścieliłam prześcieradło, mimo że nie rozłożyłam łóżka. Rozpakowałam swoje rzeczy i nie za bardzo wiedziałam, gdzie mogę je umieścić, bo poza łóżkiem w pokoju nie było ani jednego mebla. Kusilo mnie, by sprawdzić, czy jest pogłós, ale wiedziałam, że za ścianą ktoś tylko czeka na moje pytanie o ten dziwny remont.

Dałam znać Anicie, że przez jakiś czas będę na Śląsku, po czym wyłączyłam laptopa i telefon. Nie chciało mi się pisać do wszystkich znajomych, wołałam, by Anita zrobiła to za mnie, jak zawsze zresztą. Nie wiedziałam, ile czasu miałam tu spędzić, ani

jak dużo czasu wymagać będzie opieka nad matką. Jeszcze nie wiedziałam, czy będę musiała z nią chodzić po lekarzach, na rehabilitację, czy moja pomoc ograniczy się do gotowania i robienia zakupów. Czy będę musiała ją myć, czy wystarczy pilnowanie podczas mycia? Nagle zdałam sobie sprawę, że nie miałam pojęcia, jak wyglądało ciało mojej matki. Matka poza mną nie miała już żadnej bliższej rodziny. Była jedynaczką, tak samo jak ja. Jej kuzynostwo mieszkało daleko i utrzymywała z nimi raczej średni kontakt, a wszelkie jej relacje z koleżankami zwykle były dość powierzchowne. Talerz po sałatce odłożyłam obok, na podłodze. Poczułam, że jestem w zupełnie obcym miejscu, w którym przecież powinnam, a jednak w ogóle nie czuję się bezpiecznie.

Nie miałam ochoty wstawać, specjalnie nie nastawiałam budzika. Spałam zaskakująco dobrze, ale obudziła mnie orkiestra pogrzebowa przechodząca pod naszym domem. Czarne mundury z czerwonymi pióropuszcami maszerowały pod moimi oknami w kierunku cmentarza, wstrzymując ruch na skrzyżowaniu. Bez względu na to, jak liczna była orkiestra, całością zawsze dowodzi tuba, ciężka jak trumna wystająca z karawanu. Nie przypominałam sobie żadnego pogrzebu bez tuby, to ona nadawała melancholijnego tonu całemu pochodowi żałobników. Dopiero niedawno, w przypadkowej rozmowie, uzmysłowiłam sobie, że pogrzeby zazwyczaj bywają ciche i raczej nie towarzyszy im żadna muzyka. Przedstawiałam prezentację w trakcie szkolenia nowych pracowników i wdaliśmy się w luźną dyskusję. Chciałam dla przykładu zapytać ich, ile się teraz płaci za orkiestrę, co u grupki nowicjuszy najpierw wywołało konsternację, a następnie falę niepohamowanej radości. Któryś z nowicjuszy wygadał się jednej dziewczynie z naszego piętra i historia stała się anegdotką na resztę dnia w naszej firmie. Czyli zmarłego nie odprowadzała procesja z najbliższego kościoła, nie przygrywała trąbka, tuba i puzon? Choć od lat nie chodzę do kościoła, trudno było mi sobie wyobrazić, by pogrzeb mógłby wyglądać inaczej.

Pierwsza noc za mną, ale na samą myśl o rozmowie z matką czułam, jak coś wywraca mi się w żołądku. Może za bardzo się nakręcałam, za dużo myślałam, bo czułam, że zaczynało robić

mi się niedobrze. Otworzyłam okno i nerwowo łapałam świeże powietrze. Pewnie wystarczyłoby kilka głębszych wdechów.

Słońce rozlało się po placu i jasnych betonowych płytach. Światło odbijało się tak mocno, że kogoś, kto chwilę wcześniej się obudził, solidnie raziło w oczy. Wdech i wydech. Przymknęłam powieki. Powolny wdech i spokojny wydech. Dopiero po chwili mogłam otworzyć oczy, choć marszczyłam prawie całą twarz, by móc patrzeć na to, co się tam działo. Wdech. Zatrzymać. I wydech.

Wychyliłam się przez okno, kondukt był długi, co mogło oznaczać, że zmarł ktoś ważny. Auta coraz bardziej się niecierpliwiły, nie miały w sobie tyle szacunku do zmarłych, co dawniej. Tuby, puzony i czerwone pióra już zniknęły z pola widzenia. Gdy byłam dzieckiem, wyobrażałam sobie, że mój ojciec żyje i wraca do domu w górniczym mundurze, a wielki pióropusz ląduje na mojej głowie. To było coś lepszego niż mundur wojskowy lub policyjny, w końcu miało pióra. Tak to widziałam: ojciec górnik po ciężkiej szychcie na dole wracał do ukochanej rodziny w dostojnym, galowym uniformie. Z czasem przekonałam się, że ta moja wizja nijak się miała do rzeczywistości, no chyba że wziąć by pod uwagę podkreślone czarną kreską oczy, które podobnie jak więzienne „mgiełki”, pozwalały jasno odróżnić, kto jest kim w towarzystwie. Gdzieś w okolicach przedszkola wykradanie węgla z piwnicy stało się w naszych dziewczyńskich kręgach stałym elementem zabawy, kiedy padało hasło: bawimy się w dom! Bez względu na to, która z nas odgrywała rolę ojca czy matki, niezdarne czarne kreski malowałyśmy sobie wszystkie, co nasze matki przyprawiało zwykle o głęboką rozpacz.

Włączyłam telefon i sprawdziłam, czy Anita odpisała. Ona z kolei wstawiła posta z moim zdjęciem, jednym z tych bardzo niekorzystnych, z podpisem: zgadnijcie, kto przyjeżdża? Pod spodem pojawiały się komentarze, w tym również Anity, który właściwie nie stanowił żadnej treści, a był gifem, który puszczał do mnie oko. Jak dobrze, że nie będę tu sama. Już dawno chciałam odświeżyć stare kontakty, sprawdzić, co słychać u moich dawnych znajomych. Tuż po zakończeniu liceum utrzymywaliśmy kontakt ze sobą, mimo że wiele osób rozjechało się po całej Polsce.

Pewnie byłoby tak do dziś, gdyby nie fakt, że jakieś dwa lata po maturze jeden z naszych kolegów zginął w wypadku samochodowym. Dawid wracał nocą do domu, gdy czołowo zderzył się z nim jakiś pijany koleś. Wielu z nas po raz ostatni widziało się właśnie na pogrzebie. Wiedziałam, że już sporo czasu minęło i ci, którzy tutaj zostali, ruszyli z tym ciężarem do przodu. Czytałam komentarze zamieszczone pod moim zdjęciem: trzeba się spotkać, gif z tańczącymi laskami, może jakaś herbatka, to kiedy spacer za oczyszczalnię jak za starych dobrych czasów, zdjęcie oślinionego dziecka z podpisem „zapraszamy”, a na jak długo, serduszka, wbijaj dziś do nas na kawę, super, że przyjechałaś, płaczące ze śmiechu uśmiechnięte buźki – spytaj, czy ma może mój podręcznik gramatyki opisowej? Ktoś napisał, że trzeba urządzić spotkanie w większym gronie, bo jeszcze Aśka wpadnie na weekend z Gdańska, co polubiło osiem osób. Może nie będzie tak źle, jak zakładałam.

Z salonu dobiegały mnie szurania, które wskazywały, że matka już nie spała i krzątała się przy śniadaniu. Postanowiłam poleżeć jeszcze chwilę, opracować strategię komunikacji z nią, a potem odezwać się do znajomych.

Spojrzałam na pokój i stwierdziłam, że w dziennym świetle wyglądał jeszcze bardziej ponuro niż wieczorem. Ciekawe było, gdzie matka schowała moje zdjęcia, pocztówki i plakaty. Wiedziałam, że będę musiała przeszukać pawlacz i drugi pokój. Może wyrzuciła? Czy byłaby zdolna do tak radykalnych kroków? Zebrałam rzeczy z podłogi i ubrałam się. Miałam ochotę zapaść się w sobie na samą myśl rozmowy.

Okazuje się, że jakoś tydzień temu wyszła ze szpitala po operacji nasady kości którejs tam w nodze, po upadku ze schodów. Miała też stłuczone żebro, podejrzewano, że złamane, ale to wykluczono. Z podejrzeń było też wstrząśnienie mózgu, ale je również wykluczono. Gdy zapytałam, czy ten upadek bolał, tylko zacmokała z dezaprobatą. Co to znaczyło? Miałam sobie poczytać. Czy powinna brać jakieś leki? Czy dostała jakieś szczególne zalecenia? Powiedziała, że za jakiś czas pojedzie do sanatorium, więc nie będę musiała się nad nią użalać, bo sobie poradzi. Dodała, że jak chcę zrobić coś pożytecznego, to powinnam pójść do fryzjera,

żeby zajął się moimi włosami. Gdy próbowałam dowiedzieć się, co z nimi nie tak, znów zacmokała.

Za dużo od niej informacji nie uzyskałam. Wiedziałam, że w każdym możliwy sposób będzie okazywać mi, jak bardzo byłam jej niepotrzebna. Nie spełniłam swojej roli, a innego sensu mojego istnienia nie było. Jednak zawsze ceniła sobie konkretne zasady: czystość, ład i pełna lodówka, a w tej poza szalotem nie znajdowało się zbyt wiele, więc postanowiłam, że ogarnę zakupy, a potem zrobię jakieś większe porządki. Jej milczenie było koszmarem, a znałam ją na tyle, że wiedziałam, że może potrwać całkiem długo. Lepiej było więc wykorzystać ten czas bardziej konstruktywnie.

Tak jak myślałam, ani salon, ani aneks kuchenny nie zostały w żaden sposób przemeblowane. W całym mieszkaniu zmiana dotyczyła tylko mojego dawnego pokoju. Ten sam rozsuwany drewniany chlebak, te same staromodne, kwieciste zasłony, ten sam dywan z plamą w rogu po rozlanym przeze mnie winie, gdy jeszcze byłam w liceum i zaprosiłam pod jej nieobecność znajomych. Szafki pełne kryształów. Na ławie program telewizyjny na najbliższe dwa tygodnie i poliestrowe serwetki. Rozejrzałam się uważnie, by odszukać miejsce, gdzie znajdę swoje rupiecie, ale nie miałam żadnego pomysłu.

Próbowałam przyjrzeć się matce, która ostentacyjnie wgapiła się w telewizor. Może trochę schudła. Miała na sobie sweterek z wyszytymi perełkami. Zmieniła okulary i trochę inaczej czesała długie i farbowane na czarno włosy. Siwy przedziałek, szerszy niż zwykle, wskazywał, że dawno nie była u fryzjera.

Sprawdziłam dla pewności godziny otwarcia sklepu, założyłam trampki i związałam włosy. W drodze do sklepu chciałam poczytać, czy po takiej operacji wymagane są jakieś restrykcje, czy czegoś powinna unikać lub czy potrzebne były jakieś ćwiczenia rehabilitacyjne. Sama, jako dziecko, miałam złamaną kość w kostce. Całą nogę zamknęli mi w gipsie, miesiąc chodziłam o kulach i tyle było w temacie. Ale nie miałam żadnej operacji, no i nie miałam siedemdziesięciu dwóch lat. Cholera wie, jak w tym wieku zachowywały się ludzkie kości. Czy matka mogła mieć już osteoporozę? To też powinnam sprawdzić.

Najpierw jednak postanowiłam wstąpić do pani Beatki i podziękować jej za informację. Zeszłam piętro niżej i nacisnęłam dzwonek, który odezwał się tandetną, irytującą melodyjką. Pamiętałam go od lat i tak samo jak kiedyś zastanawiałam się, jak to możliwe, że nie wykończył nerwowo właścicielki. Po chwili uchyliły się drzwi, a zza nich ostrożnie wychyliła się głowa pani Beatki. Sąsiadka otworzyła szerzej i kolistym gestem pokazała, żebym weszła do środka.

Pani Beatka była dla mnie jak ciocia. Wstępowałam do niej po lekcjach, gdy mama zostawała dłużej w pracy. Najczęściej często wała mnie gorącymi ziemniakami z kiszoną kapustą i boczkiem, którą gotowała na okrągło i na które mówiło się „ciapkapusta”. Podawała też cieką herbatę. Swoich dwóch synów wyganiała do odrabiania lekcji i siadała ze mną na babskie pogaduszki.

Zanim zdążyłam podziękować za telefon i opiekę nad mamą, pani Beatka wygrzebała z lodówki kawałek serniczka i już nastawiła elektryczny czajnik z wodą na kawę. Czułam się już trochę lepiej, a ponieważ nie jadłam śniadania, nie miałam serca jej odmówić.

Dopiero po chwili zauważyłam, że w całej kuchni pełno było zdjęć jej synów – Zbyszka i Sławka – obaj wyjechali lata temu do Irlandii i chyba nie zamierzali w ogóle z niej wracać. Ściany, szafki, półki, drzwi lodówki, wszystko pokryte było zdjęciami dwóch młodych mężczyzn. Cała kuchnia była dość ciasna – wszędzie stało mnóstwo małych roślinek doniczkowych, puszek po herbatach, ozdobnych wazoników, pustych butelek po świeżych sokach, pustych słoików, nieumytych jeszcze kubeczków – każdy w innym kolorze i stylu: kubek słoń z trąbą jako uchwyt, kubek piłkarski z euro 2012, wyszczerbiony kubek urodzinowy sprzed dwudziestu lat, kubek arbuz, kubek ze zdjęciem papieża, kubek z sentencją, kubek kalendarz, kubek ze świątecznym reniferem. Naprawdę niewiele się zmieniło.

Kubeczków rzeczywiście zabrakło, bo pani Beatka zalała kawę w białych szklankach z duraleksu. Dwie łyżeczki rozpuszczalnej i miniśmietanki na talerzyku obok. Poczciwa pani Beatka zdawała się cieszyć z mojej obecności. Miałam poczucie, które pew-

nie bliskie było prawdy, że nikt jej dawno nie odwiedzał. Opowiedziała o tym, jak to moja matka spadła ze schodów, zakręciło jej się w głowie, a także o tym, że stary Manfred usłyszał raban i wybiegł na klatkę, po czym zadzwonił po pogotowie i pomagał ratownikom znieść matkę na noszach. To było najbardziej zaskakujące, ponieważ stary Manfred był mężczyzną, który zawsze poruszał się w sposób szczególny, jakby w zwolnionym tempie. Potem wypytała mnie o moją pracę, życie we Wrocławiu i nagle wzdrygnęła się, że za długo mnie trzyma i pewnie zabiera mi czas, a mam przecież co robić. Uścisnęłam ją mocno, trzymając zdecydowanie za długo, tylko tak mogłam jej podziękować.

Miasto zmieniało się powoli, ale najwięcej zmian pojawiało się zawsze przy moich dłuższych nieobecnościach. Gdy w czasie studiów wyjeżdżałam latem za granicę do pracy, po powrocie zaskakiwał mnie nowy supermarket lub jakiś abstrakcyjny pomnik. Tym razem zwyczajny plac pod naszymi oknami, który nie miał dotąd żadnej nazwy, stał się placem Noblistów Śląskich, co wydało mi się absolutnie zaskakujące. Pomimo posiadania wyższego wykształcenia, z czego znaczną część nauki pobierałam przecież na Śląsku właśnie, nie byłam w stanie przywołać ani jednego nazwiska śląskiego noblisty. Czemu przez tyle lat podstawówki, gimnazjum i liceum nikt nawet nie wspomniał chociaż o jednym?

Zamknął się również jeden z wielu sklepów monopolowych, ten pod moim domem, a które to sklepy w naszym mieście otwierają się szaloną regularnością, niemal co chwilę. Te, które istnieją od dawna, mają się dobrze, a nowe – o dziwo – też nieźle sobie radzą. Pierwszy raz od dawna widzę, by któryś z nich się zamknął. Co mogło pójść nie tak? Co spowodowało, że zapotrzebowanie na alkohol i papierosy spadło?

Wycięto też stare kasztanowce na głównej ulicy, a te z kolei stały się łyse i nijakie. Jeszcze bardziej w oczy rzucały się kolorowe szyldy sklepowe.

Zmiany te, choć bez większego znaczenia, wywoływały we mnie pewien rodzaj napięcia. Były jak impuls, by jak najszybciej wybrać się na spacer i sprawdzić kolejne miejsca, ale powodowa-

ły również ukłucie, które przypominało, że nie jest to już moje miejsce. Miałam wrażenie, że mój czas tutaj minął.

Nasz największy supermarket o tej porze tętnił życiem. Po sklepie trudno było się poruszać, nie rozbijając się o metalowy wózek któregoś z emerytów. We Wrocławiu zakupy robiłam zazwyczaj wieczorem, na szczęście sklep miałam tuż obok bloku. Rano każdy większy sklep jest miejscem spotkań seniorów, którzy przychodzą tam codziennie kupić bułkę oraz kefir i pogadać z sąsiadkami lub znajomymi z kościoła. Jakiś czas temu czytałam o mall walkers i od razu przed oczami miałam polskich starszych ludzi z bułką i kefirem. Smutne, ale i piękne jednocześnie.

Wzięłam trochę warzyw, ryż i makaron. Wzięłam winogrona, bo wiem, że matka je bardzo lubiła. Nie byłam pewna, czy w lodówce widziałam jakieś masło, więc sięgnęłam po nie i dorzuciłam od razu kilka rodzajów sera. Nie jadłam mięsa, czego matka oczywiście nie rozumiała, ale dla niej wzięłam trochę wędlin na wagę (pamiętać, by nie zamawiać krojonych na plasterki, bo wywołuje to dziwne spojrzenia) i różne fragmenty nieżywego kurczaka. Nie bardzo wiedziałam, co później z tym zrobić, ale lepiej zrobić zapas wszystkiego. Dorzuciłam przyprawy, jogurty i mleko. Stwierdziłam, że uniosę jeszcze maksymalnie ze dwie butelki wody niegazowanej i na tym koniec, bo sama mogłabym sobie coś złamać, zanim doniosłabym to wszystko do domu.

Przed kasami próbowałam obliczyć, która kolejka jest krótsza. Gdy podeszłam i zaczęłam wypakowywać produkty, zobaczyłam przy kasie koleżankę ze szkoły. Poczułam, że to może być dość niezręczna sytuacja. Za mną jednak stanął już jakiś starszy facet, który prychnął, jak się do niego odwróciłam. Zmroziło mnie to na tyle, że nie potrafiłam się wycofać z tej cholernej kolejki.

Łaniewska była naszą kujonką. Była taką osobą, która jest zawsze przygotowana do każdej lekcji, miała referat na każdy temat, jeszcze zanim nauczyciel zdążył go zadać, a na pytanie, czy pomogłaby z zadaniem z matmy, odpowiadała, że sama tego nie rozumiała, więc sorry. W kółko gadała o swoich ambicjach, planach na karierę i wyjeździe na zagraniczną uczelnię. Co ona robiła na kasie?

Na mój widok najpierw się skrzywiła, a chwilę potem próbowała się uśmiechnąć. Szybko opuściła wzrok i skupiła się na skanowaniu moich zakupów. Gdy wyciągnęłam kartę, by zapłacić, zapytała, czy przyjechałam na długo. Wzruszyłam ramionami i powiedziałam, że muszę pomóc matce i takie tam. Aha, fajnie. Nasz sklep życzy miłego dnia. Do widzenia.

Odsunęłam swój wózek na bok, bo poczułam, że wibrował mi telefon. To była Anita. I to akurat nie był najlepszy moment na rozmowę. Chwilę odczekałam, ale się nie poddawała. Zadzwoiła drugi raz, więc ją odrzuciłam, ale zadzwoniła ponownie. Czulałam, że blokuję przejście innym klientom sklepu. Chciałam odzwonić później, ale chyba nie miałam z nią szans. Zmusiłam się i odebrałam. Powiedziała, że ma dłuższą przerwę w pracy i mogłaby do mnie wpaść. Gdy dowiedziała się, że jestem w sklepie, zaproponowała, że zgarnie mnie z zakupami. Przez moment zastanawiałam się, czy nie skorzystać z okazji i kupić więcej wody, ale spojrzenia Łaniewskiej drugi raz bym nie udźwignęła.

Anita podjechała po mnie srebrnym fordem, miała go od lat. Wrzuciłam zakupy na tylne siedzenie. Przyjrzała mi się w skupieniu. Nie widziałyśmy się od mojego ostatniego pobytu w domu. Chyba nie odnotowała żadnych zmian, bo nic nie skomentowała. Zauważyłam nowy kolor jej włosów. Poinformowałam ją o tym. Uśmiechnęła się i zaczęła dopytywać, co się stało, że wpadłam, i na ile przyjechałam. Gdy powiedziałam o mojej matce, odwróciła wzrok i powiedziała, że też ma teraz szpitale na tapecie, bo jej ojciec miał wylew w zeszłym tygodniu. Ruszyliśmy z parkingu, odwiozła mnie pod dom. Porozmawiałyśmy jeszcze przez chwilę i umówiłyśmy się na wieczór u niej. Miała po mnie przyjechać. Wyciągnęłam zakupy i pomachałam do odjeżdżającego samochodu.

Matka przyjrzała się badawczo rzeczom, które przyniosłam. Widziałam, że usta jej drżały, jakby chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Schowałam większość produktów, a zostawiłam te, z których miałam naszykować coś na obiad. Pomyślałam, że mogłabym zrobić rosół, a później kotlety z kaszy, purée i może mizerię. Kątem oka widziałam, że matka zasiadła przed telewizorem. Przekazałam pozdrowienia od pani Beatki, ale nie

wywołało to żadnej reakcji. Zapytałam, czy rzeczywiście stary Manfred znalazł ją na schodach. Wzruszyła ramionami. Umyłam winogrona. Przełożyłam je na półmisek i zaniiosłam na stół. Przyjrzała się im, chwyciła parę sztuk, wsadziła do buzi, po czym skwitowała, że są jakieś twarde. Zająłam się obiadem. Obrałam dokładnie i pokroiłam włoszczyznę, obmyłam fragmenty kurczaka. Poszukałam odpowiedniego garnka, wrzuciłam do niego wszystko i postawiłam na gazie.

W telewizji dawali Koło Fortuny. Słyszałam, jak matka po cichu próbuje trafić kolejne hasła. Gdy w końcu jej się to udało, niemalże wykrzyknęła: PRZYGANIAŁ KOCIOŁ GARNKOWI! Szybko jednak odwróciła się w moją stronę, by sprawdzić, czy ją obserwowала. Udałam, że nic nie słyszałam.

Zebrałam się w sobie i zapytałam ją o zmiany, jakie zaszły w moim starym pokoju. Zapytałam o plakaty i inne pamiątki. Milczała dłuższą chwilę, po czym przebaknęła przez zaciśnięte zęby, że wyrzuciła. Spytałam, czy sobie żartowała, ale oznajmiła, że do niczego jej to nie było potrzebne. Parę rzeczy schowała do jakiegoś kartonu, bo akurat robiła porządki w swoich bibelotach.

Wdech i wydech. Ja pierdolę. Plakaty, które zrobiła dla mnie Anita, wylądowały na śmietniku. Bransoletki i inne szpargały, które dostawałam od moich szkolnych miłości, zapewne również. Jak mogła wyrzucić listy, które pisałam przez całe wakacje, jeszcze zanim podłączono nam internet? Pisałam z koleżankami, chłopakami, sąsiadką mojej babci, którą odwiedzałam w wakacje. Co się mogło stać z moimi notesami, w których niezdarnie próbowałam pisać pamiętniki i rysować, by dorównać Anicie, co z karteczkami pisanymi w czasie lekcji, przez które mało nie wyleciałyśmy ze szkoły, co z moimi pirackimi płytami CD, które kolekcjonowałam, by móc się chwalić listą zdobytych albumów, spisanych na śmiesznej dyskietce o pojemności 360 kB?

Chciałam wracać do Wrocławia. Wiedziałam, że spotkanie z matką nie będzie łatwe, ale nie spodziewałam się, że wywali całą mnie na śmietnik. Co ona sobie wyobrażała?! Sama zawsze uczyła mnie, że cudza własność jest święta i nie wolno szperać w korespondencji, pamiątkach, rupieciach drugiej osoby. Sama

chowała w papierowych pudłach masę swoich starych czarno-białych fotografii, jakąś biżuterię czy pożółkłe gazety. Pamiętałam, jak wielką awanturę zrobiła, gdy się dobrałam do tych szpargałów jako dziecko, pewna, że to jakieś cenne znaleziska. Upchnęła je wszystkie na pawlaczu, a mi dała szlaban na telewizję i słodycze. Ile leż mnie to kosztowało, a ona jak zwykle niewzruszona. Takie są zasady, cudzą prywatność należy szanować, to były jej słowa.

Teraz też siedziała obrażona, choć właściwie nic nie zrobiłam. To ja powinnam dać jej szlaban na telewizor. Nie zapytała mnie o nic, nie odzywała się słowem, nic ją nie interesowało! Zapewne nic dla niej nie znaczyłam, ale mogłaby mniej to okazywać.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Wytarłam ręce i poszłam otworzyć. Stary Manfred przyniósł awizo ze skrzynki. Widocznie nasza listonoszka pomyliła się i wrzuciła je do jego skrzynki. Podziękowałam. Zostawiłam awizo na szafce w przedpokoju i wróciłam do obierania warzyw.

Po obiedzie przysłała pani Beatka i matka zamknęła się z nią w pokoju. Oczywiście obiad był zły, bo kto to widział rosół jeść w środku tygodnia, a kotlety wyszły za suche i niedoprawione. Zacisnęłam usta i pozmywałam talerze. Potem zrobiłam całą masę kanapek i wstawiłam je do lodówki.

Z salonu zabrałam dwa krzesła i zaniósłam je do swojego starego pokoju, by móc położyć na nich rzeczy, które wcześniej leżały na podłodze. Musiałam też zająć się swoją pracą. Wolne, które wzięłam lub które właściwie zasygnalizowałam w firmie, było kwestią wyłącznie umowną. Pracowałam na śmieciowej umowie, które nie regulowała w żaden sposób mojego czasu wolnego. Miałam jednak możliwość korzystania z biura, które bardzo lubiłam. Praca poza domem narzucała regularność – mycie się, jedzenie o stałych godzinach, ubieranie w coś innego niż powyciągany i zmechacony dres. Moje wolne oznaczało więc, że wykonam swoje obowiązki zgodnie z deadline'em, jednak poza biurem naszej firmy.

Święty Deadline był patronem wszystkich korporacji, freelancerów, grafików, copywriterów, rzemieślników, ale również niektó-

rych artystów, a szczególnie tych niewierzących. W mojej pracy można było robić wszystko – grać w sapera czy mahjonga, licytować na allegro kombinezon narciarski lub używane buty Balenciagi, obserwować streama z jakiegoś wydarzenia lub godzinami siedzieć na YouTube, ale ważny był wyłącznie deadline.

Musiałam więc od czasu do czasu znaleźć chwilę na to, by stworzyć teksty na strony internetowe, treści do broszur dla klienta czy napisać eksperckie artykuły pod najbardziej klikane frazy z wyszukiwarki.

Do przyjazdu Anity miałam trochę czasu. Mogłam więc dokończyć zlecenie, które od jakiegoś czasu ciągnęło się za mną jak nieprzyjemny związek frazeologiczny. Musiałam zatem spiąć się w sobie i wykonać kilka rzeczy, by mieć wolny wieczór. Zadanie numer jeden – napisać teksty na stronę dla klubu fitness (słowa kluczowe: rzeźba, profesjonalisci, zdrowy styl życia). Zadanie numer dwa – stworzyć treść do broszury dla psiej fundacji (bez słów kluczowych). Zadanie numer trzy – napisać poradnik o bezpiecznej bankowości internetowej (czy naprawdę ktoś czyta takie artykuły?). Zadaniem dodatkowym, z serii na piątkę z plusem będzie przeszukanie pokoju numer dwa w jakimś dogodnym momencie. Swoją drogą – dlaczego obie zamknęły się akurat w tym drugim pokoju?

Czułam, że robiłam się coraz bardziej senna. Nie byłam pewna, czy to sytość spowodowana dwudaniowym obiadem, co było rzadkością w moim codziennym życiu, czy nadmiar wrażeń, ale nie miałam sił walczyć z tą sennością. Moja nerwica nie pozwalała mi spać w ciągu dnia. Zwykle po takiej drzemce traciłam apetyt, czasem czułam mdłości, a to definitywnie przekreślało możliwość pozwolenia sobie na taką chwilę snu. Zdażyłam tylko włączyć dźwięk w telefonie, na wypadek, gdyby dzwoniła Anita i chwilę później odłączyło mi świadomość.

Ewelina Najdrowska:

Trzydziestolatka mieszka w dużym mieście, pracuje na umowie śmieciowej i nie przepada za swoją matką. Jednak gdy ta zachoruje, Ewa jako jedynaczka nie widzi wyjścia z tej sytuacji i postanawia na jakiś czas z nią zamieszkać. Podczas wizyty w domu Ewa dowiaduje się, że jest w ciąży, której nie planowała. Ta wiadomość uruchamia w bohaterce uśpione wcześniej zaburzenia lękowe. Nawrót silnej nerwicy powoduje, że rozważa przerwanie ciąży.

Pobyt w domu zmieni coś jeszcze w życiu Ewy – pozna ukrywaną przez całe życie prawdę o swoim biologicznym ojcu i losach swej rodziny.



Nie powie ci las

Rozdział I

RUN FOREST RUN

Zaparkował na poboczu i wyłączył silnik. Pozwolił oczom przyzwyczaić się do zmroku. Zapalił papierosa. Nie miał ochoty wysiadać, choć jechał tutaj specjalnie przez kilka godzin. Teraz jednak poczuł ciężkość w nogach. Myśli nie były już tak klarowne, jak wtedy, gdy ruszał, przybrały konsystencję waty, jak zawsze wtedy, czegoś się bał. Nagrzany samochód był jak kapsuła, która dawała schronienie. Jeszcze przez chwilę, jeszcze przez moment, nie musiał robić nic. Przynajmniej dopóki nie dopali papierosa. Patrzył bezmyślnie, jak z wezbranej dziury na środku asfaltu przelewa się woda i wolną szeroką strugą spływa na pobocze. Zabiera po drodze drobne igły oraz liście i niesie je dalej, aby już jako wezbrany strumień zniknąć między sztachetami furtki. Napis na furtce brzmiał: Run Forest Run.

Uchylił okno i strząsnął popiół. Lubił palić w aucie. Matka tego nie pochwałała. „Właśnie dlatego to lubię” – pomyślał. Stara skoda dawała mu wolność. Wymykał się do niej wieczorami jak do kochanki. Kiedy zamykał za sobą drzwi, czuł jakby jakiś palec naciskał pauzę w magnetofonie. Gapił się wtedy na pustą, zatrzymaną w stopklatce ulicę. Przez chwilę świat o nim zapomniał, nikt nic od niego nie chciał. Czasem słuchał radia, a czasem brał ze sobą małą buteleczkę. Teraz też o niej pomyślał.

Matka – nie lubiła, jak tak o niej mówił, chciała, by nazywać ją „mamusią” – również miała swoje „buteleczki”. Chowała je w zakamarkach domu. Piotr i Alicja trafili na nie pierwszy raz w roku, kiedy odszedł tata. Znaleźli je w szafce na pościel – dokładnie tam, gdzie spodziewali się trafić na prezenty na gwiazdkę. Od tego roku gwiazdka straciła swoją magię. Z czasem jednak mamusia nauczyła się chować swoje buteleczki w miejscach

mniej oczywistych. Za boazerią, w pustej rurze po kaloryferze, a nawet w śmietniku. Znajdowali je tam tym bardziej. Szukanie i ukrywanie butelek stało się rodzajem zabawy-wyzwania. Matka prawdopodobnie wstydząc się swojego nałogu i czując wyrzuty sumienia, pozwalała dzieciom je zabierać w zamian, za ich milczenie i spokój. Piotr pamięta, jak przyrzekali sobie z siostrą, że nigdy nie będą tacy jak matka.

„Jeden łyk nie zaszkodzi... Potem wejdę, zapytam o Alicję i odjedziemy” – sięgnął do schowka i wyciągnął buteleczkę, którą opróżnił jednym haustem.

Odsunął furtkę i przeszedł obok skleconej z desek stróżówki.

Wstąpił na przerzucone przez błoto stare deski. Zrobił kilka kroków w stronę koślawej stodoły. Cała pokryta była transparentami. Zwrócił szczególną uwagę na dwa: „Stop wycince!” i „Las rośnie długo”. Nieco bliżej, po lewej mijał niską poczerniałą oborę. Na drzwiach wisiał napis „biuro”. Spróbował się do nich dostać. Przeskoczył z deski na kamień i poczuł, jak zamiszowy but osuwa się w grząskie błoto, a do stopy powoli napływa chłód. Szarpnął nogę i zaklął – zirytowany, że nikt go tu nie wita. Wtedy drzwi otworzyły się i z jasnego pomieszczenia wyszła mała dziewczyna o fioletowych włosach. Kiedy zobaczyła Piotra, drgnęła i stanęła w chwiejnej pozycji z kubkiem w jednej i krótkofalówką w drugiej ręce.

– Co pan tu robi? – zapytała zaskoczona.

– Nie wiem, czy dobrze trafiłem – Piotr zaczął się tłumaczyć – jesteście ekologami walczącymi z wycinką?

– No raczej. Nie widać?

– Widać, widać – uspokoił, jakby chciał zatrzeć złe wrażenie – ja to szukam...

W tym momencie drzwi biura uchyliły się. Najpierw pojawił się w nich psi nos. Szybko przeskanował przestrzeń i zaraz potem o piersi Piotra oparły się dwie potężne ubłocone łapy.

– Forest, zostaw!

Piotr zachwiał się, chwilę walcząc z grawitacją i poczuł, jak drugi but wypełnia dobrze mu już znany mokry chłód. Spojrzał na ubłocone nogi i na dwa ogniki oczu, wpatrujące się w niego spo między zlepionej sierści.

– Przepraszam pana najmocniej – dziewczynie zrobiło się głupio i próbowała odciągnąć psa od gościa.

W końcu Piotrowi udało się zrzucić z siebie jego łapy.

– Piotr – wyciągnął rękę.

– Ruta – zwrócił uwagę, że miała przyjemny głos.

– To kogo szukasz?

– Siostry. Ma na imię Alicja. Widzieliśmy ją z matką w telewizji, jak była przypięta do drzewa.

Dziewczyna zareagowała tak, jakby ta wiadomość ją zaskoczyła. Odwróciła się tyłem i przeszła kilka kroków w stronę furtki.

– Gdzie ona teraz jest? Muszę z nią porozmawiać – dopytywał Piotr.

– Na razie to niemożliwe – Ruta nie patrzyła na niego.

W tym momencie usłyszeli warkot silnika. Szosa rozświetliła się teraz pulsującym niebieskawym światłem.

– Wieczorny objazd – skomentowała Ruta i zaraz potem faktycznie przed furtkę zajechała policyjna suka.

– Wszystko muszą zanotować. Jaki samochód stoi w obejściu, na jakich blachach, ilu nas jest, co robimy. O tobie też już wiedzą.

– Nie pozostajecie im dłużni – Piotr wskazał na wzniesione w rogach podwórka żerdzie, na których mrgały czerwone diody kamer.

– To prawda. Musimy się zabezpieczyć, od kiedy ci debile z Lasów Państwowych weszli do obozu i zrobili o nas film. Wynikało z niego, że jesteśmy alkoholikami i ćpunami.

W tym momencie Forest dopadł furtki.

– Kurwa! Nie zamknęłam! – Ruta rzuciła się za psem. – Forest! Stój!

Ale było już za późno. Pies odepchnął nosem furtkę i wyskoczył wprost pod koła policji. Dokładnie w tym samym momencie samochód ruszył. Wyglądało to tak, jakby kierowca specjalnie dodał gazu. Owczarek zaskomlał i odbił się w okolice rowu. Chwilę później była już przy nim Ruta. Piotrowi zajęło chwilę, zanim znalazł się tuż za nią. Forest leżał w kałuży, z jedną łapą nienaturalnie odrzuconą na bok. Oddychał.

– Skurwysyny – Ruta bez skutku, zbyt niecierpliwie próbowała wyczuć puls psa.

– Jest tu weterynarz? – Piotr widział, że dziewczyna nie ma pojęcia, co robi...

– Co?

– W mieście jest – powiedział nagle jakiś głos z tyłu. Piotr odwrócił się i zobaczył za sobą drągała z czupryną kręconych loków. Za nim pojawili się kolejni obozowicze. Piotr przeskanował ich twarze z nadzieją, że ujrzy wśród nich siostrę.

– Musicie go szybko zawieźć. Ma złamanie, ale jest też silny krwotok. Może i wstrząs mózgu. To dwadzieścia kilometrów.

– Niedaleko.

– Nie mamy samochodu – powiedział drągał. – Obozowy jest u mechanika. Poza tym... – zawiesił głos i wlepił wzrok w Rutę – nie jestem pewien, czy ten weterynarz to dobra decyzja.

Ruta teraz dopiero oderwała się od Foresta.

– Jedyne, jaką możemy teraz podjąć - wskazała głową Piotra. – On ma samochód. Właśnie przyjechał do obozu.

* * *

Zabrali się w trójkę. Nie było czasu na składanie foteli, więc cały tył kombiaka wyściełali na szybko starym kocem i delikatnie

ułożyli na nim Foresta. Piotr myślał o tapicerce. „Krew się nie zmyje, jak to będzie wyglądało? Jak będę w tym spał?”. Na pace obok Foresta leżała Ruta. Wciąż coś do niego mówiła, jak do dziecka. Piotr siedział z przodu. „Jak zwykle dałem się zrobić. Nawet nie musieli specjalnie prosić – jakby to było oczywiste!” – wyrzucał sobie.

Nie mógł dopuścić, aby ktoś inny prowadził jego samochód – to rozwiązywanie nigdy nie wchodziło w grę. Z założenia nie ufał ludziom. Miejsce obok niego zajął drągał, który pokazywał, jak jechać. „Teraz w lewo. Prawo. Zwolnij”. Proste żołnierskie polecenia wystarczały. Miał na imię Wojtek. Resztę Piotr musiał dopowiedzieć sobie sam. Więc dopowiadał, zgodnie ze swoimi przekonaniem.

Na głowie czupryna, jak dziki bluszcz, co wije się samopas po starej wiejskiej chałupie. W oczach mrok. Usta zacięte, zamknięte na siedem spustów. Spodnie i kurtka moro – znak rozpoznawczy ekologów, myśliwych, leśniczych, wojskowych oraz wszystkich miłośników militariów i survivalu. „Zadziwiające, jak bardzo łączą ich kolory, a jak bardzo dzieli styl!”. Najpierw w tych ciuchach chodzą myśliwi. Wkrótce do zielonych plam dołączają kolejne: olej z sardynek, jagody i te brunatne ślady z wyschniętej krwi. Nieludzkiej. W końcu przychodzi czas na decyzję: wyrzucić. Pralnia chemiczna wywabiła większość plam i dodała zapach ciuchlandu. Ale takie rzeczy nie sprzedają się w modnych lumpeksach stolicy – nikt ich tu nie chce. Sprzedają się za to na pniu w małych miejscowościach. Na przykład na Podlasiu. Piotr próbował wyobrazić sobie Wojtka, jak wchodzi do ciasnego lumpeksu z plastikowymi chromami na klamkach, wtorki za dwadzieścia procent, jak dłonie badają stan materiału. Przymierza. „Jak leży?”. Ale nie czeka na jej odpowiedź – bierze i nawet nie wrzuca do pralki, bo z zasady nie używa chemii. Zapach z czasem wietrzeje. Kurtka służy jako okrycie, siedzisko, poduszka pod głowę, a czasem posłanie dla Foresta.

– Czekaaj, czekaaj... – powiedział Wojtek, wyrrywając Piotra z zamyślenia – teraz zwolnij.

Wyjechali z lasu. Jeszcze otaczały ich łąki, jeszcze było ciemno

dookoła, ale w dali widać było już latarnie.

– Stań. Zgaś światła.

Zagryzł zęby. Dziadek mówił do niego tym samym rozkazującym tonem. Piotr zignorował ścisk w żołądku, stanął na poboczu i wyłączył światło. Forest zaskomlał.

– Co robimy? – zapytała Ruta.

– Wydaje mi się, że doktorek ma gości.

Ruta milczała. Zmrużyła oczy i starała się wypatrzyć, co dzieje się przed nimi. Wtedy Forest zaskowyczał.

– Mam to gdzieś. Jedźmy.

– Ruta... Może ty zostań? Pojedziemy bez ciebie.

– W dupie to mam, słyszałeś? Potrącili mi psa! Muszę go tam zawieźć... Jedźmy.

Piotr próbował dociec, co za historia kryje się za ich słowami. – Rusz na razie bez świateł. Powoli... – doprecyzował Wojtek.

Toczyli się powoli, bokiem podziurawionej szosy. Po chwili ujrzeli wielki dom z bali. Przed nim był jakiś ruch. Piotr instynktownie zahamował i stanął w cieniu. Przed domem weterynarza stały dwa auta terenowe. Na ulicę wyszli mężczyźni. Jeden wyglądał na myśliwego, drugi na leśniczego. Tylko trzeci – najprawdopodobniej weterynarz – wyglądał na cywila, którego odciągnięto właśnie od wieczornych zabaw z dziećmi.

– Kurwa, zobacz Ruta, kogo tu mamy!

– Cały zarząd!

– Co robimy? Dalej chcesz iść?

– Nie wiem, stary...

Piotr nie wytrzymał:

– Przecież to weterynarz, nie może odmawiać pomocy, tylko dlatego, że za wami nie przepada!

– Tutaj może.

W tym momencie usłyszeli metaliczny stuk. Paka samochodu została otwarta.

– Nagrywaj. Masz komórkę?

Piotr wyciągnął telefon i włączył nagrywanie. Mężczyźni sięgnęli do środka samochodu. Przez dłuższą chwilę szamotali się z czymś dużym, po czym na brzegu bagażnika ukazało się ciemne pokryte futrem ciało.

– O fuck, Ruta, patrz, co mają skurwysyny.

Z wnętrza samochodu wyciągnęli coś, co przypominało psa.

– To nie jest pies... Nagrywaj to! Zrób zbliżenie... – poleciła podniecona Ruta.

Cyfrowy zoom komórki powiększał obraz wystarczająco wyraźnie.

– To jest wilk. W Polsce mamy całkowity zakaz polowań – podsumował Piotr.

Mężczyźni złapali zwierzę za nogi. „Na raz!”. Wnieśli go na posesję weterynarza.

– Dokładnie. Teraz już wiesz, z kim masz do czynienia. Ruta, dalej chcesz iść do nich z Forestem?

Zapadło trudne milczenie.

– Ja pójdę – zaproponował Piotr – mnie nie znają.

– Ale znają Foresta – odpowiedział Wojtek.

– Powiem, że znalazłem go na drodze koło obozu.

Ruta i Wojtek spojrzeli na siebie. W końcu Ruta rzekła:

– Ok. To może się udać. Poczekajmy tylko, aż leśniczy odjedzie.

* * *

Piotr ostrożnie zawinął Foresta w koc. Pies prawie w ogóle nie wydawał dźwięków i to było jeszcze bardziej smutne. Ciało psa ważyło sporo, a bezwładność dodawała mu kilogramów. Zaparkowali samochód w bezpiecznej odległości, aby Wojtek z Rutą mogli przeczekać w nim niezauważeni aż do powrotu Piotra. Weterynarz przyjął gościa niechętnie. Zaskoczony otworzył drzwi w zakrwawionej koszuli.

– Znam tego psa - wskazał go palcem, jakby chciał mu coś wytknąć – to przybłęda z obozu.

– Nie wiem, znalazłem go na drodze. Potrzebuje pomocy.

– Niech pan idzie za mną – westchnął i odwrócił się.

Piotr szedł za doktorem drobnymi kroczkami, próbując wyczuć podłoże. Przeszli obok otwartego na oścież garażu. Doktor niespecjalnie krył się z tym, co jest w jego wnętrzu: na ścianach wisiały grube skórzane fartuchy, a z sufitu zwisały stalowe łańcuchy. Na środku stał stół ze stali, a na nim leżało ciało wilka. Weszli do budynku z boku. Doktor zapalił światło i wskazał Piotrowi szeroki blat.

– A skąd w ogóle pan się tu wziął? Nie do obozu właśnie?

– Skądże. Do rodziny jechałem – skłamał Piotr. – Przejeżdżałem i rzucił mi się tuż pod koła.

– Wyposzczony na tej wegańskiej diecie, to nic dziwnego, że atakuje zwierzęta – powiedział doktor, zakładając rękawiczki. – Zwierzęta domowe nie powinny latać po lesie.

Doktor zbadał puls Foresta. Praktycznie niewiele poza lekko falującą klatką wskazywało, że tli się w nim jakieś życie.

– Najlepiej byłoby skrócić jego cierpienia. Ale teraz nawet nie mam nikogo do pomocy. Jutro rano przychodzi asystentka.

– Nic się nie da zrobić?

– Złamana łapa wymaga usztywnienia, ale to najmniejszy pro-

blem. Na pewno ma obrażenia wewnętrzne. Jeśli dożyje do rana, może się z tego wyliże. Jedyne co mogę, to dać mu antybiotyk.

* * *

Wracali w milczeniu. Ruta znów z tyłu przy Foreście. Piotr z Wojtkiem patrzyli w drogę. Wojtek nawet nie wydawał poleceń, jak jechać. Wydawało się, jakby Piotr był już w obozie wieki.

– Po co ty właściwie tu przyjechałeś? - zapytał Wojtek. – Bo chyba nie do obozu?

– Tak naprawdę to szukam swojej siostry.

– Jak ma na imię?

– Alicja. Znać ją może?

– Bonzai – odparł Wojtek.

– Co?

– Bonzai. Tak na nią mówimy. Nigdy nie chwaliła się, że ma brata.

– Nie jesteśmy ze sobą zbyt blisko.

– Kurwa, policja! – krzyknęła Ruta, ale było już za późno. Na drogę prosto z lasu wyskoczył policjant i dawał znać, aby zjechać na pobocze. – Jebani. Musieli się na nas zasadzić specjalnie. Albo ktoś dał im znać...

Tymczasem policjant oświetlał już latarką wnętrze samochodu.

– To ten sam chuj, co potrafił Foresta! – zagotowała się Ruta.

– Ciii... – uciszył ją Piotr. – Nie zaogniaj sytuacji, ja to załatwię – otworzył okno.

– Dzień dobry, panie władzo, coś nie w porządku?

– Widzę, że nieprzepisowe przewożenie osób. Ile pasażerów jest w aucie?

– Trzy, ale mieliśmy nagłą sytuację, proszę wybaczyć...

– Co wybaczyć? Przecież to ten kutas potrafił Foresta! – wyrwało się Rucie. Mleko się wylało i wcale nie miała już ochoty się hamować. – To ty! Morderco zwierząt!

Policjant był niewzruszony.

– Proszę przygotować dokumenty. Lepiej niech pan powie koleżance, żeby uważała na słowa, jest na to paragraf.

– Paragraf – sragraf. Wylegitymuj się najpierw! Fiucie – krzyknęła Ruta, ale na szczęście tego już policjant nie słyszał albo raczej udawał, że nie słyszy. Zaniósł dokumenty do radiowozu. Kiedy wrócił, miał już ze sobą alkomat.

– Proszę dmuchać.

Piotr zbladł.

– Ale ja nic nie piłem – tłumaczył się.

– Zaraz to potwierdzimy.

* * *

Drzwi radiowozu zamknęły się. Piotr po raz pierwszy w życiu siedział na tylnym siedzeniu, zabierany na komisariat. Patrzył z wyrzutem sumienia na zdziwione twarze swoich nowych towarzyszy. Kiedy już mieli odjeżdżać, na drogę wyskoczył Wojtek.

– Jezu, a ten tu czego! – zasyczał zniecierpliwiony gliniarz, ale zatrzymał się i otworzył okno.

– Przepraszam, panie władzo, tylko jedno pytanie – tu zwrócił się do Piotra – jaki masz rozmiar nogi?

W pierwszym momencie Piotr nie zrozumiał pytania.

– Jakie buty nosisz?

– 44.

Wojtek tak jak stał, zdjął kalosze i podał je Piotrowi.

– Trochę za duże, ale przydadzą ci się. Ruta chciała.

– Dobrze panowie, dość już tych pożegnań, bo się rozkleimy.

– Jeszcze to! – powiedział Piotr i wyciągnął z kieszeni kluczyki do auta. – Weźcie Foresta do ciepłego.

– Jedziemy!

Samochód policyjny odjechał, pozostawiając bosego Wojtka na mokrym asfalcie.

Rafał Sieradzki:

Do obozu aktywistów broniących lasu przed wycinką przyjeżdża Piotr. Szuka siostry. Widział ją w telewizji, jak wisi przypięta do drzewa. Matka prawie dostała zawału. Stara rodzinna trauma nie daje mu spokoju. Piotr boi się, że tym razem sam sobie nie poradzi. Musi sprowadzić siostrę i rozwiązać dawne zaszłości. Tymczasem to właśnie obóz wciąga jego...
Nie powie ci las to opowieść o rodzinnej historii w cieniu drzew. I o prawie do własnej wolności.



Wyrównania

>> Gliwice – wrzesień 1945

– Zośka! Wsiadamy! Nie jedziemy dalej, stąd łatwiej będzie wrócić do Lwowa!

Chwyił ją za rękę i wyskoczyli z wagonu. Zdążyli w ostatnim momencie. Stefan sprawnie zajął się bagażami, a ona stała nieruchoma. Wpatrywała się w odjeżdżający z gwizdem pociąg, którego sylwetka zlewała się z poranną mgłą unoszącą się nad peronem. Wrócić do Lwowa...

Pociąg zniknął. Pozostały po nim kłęby dymu i zapach, którego nigdy nie zapomni. Zapach, który nasilał się z każdym dniem i nie dawał oswoić. Miała wrażenie, że po rodzaju zapachu rozpoznałaby, jaki to dzień. Nie głód jej doskwierał, nie zimno, ale właśnie on. Ratunkiem były papierosy. Zaciągała się nimi do utraty tchu. Wdychała ich aromat, zamykała oczy i przenosiła się do Szkockiej. Tam nauczyła się palić, wpatrując się w profesora wypuszczającego z ust zgrabne kółka dymu. Zasluchana zanurzała się w uporządkowanym świecie matematyki, innym od codziennego chaosu. W pociągu każde zaciągnięcie odrywało od rzeczywistości. I choć nie bała się przyszłości, w przeciwieństwie do reszty pasażerów, to jednak odsuwała ją od siebie. Spod zmrużonych powiek obserwowała Stefana, nie dopuszczając go do siebie zbyt blisko. Czuł to i szanował. Patrzyła na silne dłonie, którymi potrafił przełamać kawał drewna na opał. Z czułością podawał jej kawę i gorącą zupę. Sprawdzał się w każdych warunkach.

Był zupełnie inny niż Jerzy, lecz nie zniosłaby, gdyby było inaczej. Jej mężczyzna na nowe życie.

– Musimy wziąć ślub, inaczej zabiorą nam mieszkanie. To lokum dla rodzin.

Stefan patrzył wyczekująco. Tyle razy pytał kiedy, a ona ciągle mówiła, że jeszcze nie czas. Więc nadszedł. Uśmiechnęła się. Miała dwa dni na przygotowania. Rozpakowywała rzeczy. Nie mieli wielkiego bagażu, kilka pudeł i toreb. Stefan delikatnie otworzył jedno. Spojrzała z niedowierzaniem. Samowar babki! Kochana mama! To jej robota. Wiedziała, że ułatwi osvajanie nowego miejsca. Zaparzyła herbatę, zapachniało domem. Ale żadna z sukienek na ślub się nie nadawała. Jutro coś wymyśli.

Wczesnym rankiem delikatnie zamknęła drzwi. Stefan jeszcze spał. Ufając ostrzeżeniom sąsiadek, unikała wieczornych wypraw, gdy niebo chowało się pod powieką zmierzchu. Poranne miasto wydawało się bezpieczniejsze. Wrzesień już i tak złagodził jego wcześniejsze ponure oblicze. Szczęśliwie nie przypominało wymarłego apokaliptycznego miejsca, jakim było w styczniu, w pierwszych tygodniach pobytu Sowietów. Rześkie powietrze dodawało otuchy. Jesień łaskawie obdarzała ciepłem. Zośka podniosła świeże, wilgotne kasztany i mocno zacisnęła je w dłoni. Wskoczyła na kamienny murek i jej uwagę przyciągnęły dwie kobiety w rozwianych płaszczach. Chichocząc i walcząc z wiatrem, maszerowały w stronę zabudowań. Po chwili powróciła cisza. Zośka poszła za śmiechem kobiet. Minęła znajomy już dworzec i weszła w szeroką ulicę. Po prawej modernistyczna kamienica. Seidenhaus Weichmann. Miasto budziło się do życia. Przyglądała się ulicom. Czuła nieobecność tłumu, który zapewne pojawi się niedługo później. Przeszła przez most i spojrzała na monumentalny budynek. Nad ostatnim, piątym piętrem wśród spalonych ścian przebłyskiwały resztki dachu oraz potężna rzeźba pólężącej kobiety. Germania, symbol Niemiec i całego narodu niemieckiego. Z trudem odczytała resztki napisu „Café Haus Oberschlesien”. Muszę poprawić swój niemiecki, pomyślała. Tu i ówdzie szklarze uwijali się z robotą. Jako pierwsza, piekarnia zapraszała kuszącym aromatem, później otworzyła drzwi cukiernia. „Po gorzkiej wojnie osłódź sobie życie hojnie”. Uśmiechnęła się i postanowiła, że wróci tu później. Teraz wypatrywała czegoś zupełnie innego. Nie miała wiele czasu.

Otworzyła wielką szafę. Dębową, niemiecką. Zwlekała z tym, bała się, co w niej zastanie. Drzwi zaskrzypiały ostrzegawczo, zawałała się, nie chciała oglądać czyichś śladów. Pusto. Na drzwiach przykurzone lustro. Wytarła i przyjrzała się odbiciu. Obróciła się. Z tyłu też nieźle. Pan Stanisław nie zawiódł. Była gotowa. Na ślub. Na nowe życie.

(...)

>> **Lwów – wrzesień 1945**

– Ależ długo was nie było. Już się zaczynałem martwić.

Papa przywitał nas w progu. Wziął od mamy torebkę i odwieścił na mosiężnym wieszaku, w którego mocnym uchwycie przez chwilę grzało się słońce. Jadzia od razu podreptała do kuchni, a my w trójkę przeszliśmy do salonu.

– Straszne tłumy były, miałyśmy wrażenie, że nie tyle pogrzeb to był, co wielka manifestacja całego środowiska. Tych, którzy jeszcze tutaj pozostali. Aż szesnastu mówców go żegnało, Zosia liczyła. Serce mnie bolało, gdy widziałam rozpacz w oczach Łucji Banachowej.

– A Hugo? Słyszałem, że nie dał rady przyjechać, choć mu zależało. Przecież to jego największe odkrycie w matematyce.

– Profesor bez fraka, cylindra i skończonych studiów, a i tak wszystkie studentki wodziły za nim wzrokiem.

– Zosiu! Tak nie wypada! I to o profesorze w dniu jego pogrzebu.

– Oj mamuś, jestem przekonana, że to by mu się spodobało. Zawsze je z zadowoleniem obtańcowywał podczas uczelnianych balów. Do tego palił jak smok i ciągnął innych matematyków na kawę i koniak do Szkockiej. I te nocne dyskusje o...

Przerwałam, widząc zdumienie w oczach mamy. Dotarło do mnie, że mama ciągle nie zdawała sobie sprawy, że miała dorosłą

córkę. Faktycznie dorosłam i to szybko, wojna i ciągła niepewność powodowały, że nie chcieliśmy na nic czekać, bo przecież „jutra może nie być”. A wykłady Banacha były naprawdę fascynujące. Miał dar mówienia o trudnych tematach językiem, który docierał do wszystkich. Nie wspominając już o dyskusjach przy kawie i papierosach. Dzięki niemu odkryłam świat liczb i przestrzeni. Nawet karmienie wszy nie było tak dokuczliwe.

Usłyszałam dźwięk samowara i po chwili na stoliku stały trzy filiżanki aromatycznej herbaty. Obok nich rozsiadła się pękata srebrna cukiernica, do której Jadzia z czułością dosypywała cukru. Papa zawsze pił mocną z dwiema łyżeczkami, natomiast mama nigdy nie słodziła, tylko uzupełniała wodą. Stało się rytuałem, że po pierwszych łyżkach podchodziła do samowara i dolewała wrzątku do pełna, a pod koniec robiła to samo, mówiąc, że nie lubi pić zimnej.

– Udało mu się przetrwać wojnę, wykarmić Weiglowi tysiące wszy, a teraz już go nie ma. To okrutne i niesprawiedliwe. – Podeszłam do mamy. Zsunęłam z ulgą buty i wygodnie usiadłam na kanapie.

– Wiele niesprawiedliwości wszystkich tu spotkało. I krzywd, i okrucieństwa.

Spojrzałam na papę. Trzymał w dłoniach filiżankę i patrzył przed siebie. Nawet nie zauważył, że pił gorzką. Nie mogłam się przyzwyczaić, że on, który był w moich oczach najenergiczniejszym mężczyzną świata, wyraźnie opadał z sił. Po śmierci Leona mocno się rozchorował i długo nie mógł wrócić do formy. Nawet do koni nie zaglądał. Stracił z dziesięć kilo, a jego ciemne włosy pokryły białe pasma, niczym szron osiadający na jesiennych liściach.

Minęło sześć lat od szarży pod Wólką, a papa ciągle się nie pogodził ze stratą jedyne go syna. Gdy Jerzy wrócił ranny i z bólem serca opowiadał o bitwie, w której zginął Leon, miałam wrażenie, że papa patrzył na niego z wyrzutem. Machnął lekceważąco ręką, gdy Jerzy napomknął o Michalinie, narzeczonej Leona.

– Jaka tam narzeczone? Zwykła panna z Jazłowca. Nawet się nie oświadczył.

Mama próbowała prostować, że przecież ją kochał. Papa wzruszył ramionami i o nic więcej nie pytał. Poszedł do gabinetu i siedział tam chyba do rana. Czułam, że miał żal do Jerzego, że pozwolił zginąć Leonowi. Że go nie chronił. Ale i on zginął.

Wiedziałam, że nie będzie im łatwo. Właściwie zostaną sami. W swoim, ale coraz bardziej obcym, mieście. Ta myśl nie dawała mi spokoju. Lecz wiedziałam, że tu nie było dla mnie przyszłości. Poprawiłam włosy. Niesforne kosmyki opadały mi na twarz. Zatęskniłam przez chwilę za kokiem, który potrafił utrzymać je w ryzach. Jerzy często prosił, by dawać im wolność. Ścięłam je zaraz po pogrzebie. Spaliłam wraz ze wspomnieniami. One też były niesforne. Wracały bez ostrzeżenia.

– Jesteś przekonana, że jutro chcecie jechać?

– Tak, mamo, nie mamy na co czekać. Razem ze Stefanem zarejestrowaliśmy się na wyjazd i już mamy kartę ewakuacyjną. Wyznaczono nam termin transportu na jutro, chociaż i tak nie wiadomo, czy uda się zabrać jutrzejszym pociągiem. Na dworcu zawsze są tłumy.

– Czy ty na pewno go kochasz?

– Przecież przyjęłam jego oświadczyzny. Jestem pewna, że nikogo mocniej nie pokocham...

Niż Jerzego, dokończyłam w myślach, kręcąc w palcach pierścionek. Wysłałam szybko z pokoju, by rodzice nie widzieli moich łez. Życie się skomplikowało i wcale nie ufałam decyzjom, które ostatnio podejmowałam. „Wsi Lachy za San” – słychać było głosy wrogo nastawionych Sowieców i czułam, że nie jestem w stanie żyć tutaj dłużej. Niestety, ani mama, a już tym bardziej papa nie chcieli słyszeć o wyjeździe z ukochanego miasta. „Tu się urodziłem i tutaj mnie pochowają” powtarzał i wychodził z pokoju, gdy tylko próbowałam rozpocząć rozmowę o opuszczeniu Lwowa. Za przykład dawał profesora Banacha, którego nigdy nie udało się przekonać do wyjazdu. Gdy jego sława przekroczyła granice Oceanu Atlantyckiego, John von Neumann miał za zadanie ściągnąć go do pracy w USA. Pamiętam poruszenie, jakie wywołała wizyta Neumanna na uniwersytecie. Jeszcze przed wojną,

wysyłany przez profesora matematyki Norberta Wienera, kilkakrotnie namawiał Banacha na wyjazd. Jednakże żadna kwota ani żadne inne obietnice nie skłoniły go do zmiany decyzji. No i nie opuścił ukochanego miasta. Kto wie, jak by się potoczyły jego losy, gdyby jednak wyjechał za ocean?

Nie chciałam zostawiać rodziców samych, ale wiedziałam, że ja, aby żyć, muszę wyjechać. Nie mogłam codziennie patrzeć na rany ukochanego miasta, odartego z dumy i piękna, gdzie każdy skwer, każda ulica przypominały mi, co bezpowrotnie utraciłam. Niewiele czasu zajęło spakowanie wszystkich rzeczy, od rodziców dostałam trochę biżuterii, po wojnie nie zostało wiele. Wszystko starannie pochowałyśmy z Jadzią w różnych zakamarkach moich bagaży. Ukryłam nawet podkowę, gdyż nie chciałam jej nosić. Bałam się, że za bardzo rzucała się w oczy. Zastanawiałam się jeszcze, gdzie schować różę, jedyną moją pamiątkę po Jerzym.

Jerzy, jak mogłeś mi to zrobić? Jak mogłeś dać się zabić? Czekalam na ciebie z niespodzianką, a ty wszystko zepsułeś. Wzięłam do ręki broszkę i przejechałam po jej chropowatych płatkach. Pamiętam rozczarowanie, gdy otworzyłam pudełko. „Jesteś piękna i ostra jak ona” – usłyszałam słowa Jerzego, zamiast tych, na które czekałam. Z całych sił próbowałam powstrzymać łzy. Aby dodać sobie odwagi, wypilam szybko jeden kieliszek wina, potem drugi i trzeci, i... już nie miałam nic do stracenia. A potem straciłam wszystko.

Zawinęłam broszkę w jedwabną chusteczkę i wsunęłam w ukrytą kieszeń sukienki, mając nadzieję, że tam będzie bezpieczna. Zamknęłam walizkę i podeszłam do okna. Widok sosny, który towarzyszył mi od dziecka, wywołał kolejną lawinę wątpliwości. Wiatr szarpał huśtawką, nieodłączną towarzyszką dzieciństwa, zawsze gotową do zabawy i do wysłuchiwania żali, które bujaniem skutecznie łagodziła. Teraz kołysała się smętnie, z wyrzutem, że ją też zostawiam.

Stefan, dobry, czuły Stefan, czy jego miłości wystarczy na nasze wspólne życie? Miałam taką nadzieję, bo jedyne, czego byłam pewna, to wyjazdu. Wyjazdu na te, jak to mówili, „ziemie odzy-

skane”, gdzie miałam szansę na odzyskanie swojego życia. Byłam jedną z niewielu osób, u których myśl o wyjeździe nie rozdzierała serca, a wręcz przeciwnie, dawała nadzieję na nowy początek. Poczułam zapach brzoskwini. Zamknęłam okno i wróciłam do rodziców, by dokończyć herbatę. Nie miałam pojęcia, że to ostatnia, którą razem wypijemy.

Następnego dnia zaraz po śniadaniu pojechaliśmy na dworzec. Deszcz padał od samego rana, po szybach samochodu spływały wielkie krople, kształtem zbliżone do łez, których morze zostawiłam rano na poduszce. Silny wiatr utrudniał otwarcie drzwi, jakby zmówił się z rodzicami i ze wszystkich sił starał się mnie zatrzymać. Czule przejechałam dłonią po masce fiata, który ocalał z wojennej zawieruchy i nie został jeszcze zarekwirowany przez władze sowieckie.

Nie chciałam, by rodzice mnie odprowadzali. Bałam się rozstania. Ale papa był uparty, poza tym wiedział, że nie dam rady z bagażami. Ledwo weszliśmy na peron, pojawił się Stefan.

– Jak dobrze, że już jesteś. Wyobraź sobie, że zaraz ruszamy. Udało się znaleźć miejsce w wagonie z kolegami. Będziemy jechać z ekipą kolejarską, będzie różniej.

Entuzjizm w głosie Stefana kontrastował ze smutkiem w oczach rodziców. Mama owinęła się szalem, który wyciągała tylko na wyjątkowe okazje, i przytuliła do papy. Pewnie do końca łudzili się, że coś stanie na przeszkodzie i mnie zatrzyma. Objęłam ich mocno, nie mogąc znaleźć słów pożegnania. Kiedy mama zdjęła szal i otuliła moją szyję, w gardle urosła mi gęsia skórka, która nie pozwoliła wyksztusić słów podziękowania. Resztką sił oderwałam się od nich i pośpiesznie wsiadłam do pociągu.

Pociąg ruszył, a ja zaszyłam się w najciemniejszym kącie wagonu. Wdychając zapach mamy, zapadałam w nicość. Przed oczami migają mi obrazy, których nie starałam się rejestrować. Stefan krzążący się wśród bagaży, ustawiający je i pokrzykujący do kolegów. Ludzie kręcący się bez celu, ze smutkiem w oczach. Nie chciałam patrzeć przez okno, nie chciałam widzieć oddalających się, a tak bliskich krajobrazów, więc zamknęłam oczy i odcięłam się od rzeczywistości. Stukot kół zagłuszał wszelkie

dźwięki. W jego rytmie w wieku dwudziestu pięciu lat żegnałam swój stary świat.

Przejechałam dłonią po niewielkiej bliźnie, która zahaczała o usta. Nie była już prawie widoczna, ale zmieniła moje życie. Wcale nie dlatego, że straciłam władzę nad kącikiem ust i mój uśmiech wzbudzał niepewność wśród kolegów, jak mi kiedyś uświadomił Leon. Wiele razy się zastanawiałam, czy życie potoczyłoby się inaczej, gdybym nie podjęła tej decyzji. Przecież to przeze mnie Jerzy zakochał się w Luście. Gdybym nie leżała w szpitalu, to by jej nie poznał i miałabym go dla siebie. Pamiętam ten moment, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, pamiętam, jakie wrażenie na nim zrobiła. Od tego dnia wszystko się zmieniło. Nawet nasze wyprawy konne straciły magiczną moc. Gdy odstawiałam Azję do boksu, czułam jej pytające spojrzenie: „Jak to? Już? Przecież ani ty, ani ja nie zdążyliśmy się zmęczyć”. Musiała mnie rozumieć. Łączyła nas więź już od pierwszej chwili, gdy się poznałyśmy. W majowy poranek przyjechaliśmy do stadniny, papa wziął mnie za rękę i poprowadził wprost na padok. W cieniu lipy pasły się młode konie. Zatrzymaliśmy się przy kasztance.

– To jest Europa. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Zbliżyłam się. Europa podniosła głowę. Miała długie rzęsy i łagodne spojrzenie. Pogłaskałam ją po szyi. W tym momencie usłyszałam głośne parsknięcie, obejrzałam się i zobaczyłam karą klacz, której sierść błyszczała w porannym słońcu. Serce zabiło mi mocniej i bez wahania zrobiłam dwa kroki w jej stronę. Mocno trzepnęła grzywą.

– Uważaj, to jest Azja, bardzo narowista. Leon ją sobie upatrył.

Nie zważałam na te słowa, bo choć Azja patrzyła wyzywająco w oczy, to czułam, że nie robi mi krzywdy. Zrobiłam kolejny krok i usłyszałam ciche rżenie. Podeszłam całkiem blisko i przejechałam dłonią po aksamitnej sierści.

Wiele dni zajęło mi przekonywanie, bym mogła jeździć właśnie na niej, że to ona powinna być moim prezentem. Papa się bał. Mówił, że ma trudny charakter, że długo trwało, zanim pozwoliła

się okiełznać i nauczyła się jeździć pod siodłem. Jednak tak bardzo mi zależało, że w końcu ustąpił. Po roku wygrałyśmy nasze pierwsze zawody. A teraz musiałam ją zostawić. Łzy płynęły mi po twarzy, gdy się zegnałyśmy.

Nie wiem, jak udało się wytrzymać te koszmarne dni. Siedemnastego września nad ranem pociąg zatrzymał się na stacji. Nazwa Gleiwitz nic mi nie mówiła. Zrobiło się zamieszanie, z każdego kąta wagonu dobiegały krzyki i ponaglenia. „Teraz?“, „Tutaj?“, „Co to za miasto?“, „Szybciej! Wychodzimy!“. Zerwałam się z miejsca. Bałam się, że zgubię Stefana.

– Zośka! Wsiadamy! Nie jedziemy dalej, stąd łatwiej będzie wrócić do Lwowa!

Wysiedliśmy. Pociąg ruszył, a my zostaliśmy na peronie. Łatwiej będzie wrócić...

(...)

>> Gliwice – grudzień 1981

– Ciociu, kiedy wstaniesz? Miał być Teleranek, a nie ma i nie ma.

Zośka przetarła oczy i spojrzała na zegarek. Niemożliwe! Dziewiąta! A ona jeszcze w łóżku! Nie zdarzyło jej się to nawet w czasie choroby. Zazwyczaj o szóstej była już na nogach. Wskoczyła spod kołdry, narzuciła peniuar i poprawiła włosy. W salonie z włączonego telewizora dochodziły słowa.

– Obywatelki i obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej! Zwracam się dziś do was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego. Zwracam się do was w sprawach wagi najwyższej. Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią.

Wpatrywała się bez ruchu w ciemne okulary generała. Niewiele rozumiała z tego, co usłyszała. Jak miała to wytłumaczyć sześciolatniemu dziecku? Inka stała obok i czekała na wyjaśnienia. Zośka zgasiła odbiornik i poszła do kuchni. Inka podreptała za nią. Włączyła radio. Usłyszała ten sam głos i te same słowa.

Nie mogła się skupić. W nocy niewiele spała, co chwilę wstawiała i wyglądała przez okno. Przysnęła chyba nad ranem. Stefana ciągle nie było. Miał wrócić wczoraj. Dlaczego go nie było? Co się stało? Podniosła słuchawkę. Telefon dalej milczał. Tak samo jak przed północą, gdy próbowała dodzwonić się do Jana. Cisza. Awaria? Koniecznie jutro z samego rana wezwie ekipę.

Wyjrzała przez okno. Białło i pusto. Samotny mężczyzna otulony szalem i z psem na smyczy przemykał wśród śnieżnych czupryn drzew.

Stefana nie było już trzeci dzień, od piątku. Zmierzchało, gdy wpadł Jan. Z Inką. Zapytał Stefana, czy może go podrzucić. Stefan nałożył płaszcz, bez dalszych pytań, jakby już wcześniej wiedział, że mają jechać. Ucałował ją na pożegnanie, nie patrząc jej w oczy. Poczula strach, chłodny powiew przebiegł przez jej ciało.

– Nie martw się. Na obiad wrócę. Ugotujcie z Inką coś dobrego. Ona chętnie ci pomoże.

Słyszając to, Inka wskoczyła mu na ramiona i ucałowała w oba policzki.

– A co lubisz, wujaszku?

No właśnie. Co lubisz? Zośka zdała sobie sprawę, że nigdy go o to nie pytała. Przez okno widziała, jak obaj wsiadają do samochodu. Dziewięcioletni fiat 125p spisywał się bez zarzutu. Prezent na pięćdziesiąte urodziny. Niełatwy do zdobycia. Gdy przy śniadaniu wręczyła Stefanowi kluczyki, nie ukrywał zaskoczenia. Polubił go szybko, od pierwszej przejażdżki. Nie sprawiał kłopotów. Zośka wierzyła, że teraz też nic się nie stało. Inaczej Stefan na pewno dałby znać. Nigdy nie zawiódł. Zawsze był.

– Ciociu, zrobisz mi kakao? W tym kubku z kwitnącymi różami?

Uśmiechnęła się. Krystyna zawsze w nim piła. Przygotowała śniadanie. Nie chciała, by Ince udzielił się niepokój. Patrzyła, jak z zapalem wsmarowywała dżem z czarnej porzeczki, oblizując przy okazji łyżeczkę. Sama nie miała na nic ochoty, poza kawą. Po chwili jej zapach rozchodził się po mieszkaniu. Odruchowo sięgnęła po papierosa, ale wstrzymała się. Przy Ince nigdy

nie paliła. Zanurzyła usta w gorącej kawie, kożuch łaskotał usta. Inka starannie wybrała resztki dżemu ze słoika i podziękowała za pyszne śniadanko.

- Ciociu, a tata kiedy po mnie przyjedzie?
- Niebawem, moja droga. Może porysujemy?
- A masz plastelinę? Ulepimy mamę i tatę.
- Nie, ale mam coś innego. Chodź, na pewno ci się spodoba.

Do południa cały stół kuchenny zastawiony był figurami z masy solnej. Inka z niemniejszym zapałem sprzątała po robocie. Zośka obejrzała prace. Były niezwykle. Spojrzała na Inkę z uwagą.

- Teraz muszą się wysuszyć. Może masz ochotę na spacer?

Inka przytaknęła radośnie. Szybko się ubrała i gotowa, opatulona szalikiem czekała przy drzwiach wyjściowych. Zośka podniosła słuchawkę telefonu. Cisza. Szybko zamknęła mieszkanie. Śnieg przyjemnie skrzypiał pod nogami. Jednak w powietrzu wisiał niepokój, owiewany mroźnym wiatrem. Nie słyhać było ani ptaków, ani ulicznego gwaru. Poszły w stronę rynku. Coraz głośniejszy dźwięk docierał z niedaleka. Po chwili zatrzymały się. Tuż przed ich oczami przejeżdżała kolumna czołgów zmierzająca od strony Prezydium. Jak triumfalny przejazd Sowietów przez Lwów w trzydziestym dziewiątym. Strach.

Po czołgach pojawiły się wozy pancerne. Jak podczas okupacji niemieckiej. Rozpacz.

Uzbrojona piechota pancerna. Jak w lipcu czterdziestego czwartego. Pożegnanie. Ból, przecinający na pół, zabierający resztkę nadziei. To już nie było to samo miasto. Zgasł śmiech, nieodłączny towarzysz ulicy, umilkły radosne rozmowy. Miasto straciło duszę.

Czy znowu czekała ją powtórka? Utraci kolejne miasto? To chyba niemożliwe, nie było tu obcych. Przecież była ciągle wśród swoich. Czy powinna się bać?

„Papo, co myślisz, gdy patrzysz na to wszystko?”.

– Ciociu, poczytasz mi coś? Mama zawsze mi czyta na dobranoc.

Inka stała w progu w piżamie w kolorowe misie i czekała na odpowiedź.

– Już umyłam zęby i położyłam Izę spać. Mam chwilę dla siebie.

Zośka odłożyła figurę Neptuna, którą dotyk Inki niezwykle ożywił. Czarny kamień zastąpiony przez masę solną zachował zasady kompozycji i można było go oglądać ze wszystkich stron. Jak Ince udało się go tak umiejętnie odwzorować tylko na podstawie szkicu, który wisiał w salonie?

Uśmiechnęła się i wzięła ją za rękę. Weszły do pokoju Jana.

– Ciociu, a co to znaczy właściwie? Mama, gdy myśli, że już śpię, siada na kanapie koło taty i mówi „Teraz mamy chwilę dla siebie”.

– To znaczy, że teraz może robić to, na co ma ochotę.

– Jak to? Przecież dorośli zawsze robią to, na co mają ochotę. Idą spać, kiedy chcą. Jedzą to, co im smakuje, i wtedy, kiedy chcą. Sama dziś nie jadłaś śniadania, tylko kawę piłaś. I na obiad też niewiele, choć ja musiałam zjeść całą zupę. Cały dzień sobie rysujesz albo spoglądasz przez okno. – Inka spojrzała na nią z wyrzutem.

Zośka nie zdawała sobie sprawy, że była tak bacznie obserwowana.

– Fajnie jest być dorosłym. Małe dziewczynki ciągle na coś czekają. Teraz czekam na bajkę w telewizji i na rodziców. No i na wujaszka. Miał już dawno wrócić, a go nie ma. Smutno mi trochę bez niego. A tobie? – Inka przytuliła się do ciotki.

Zośka objęła to drobne ciało. Wdychała jej zapach. Tak bardzo tęskniła za Stefanem. Nie ma pojęcia, jak by sobie poradziła, gdyby nie było tu Inki. Stanęła przed półką z książkami. Bunsch, May, Sienkiewicz. Żadna z pozycji nie nadawała się na lekturę dla sześcioletniej dziewczynki. Przeszły do sypialni.

– Ach ciociu! Jak ty tu pięknie wyglądasz! – Inka z zadartą głową wpatrywała się w fotografię.

Zośka przygryzła wargę i wróciła nad morze. Stefan zatrzymał czas.

Pocałowała jasne włosy Inki. Miały dokładnie ten sam odcień, co warkocz Luśki. Sięgnęła do biblioteczki po książkę w bladzielonej okładce. Lekko wytarte na brzegach wydanie z dwudziestego pierwszego roku. Rozmarzona Ania wygląda przez ukwiecone okno. Czytała ją tysiące razy. Pierwszy raz przeczyta ją na głos. Nie myślała, że tego doczeka.

– Ciociu, kiedy wujek w końcu się obudzi?

Zośka zasłoniła okna w sypialni i położyła palec na ustach. „Ciiii”. Poprawiła zsuniętą kołdrę, pod którą od kilku godzin spał Stefan. Wrócił nad ranem. Był tak zmęczony, że nie chciała o nic pytać.

Najważniejsze, że wszystko w porządku. Jan i Krystyna byli bezpieczni, choć jeszcze nie wrócą do domu. Obiecał im, że zaopiekują się Inką. Nie pytała, gdzie byli. Czuli, że lepiej nie wiedzieć. Zdała sobie sprawę, że tyle się działo poza nią. Kojarzyła imiona kolegów, z którymi Jan spędzał sporo czasu. W rozmowach przewijał się jakiś Jurek, z którym studiował mechanikę. I Krzysiek, chyba z instytutu. Stefan był znacznie bliżej. Ona się oddaliła. Nie znała ich tajemnic. Nie mówili jej wszystkiego. Tak jak i ona im. Wygładziła spodnie, poprawiła marynarkę, rzuconą niedbale na fotel. Delikatnie przejechała po jej połach. Wyczuła pod paznokciem wypukłość. Sięgnęła do kieszeni. Opornik. Widziała go wcześniej w klapie marynarki Jana. Czemu był w kieszeni Stefana? Odłożyła na miejsce.

– Dajmy mu jeszcze chwilę. Musi porządnie wypocząć.

Zośka delikatnie zamknęła drzwi.

- Ciociu, a ty potrafisz trochę szyć?
- Trochę potrafię. A co mam ci uszyć?
- Nie mi, Izie. Wzięłam jej tylko jedną sukienkę, a niechcący usłyszałam, że obie pomieszkamy jeszcze z wami.

>> Gliwice – listopad 1989

Spojrzała w lustro.

Przejechała dłonią po włosach. Wyblakły. Skąd tyle białych nittek? Jeszcze wczoraj ich nie było.

Podeszła do komody. Z szuflady wyjęła nową paczkę. Zapaliła. Papierosowy dym otulił jej ciało.

Niezawodny towarzysz. On jej nie zostawi.

Deszcz uderzał w okna. Odpędzał ciszę. Dołączył się czajnik. Nie pozwolił na niedziałanie.

Kawa bez zapachu i smaku.

„Jerzy, dotrzymałam obietnicy. Nikt nie usłyszał ode mnie słowa kocham”.

– Mur berliński padł w nocy z czwartku dziewiątego listopada na piątek dziesiątego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego, po przeszło dwudziestu ośmiu latach istnienia.

Wyłączyła radio.

„Stefan, kochałam cię. Poczujesz to choć raz?”.

(...)

>> Gliwice – czerwiec 1993

– Ciociu! Dla mnie? Naprawdę?

Zośka przytaknęła. Inka wpatrywała się w otwarte pudełko.

Na bordowym aksamicie leżała podkowa opleciona literami S i F. Wisior, z którym Zośka się nie rozstawała. Dostała go od papy. Za pierwsze wygrane zawody. Pamięta do dziś, jak z dumą opowiadał o wzięciu ostatniej przeszkody. „Moja krew” – mówił. Ziajana Azja odpoczywała w cieniu, a ona wypatrywała Jerzego. Liczyła, że widział, jak świetnie sobie poradziła.

Papa, w dwudziestym roku odznaczony przez samego Marszałka orderem Virtuti Militari, chciał, by jego dzieci nosiły ten symbol. Leonowi na osiemnaste urodziny wręczył sygnet. A jej – chyba nie mogąc się doczekać pełnoletności – wisior, właśnie przy okazji pierwszej nagrody jeździeckiej.

– Chciałabyś go nosić?

Poczuła mocny uścisk Inki. Uśmiechnęła się.

– Udusisz mnie, moja droga! Poczekaj, przymierzmy.

Kilka dni temu wymieniła zapięcie, bo stare czasem zawodziło. Wyczyściła, przywracając blask. Z czułością wyjęła z pudełka i zawiesiła na szyi Inki. Zapięła. Po raz ostatni.

– A co się stało z sygnetem? – zapytała Inka, wyrównując podkowę na dekolcie.

Zośka zamknęła puste pudełko. Wyjęła z papierosy.

Czy powinna skorzystać z szansy, którą nagle podsunął los? Czyż nie czekała na sprzyjające okoliczności?

Zaciągnęła się i wypuściła kłęby dymu. Jak kiedyś, w Szkockiej, nauczona przez profesora Banacha. Chciałaby tam jeszcze raz wypić kawę.

(...)

###

Alina Staneczek:

„Zośka! Wsiadamy! Nie jedziemy dalej, stąd łatwiej będzie wrócić do Lwowa!”.

Tak rozpoczyna się ta historia – końcem podróży, w mieście zwanym Gleiwitz. A kończy się – początkiem kolejnej. Miejsce jest to samo, tylko nazwa już inna – Gliwice.

Środek historii także jest podróżą. Toczy się niejednostajnie i pozwala na zatrzymania. Przystanki dają okazję, by zajrzeć do świata Zośki. Oto dwudziesto-pięcioletnia kobieta gotowa na nowe życie. Gdyby urodziła się dziesięć lat później albo dziesięć wcześniej – byłoby inne.

Nie ma tu fajerwerków, nie ma krzyków rozpacz. Są pożegnania „o poranku bez chustek i bez łez”. Są powitania, gdy „radość kryje się wszędzie, w korytarzach i młynkach do kawy”. Zośka ze spokojem i z tym swoim ironicznym uśmiechem, otulona zapachem wspomnień i papierosowym dymem, idzie przed siebie. Czasem tylko spogląda wstecz, bacząc, by nikt tego nie spostrzegł.

Czas pozwala na zmiany, płynąc w tym samym rytmie. Daje szansę na wyrównanie krzywd. I nadzieję, by „jechać do Lwowa, bo przecież istnieje, spokojny i czysty jak brzoskwinia”.

Punkt „0”

Rozdział 1

Janka

150 dni do punktu „0”

15 stycznia 1945 roku

To nie było zwykłe pukanie do drzwi. Po pierwsze, rzadko kiedy w tym domu się pukało, po drugie, pora była już późna, a po trzecie... było w nim coś nieodwracalnego. Płomień świecy z pszczelego wosku zachybotał się, jakby przez izbę przeleciał podmuch wiatru. Wszystko w domu zamarło.

Jeszcze przed chwilą z kuchni dobiegało tłuczenie żeliwnymi garnkami; to matka przygotowała kolację dla rodziny. Janka wybijała paznokciami na stole takt heksametru jambicznego, pomagając sobie w męczącej lekturze Pana Tadeusza. Świeca nie dawała mocnego światła, więc dziewczyna siedziała zgarbiona nad stołem. Ciemne włosy falującymi kosmykami wymykały się spod wstążki, grzywka zachodziła na oczy, ale Jance to nie przeszkadzało. Odruchowo zarzucała dłonią włosy na policzki, chcąc ukryć to, czego i tak nie dało się ukryć. Wełniany sweter wydziergany na drutach skrywał jej wiotką sylwetkę, tak jak reszta ubioru. Plecami opierała się o gorący piec kaflowy. To była jej ulubiona pozycja do czytania. Tymczasem pukanie do drzwi nieodwracalnie wyrwało ją z uczty na zamku Horeszków.

Dopiero ostry dźwięk przesuwanego po podłodze krzesła pobudził domowników do ruchu, a Jankę do oddychania. Mocniej przywarła do pieca. W domu zrobiło się chłodniej. Nasłuchiwała.

Pukający nie wszedł do środka, więc nie był gościem.

Mógł być posłańcem. W tamtych czasach to niewdzięczna rola, tym bardziej że rodzina Pawłowskich miała się czego obawiać. Zapewne wszystkim przyszła do głowy jedna myśl: „Złapali go!”.

Cisza była zbyt straszna. Drażyla w każdym domowniku głębokie korytarze, pełne pustki i strachu. Czas zatrzymał się. Janka poczuła jego ponowny ruch wraz z dźwiękiem upadającej pokrywki w kuchni. Znow wszystko odżyło i kontynuowało swój bieg. „Odżyło” – to może zbyt mocne słowo. Dokonała się zmiana, tylko jeszcze nie było wiadomo, czego dotyczyła.

Po wrzawie na ucztę w zamku Horeszków nie było nawet echa. Płomień świecy zgasł, jakby ktoś nałożył na niego gasidło. Janka odkleiła się od pieca i bezszelestnie podeszła do drzwi. Klamka zachrzęściła metalicznie, wywołując dreszcz u dziewczyny.

Na pierwszy rzut oka widok był taki jak zawsze. Przy drewnianym, solidnym stole siedział ojciec pochylony nad książką lub gazetą. Okulary miał na czubku nosa i fraszobliwie drapał się po głowie. Matka jak zawsze krzątała się po izbie, wykonując kilka czynności naraz. Wprawne oko Janki od razu jednak wyловиło pewne niezgodności. Matka stała bez ruchu, trzymając w jednej ręce żeliwny garnek, a w drugiej druciak, którym szorowała dno naczynia. Przynajmniej jeszcze niedawno. Ojciec siedział przy stole i pochylony coś czytał. Jednak jego chude palce nie wykonywały żadnego ruchu, zastygły w okolicy głowy, jakby się zastanawiały, czy już mogą zacząć drapać. Coś jeszcze było nie tak. Na stole nie leżała książka ani gazeta, tylko świstek papieru – niepozorny, szary i samotny. Janka wyczuła, że to przez niego obraz kuchni odbiega od normalności. Zmarszczyła brwi i przekroczyła wysoki próg, chcąc sprawdzić, co to za wiadomość. Zdążyła tylko wykonać drugi krok, bo zatrzymał ją dźwięk spadającego garnka i krzyk matki:

– Job twoju mat’! Panienko przenajświętsza! Co my teraz zrobimy?! – Złapała się za głowę i wołała wszystkich świętych, podnosząc coraz bardziej głos.

To, że matka krzyczała, trzymając się za głowę, nie było takie straszne. Nie raz, nie dwa wzywała wszystkich świętych, gdy coś

szło nie po jej myśli. Im ważniejszy święty został wywołany, tym ważniejszy był powód. Tymczasem to ojciec bardziej zaniepokoił Jankę. Dłonie opadły mu wzdłuż ciała, zgarbił się i wpatrywał z kamienną twarzą w papier. Miała wrażenie, że zamiast ojca, widzi dziadka tuż przed śmiercią. To porównanie zmroziło ją jeszcze bardziej i poczuła, że nie zrobi już ani kroku. Jakaś pętla zaciskała się wokół jej szyi i nie pozwalała oddychać. Janka czuła to już kilka razy, kiedy sprawy, których jedynie się domyślała, zaburzały porządek w rodzinie.

Korzystając z przerwy w krzykach matki, Janka wydusiła w końcu:

– Co się stało, tatka?

W odpowiedzi usłyszała podniesiony głos matki:

– Co się stało? No powiedz jej, Stachu! – zwróciła się do męża z pretensją i żalem. – To się stało!

Sięgnęła po świstek papieru i machnęła nim w stronę córki. Kartka wyslizgnęła się z ręki, powoli opadła i wszyscy ze strachem wpatrywali się w nią leżącą na podłodze.

– Kazań nam się stąd wynosić! Łot co! – wyrzuciła z siebie.
– Za trzy dni mamy stąd odejść! Wypędzają nas... na zatracenie!
– Ostatnie zdanie wypowiedziała łamiącym się głosem, po czym zdarła chustkę z głowy i przycisnęła ją do twarzy.

Ojciec podniósł się nagle od stołu, jakby zbudzony ze snu. Ale zamiast podejść do matki, wyszedł bez słowa w mroźną noc.

Kiedy nikt od niej nic nie chciał, czuła coś na kształt szczęścia. Przepęniała ją, kiedy opierała się o ciepły piec i brała do ręki książkę. Dotyk i zapach papieru wzbudzały lekkie podniecenie i czuła przyjemny ucisk w dołku. Wystarczyło jedno zdanie i przenosiła się w inny świat. Lepszy i ciekawszy od rzeczywistego.

Nie wiedziała, jak poradzić sobie w obecnej sytuacji, i jedynym logicznym wyjściem było... wyjście z niej. Na palcach

wymknęła się do swojej izby i prędko sięgnęła po leżącą na stole książkę. Dopiero po chwili zorientowała się, że to Mickiewicz, i z niechęcią odłożyła poemat. W głowie odtwarzała scenę sprzed chwili, ale nic z niej nie rozumiała. Normalnie nie zaprzętałyby sobie tym głowy i uciekła w świat fikcji. Ale tym razem było inaczej. Dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że skubie zapamiętałe skórki przy paznokciach, że pociągnęła za mocno i leje się krew. Włożyła palec do ust, a drugą ręką sięgnęła po jedną z książek stojących na komodzie.

Anna Karenina. Lepsze obce tragedie, niż te z własnego podwórka, pomyślała i z lubością przesunęła palcami po pozółkłych kartkach.

„Wszystkie szczęśliwe rodziny podobne są do siebie, każda zaś nieszczęśliwa jest nieszczęśliwą po swojemu” – przeczytała pierwsze zdanie.

No, ich rodzina nie należała do tych szczęśliwych. Dało się to wyczuć na kilometr, gdy matka przeklinała. To, że zdjęła przy nich chustkę z głowy, było podwójnie niepokojące. Jadwiga nigdy nie wychodziła z małżeńskiej izby bez porządnie zawiązanej chustki, czyli z zasłoniętym czołem i wiązaniem z tyłu. Nigdy żaden kosmyk nie miał prawa się wymknąć. Przywiązywała ogromną wagę do schludnego stroju, szczególnie do czystego i wykrochmalonego fartucha. Gdy zdarła z głowy chustkę, Janka zobaczyła w niej po raz pierwszy kobietę, a nie swoją matkę. A to nie było miłe uczucie. Wywoływało nieprzyjemne skurcze w żołądku i niepokój.

„Wszystkie szczęśliwe rodziny podobne są do siebie, każda zaś nieszczęśliwa jest nieszczęśliwą po swojemu” – powtórzyła pierwsze zdanie.

Co znaczy, że ich wypędzają? Kto? Dlaczego? Na jak długo? Dokąd? Za dużo pytań jak na jeden wieczór. I nie ma kogo zapytać. Ojciec uciekł, jak zawsze w takich momentach, kiedy matka wpadała w złość. Jednakże zawsze robił to dyskretnie, aby jeszcze bardziej jej nie zdenerwować. Teraz po prostu wstał i wyszedł! A ona nie zareagowała! Janka znów poczuła nieprzyjemny skurcz.

„Skup się!” – strofowała się. „Wszystkie szczęśliwe rodziny podobne są do siebie, każda zaś nieszczęśliwa jest nieszczęśliwą po swojemu”.

Ale co znaczy, że ich wypędzają? Wypędzić to można krowę na pole. Czy tam tak napisali na tej okropnej kartce? Pożałowała, że jej nie wzięła do ręki i nie przeczytała. Może wiedziałyby więcej. Zaczęła nasłuchiwać, ale w domu panowała cisza. Bała się wyjść z pokoju, więc mocniej przywarła do pieca i znów wróciła do czytanego zdania.

„Wszystkie szczęśliwe rodziny podobne są do siebie...”.

Do pokoju wpadła matka i zawiesiła na córce szkliste spojrzenie. Była blada, a spod chustki wystawały jej pasma siwych włosów. „Nie jest dobrze” – zdążyła pomyśleć.

– Bożeż ty mój, a ty co?! Siedzi dama i czeka na co?

– Ale... co mam robić, mamuś?

Matka uniosła ręce w górę, po czym opuściła je gwałtownie na biodra.

– Co, co? Zapytaj ojca, co. Ja nie wiem, jak my się z tym... – Reszta słów uwięzła jej w gardle. Jadwiga wyciągnęła z fartucha zwitek papieru i wręczyła córce.

– Musisz iść.

– Teraz?

– Tak, ubieraj się.

– Ale mamo, to nic nie...

– Marsz bez gadania! Wiesz, co masz robić.

Jadwiga pchnęła córkę w stronę wyjścia i przeżegnała się. „Bóg tu nic nie pomoże” – pomyślała Janka, zakładając ciężki kożuch. „Tak jak mi nie pomógł”.

Gdy Janka wychodziła w mroźną noc, jej ojciec, Stanisław Pawłowski zdążył już wrócić i siedział teraz zgarbiony nad stołem

w kuchni. W zasadzie nie było w tym nic nadzwyczajnego, oprócz faktu, że stół był pusty. Ani gazety, ani książki czy choćby zeszytów z wypracowaniami uczniów. Jadwiga krzątała się jak zawsze. Przeszawiła garnki tak, żeby było to słychać w całym domu, przecierała stół szmatką w bliskich okolicach rąk męża i zerknęła na niego, wyczekując jakiejś reakcji. Dopiero gdy po tych zabiegach nic się nie zadziało, postanowiła odezwać się pierwsza:

– Wysłałam Jankę z wiadomością.

Spojrzał na nią mętnym wzrokiem i unióśł brwi.

– Wiadomością?

– Do lasu – dodała, wykonując ukradkiem znak krzyża.

– A tak, tak. Dobrze, słusznie uczyniłaś.

Znów zapanowała cisza.

Jadwiga spodziewała się jakiegoś komentarza, niekoniecznie utwierdzenia jej w słuszności podjętej decyzji, bo przecież sama dobrze wiedziała, że postąpiła właściwie. Tak jak w wypadku większości decyzji, które podejmowano w tym domu. A w zasadzie: które ona podejmowała. Teraz jednak sprawa była poważna, musieli to wspólnie omówić.

Po raz kolejny Jadwiga sięgnęła po czystą szmatkę i przetrła lśniący blat, zgarniając niewidoczne okruszki. Odwróciła się, podeszła do pieca i wrzuciła szczapę.

– Myślisz, że zdąży?

– Kto?

– Na miłość boską, Stachu, opamiętaj się! Piłsudski na kasztancel!

Stanisław drgnął, słysząc ironiczny ton żony i skupił wzrok na jej zarumienionej twarzy. Kiedyś lubił jej rumieńce.

– Nie wiem, Jadziu. – Rozłożył ramiona, czym jeszcze bardziej ją zirytował. – Dali nam trzy dni... – Głos mu się załamał i Stanisław nerwowo odkaszlnął. – Nawet nie wiemy, czy w tym

czasie ktoś zjawi się w... tam, gdzie trzeba. A poza tym...

– Co?

Potarł zmęczone oczy.

– To tak się nie da – wybąkał pod nosem, wiedząc, że będzie musiał to argumentować i udowadniać, a nie miał do tego głowy.

– Co nie da? O co ci chodzi?! Mówił, że jak będą jakieś ważne wiadomości, to tylko tam i że na pewno trafią do niego.

– No tak, ale nie wiemy, jak daleko są od Ejszyszek i kiedy dostanie wiadomość. Chodziło mi o to, że to, że ją dostanie, nie znaczy, że go puszcza.

– Jak to? – Jadwiga groźnie spojrzała na męża, jakby szykowała się na potyczkę. – Co znaczy: nie puszcza?

– Mimo wszystko to jest wojsko...

– Nie mają prawa! Siedzi tam już prawie dwa lata! W brudzie, głodzie i zimnie. Dwa lata w strasznych warunkach, bez najbliższych, ciągle w zagrożeniu! Już dość się nacierpiał, dość się nasłużył! Pora wracać.

Stanisław wstał i niezgrabnie dotknął ramienia żony, ale go odtrąciła.

– I nie mów mi teraz o poświęceniu dla ojczyzny. Już wystarczy, niech inni się teraz poświęcą. Skoro nas stąd wypędzają, to wszystkich. Nie ma powodu, żeby tu zostawał, bo kogo ma bronić? Ruskich? Przed nimi samymi?

– Jadziu, jesteś niesprawiedliwa. Tu nadal mieszkają Polacy...

– Jeszcze, ale już niedługo. Zobacysz, to dopiero początek. Pozbędą się wszystkich. Co do jednego. Myślisz, że tylko do nas przyszedł posłaniec? Dlaczego my? Co takiego zrobiliśmy, że nam każą się wynieść? Ciekawam, do ilu jeszcze chałup zapukali. Ilu pożegna się ze swoim domem... na zawsze. – Ostatnie słowa

wypowiedziała, łkając. Odwróciła się plecami do męża i znów się przeżegnała. – Chcę tylko, żeby oddali mi wreszcie syna.

Gdy po kilku godzinach zmarznięta Janka wróciła ze zleczonej eskapady, zastała ojca siedzącego w kącie kuchni przy pięknym malowanym kufrze. Zdjęła przemoczone rękawice i zaczęła chuchać w czerwone dłonie.

– Coś ty tam robiła? Bałwana lepiłaś? – zagadnął ojciec.

– Nikt cię nie widział? – wtrąciła się matka.

– Nikt.

– A dobrze schowałaś?

– Tak.

– Na pewno? We właściwym miejscu?

– Mamo, nie jestem głupia. Wiem, gdzie jest skrytka! – Z irytacją odwróciła się od matki i zajrzała ojcu przez ramię. W drżących dłoniach trzymał czarno-białą fotografię ślubną.

– Dawne czasy. Ile mieliście wtedy lat? – zapytała, siadając obok niego.

– Byliśmy młodzi, kończyłem studia na Uniwersytecie Wileńskim. Wiesz, że absolwentami byli też Mickiewicz, Słowacki i...

– I Lelewel. Tak, wiem, bo ciągle to powtarzasz.

Stanisław uśmiechnął się smutno i poklepał córkę po kolanach.

Obok leżały inne zdjęcia, które znała bardzo dobrze. Dziadek Jan w mundurze legionisty z charakterystycznym wysokim kołnierzem i okrągłą maciejówką.

– Widzisz tego srebrnego orła bez korony? Trzyma w szponach tarczę amazonek z literą „S”.

– Wiem, tatka. Mówiłeś to Jankowi tyle razy, że nawet ja to zapamiętałam.

– Tak, Janka bardzo ciekawiły te wojskowe historie. Chłonał je z zapartym tchem i ciągle musiałem mu opowiadać o przygodach dziadka Jana.

– I nic dobrego z tego nie wyszło. Nic, tylko się bił, tłukł z dziećmi i wywijał szabelką. Zabawy w wojenkę mu się zachciało. Do roboty miał dwie lewe ręce, to do lasu uciekł.

– Córús... – Ojciec spojrział na nią z wyrzutem. – Co ty mówisz. Bój się Boga. On za ojczyznę walczy...

– Niech tatka mnie tu ojczyznę i wielkimi słowami nie mami. A tak w ogóle to nie mówmy o nim. Co tu masz? – zmieniła temat i sięgnęła po kolejne fotografie. – Dziadek i babcia, a na kolanach ty i ciotka Zofia. A tu ty z mamą przed naszą chałupą.

Wyglądali na zdjęciu na szczęśliwych. Przyjechali do Ejszyszek dwadzieścia lat temu, kiedy dzieci nie było jeszcze na świecie. Wyjechali z rodzinnego Wilna za pracą, bo w tutejszej szkole był wakat na stanowisku polonisty, a Stanisław właśnie skończył studia filologiczne. Trafiła mu się ta posada jak ślepiej kurze ziarno, szczególnie że wioska była w większości zamieszkała przez ludność polską. Były to bowiem tereny dawnej Rzeczypospolitej, niedaleko Wilna, tuż przy granicy z Białorusią.

Oglądali w ciszy kolejne fotografie, ale Janka czekała na to, aż w końcu ktoś jej powie, co się dzieje. Nie doczekała się.

– Mama powiedziała, że mamy się pakować. Ale co pakować? Kiedy wrócimy?

Cisza. Mężczyzna rozejrzał się po izbie, po czym sięgnął po jakąś kartkę. Janka od razu rozpoznała groźną wiadomość. Poczowała chłód i chciała jak najszybciej gdzieś uciec, schować się.

Ojciec zaczął czytać:

– Zezwala się na zabranie maksymalnie dwóch ton następujących rzeczy: odzieży, obuwia, żywności, drobnych sprzętów

domowych, inwentarza gospodarczego, zwierząt hodowlanych...

– Zwierząt? A po co nam targać ze sobą kury i krowę? Juchniewiczze nam nie mogą popilnować, póki nie wrócimy? A tak w ogóle to dokąd jedziemy? Daleko? Na długo? Juchniewiczowa przecież siedzi w chałupie, to może też trzodę nakarmić.

– Na zawsze.

Janka zatrzymała wzrok na ustach ojca, nie rozumiejąc, co powiedział. Dwa słowa zawisły w powietrzu. Co to znaczy na zawsze?! W jej umyśle te słowa nic nie znaczyły, wskazywały na obszary dla niej niepojęte. Nie potrafiła objąć ich żadną miarą, więc... nie mogły istnieć. A jednak wisiały. Jak topór nad szyją skazańca.

Wyczuwając jej stan, ojciec spojrział córce w oczy i ujął jej dłonie w swoje. Mówił jak do małego dziecka, cicho i powoli:

– Córcia, dają nam trzy dni na opuszczenie naszego domu. Musimy spakować tylko najpotrzebniejsze rzeczy i stąd wyjechać. Na zawsze, to znaczy, że nigdy tu nie wrócimy.

– Ale... kto tak mówi?

– Ruskie – usłyszeli za plecami ostry głos matki.

Ojciec zamknął na moment oczy, czekając, aż to słowo wybrzmi.

– A co z naszym domem?

– Wprowadzi się tu ktoś inny.

– A my? Gdzie my się wprowadzimy?

– Do innego domu.

– A gdzie? Daleko?

Stanisław spojrział przez ramię córki w dal, jakby umiał patrzeć przez ścianę. Jego oczy zasły mgłą.

– Do Polski.

Janka spojrzała na niego jak na wariata.

– Tatka, przecież tu jest Polska!

Ojciec uścisnął mocniej jej dłonie i nie odezwał się.

Następnego ranka w domu Pawłowskich nastąpiła apokalipsa, bo zjawiły się sąsiadki zza płotu: stara Juchniewiczowa z synową. Przyszły pomóc w pakowaniu i gotowaniu, czas gonił. Juchniewiczze mieli wziąć krowę Pawłowskich i oba koty, a wszystkie kury miały iść pod nóż, poza jedną nioską. W kuchni zaczęły unosić się zapachy pieczonych placków drożdżowych, chleba i mięsa. Kobiety zajęły się także pakowaniem pościeli, obrusów, firan, pamiętek, świętych obrazków i innych drobiazgów, których w domu potrzeba, a bez których matka nie wyobrażała sobie życia. Najważniejsza była maszyna do szycia. Stanisław długo się wahał, czy ją zabrać, ale Jadwiga nie odpuszczała, bo to był jej warsztat pracy. Co zrobi bez niej tam, dokąd pojedą? Dzięki niej będą mogli liczyć na jakiś zarobek. Skąd wiadomo, że Stanisław dostanie pracę nauczyciela w szkole? Wóz drabiniasty sąsiadów, którym mieli dotrzeć do Wilna, coraz bardziej się zappełniał, a było jeszcze tyle rzeczy do zabrania.

– Bożeż ty mój, na zatracenie nas wypędzają! – zawodziła ciągle Jadwiga, przerzucając stosy odzieży. Nie umiała opanować drżenia rąk i wszystko, za co się brała, zaraz porzucała. Zawsze obrotna i opanowana, trzymająca porządek w całym gospodarstwie, teraz wyglądała jak zagubiona dziewczynka.

Od przybycia posłańca ciągle myślała o synu. Nie wyobrażała sobie, aby wyjechali bez niego. Mimo że nie mieszkał z nimi już od prawie dwóch lat i w tym czasie widziała go tylko dwa razy, wiedziała, że jest gdzieś niedaleko. Czuła jego obecność i co wieczór modliła się do Boga o opiekę nad nim. Wierzyła, że za jakiś czas wróci bezpiecznie i znów będą wszyscy razem. A teraz? Gdy będzie chciał wrócić do domu, a tam zostanie obcych ludzi? Straci z nim kontakt, może się nigdy nie zobaczą? A jak coś mu się stanie, będzie potrzebował pomocy?

– Bożeż ty mój, sam zostanie jak palec. Nie będzie miał dokąd

pójść. A ja nawet nie będę wiedziała, czy żyje, czy ma co jeść, czy ktoś krzywdy mu nie robi... Bożeż ty mój, co za świat, co za czasy! Niech tych Ruskich piekło pochłonie! Na zatracenie nas wszystkich, na zatracenie...

W drugiej izbie zabarykadowali się ojciec z córką. Janka jak zawsze grzała się przy piecu, ale tym razem nie czytała. Szyła worek z płótna jutowego, który miał jej posłużyć do zabrania książek. W razie czego chciała mieć możliwość noszenia ich na plecach, dlatego przymocowywała do worka sznurki, które miała założyć na ramiona. Taka prowizorka, ale tylko tak miała szansę ocalić książki. Ojciec siedział pochylony nad rodzinnym kufrem, przeglądając papiery, dokumenty i zdjęcia.

Jadwiga coraz bardziej irytowała się na męża, bo całe pakowanie było na jej głowie.

– Janka siedzi nad bzdurami, coś szyje, zamiast zająć się pieczeniem. A potem jeść będą wszyscy chcieli! Skaranie boskie! Książkami się nie naje. Gdyby Janek tu był... On by wszystkim się zajął, pomógł, a tak to na sąsiadów liczyć muszę – mówiła do siebie Jadwiga.

– Tatka, ale czy oni tak mogą?

– Kto? I co?

– No te Ruskie. Mogą nam kazać się wyprowadzić?

– Już to zrobili, więc pewnie mogą.

– Ale na jakiej podstawie?!

– Wojny, córuś, wojny.

– Ale to nasz dom. Nie jesteśmy w stanie w tak krótkim czasie wszystkiego spakować i wyjechać.

– Ale oni nie chcą, żebyśmy coś zabierali. Zostanie dla następnych.

– Jakich następnych?

Ojciec wzruszył ramionami i zapatrzył się w okno.

– Ludzie gadają, że sprowadzają ludzi z odległych terenów ze wschodu, żeby rosyjską krew tu zaszczepić i pozbyć się Polaków. Mówią, że granice będą zmieniać, ale na jakie? Nie wiem. Wszystko na głowie stanęło. Raz u siebie jesteśmy, raz u Niemców, raz u Rosjan. Pomieszanie z poplątaniem, zdecydować się nie mogą, wrywają sobie te ziemie pazurami, a my tylko cierpimy. Ludzie nie wiedzą, gdzie się obudzą następnego dnia. Co za czasy... – Wstał z westchnieniem i wyjrzał przez okno. – Danka chyba tu idzie. Ale coś zdecydować się nie może. Jakby tu jaka zarazą była. – Pomachał dziewczynie przez szybę i wyszedł z izby.

Po chwili w drzwiach pojawiła się jedyna koleżanka Janki. Faktycznie dziwnie się zachowywała, przez próg przestępowała z wahaniem, a czapki i kożucha nie ściągnęła. Janka automatycznie poprawiła włosy i spojrzała na Dankę z ukosa.

– Słyszałaś już?

Dziewczyna skinęła lekko głową i stała na progu.

– Nie stój tak, to nie stypa. Nikt tu nie umarł. Jeszcze – dodała i parsknęła śmiechem.

Danka zaczęła uważniej się jej przyglądać, zapominając, że dziewczyna tego nie lubi. Gdy Janka po raz kolejny zarzuciła kosmyk włosów, oderwała od niej zaniepokojone spojrzenie i zaczęła rozglądać się po pokoju.

– Jak się czujesz? – zagadnęła, ściągając tylko czapkę. Nie zapowiadało się na długie odwiedziny.

– A jak mogę się czuć? Jestem wściekła. Rodzice nic prawie nie mówią, tylko że nas wypędzają. Ale nic poza tym nie wiem. To niemożliwe, żeby nas tak przepędzili z naszego domu. Nie chce mi się w to wierzyć. Myślę, że przesadzają. Pewnie wrócimy niedługo. Przecież trwa wojna, ciągle coś zmieniają! Ostatnio kowal mówił, że wojna się kończy. Ja mu wierzę. Straszą nas tylko tymi głupimi karteczkami.

– Podobno oprócz was dostały je też inne rodziny. Mówią,

że ponad dwadzieścia domów ogołocą. Nawet proboszcza Sopolka wyganiają!

– Jak to? To kto msze będzie odprawiać?

– Mama mówi, że przyjdzie pop i będziemy się odwrotnie żegnać. Od prawej.

– Co ty gadasz! Sprowadzą pewnie kogoś z innej parafii. Mówię ci, że jak teraz tego nie odwołają, to na pewno za jakiś czas tu wrócimy. Przecież kazali nam zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, a meble i sprzęty zostawić. Więc wrócimy. Najgorsze jest to, że nie mogę zabrać wszystkich moich książek. – Wskazała ze zboląłą miną na leżące wszędzie powieści. – Zostawię część z nich i mam nadzieję, że nikt ich nie ukradnie.

Danka była jedną z niewielu osób łączących Jankę z resztą mieszkańców wioski. Jako jedyna miała wstęp do jej izby, kiedy obie mogły pozwolić sobie na zabawę lub rozmowę. Janka nigdy nie uczęszczała do szkoły, bo ojciec mógł uczyć swoją córkę w domu. Z czułością próbował chronić ją przed światem, dopóki była taka możliwość. Czy wyrosła na dziką? Janka nie miała takiego wrażenia, ale przecież była nieobiektywna.

Reszta wioski była innego zdania, aczkolwiek szybko dano dziewczynce spokój i nikt się nią nie przejmował. Była przecież nieszkodliwa. Jedynie Danka lubiła spędzać z nią czas, ale i to z czasem się zmieniło, bo w wieku siedemnastu lat dziewczyny interesuje coś zupełnie innego.

Teraz spoglądała na rówieśniczkę z litością i obawą, widziała bowiem, że Janka chyba nie do końca zdaje sobie sprawę, w jakiej znalazła się sytuacji. Danka nie miała jednak serca, aby ją w tym uświadamiać.

– Pójdę już, nie chcę przeszkadzać, bo macie pewnie mnóstwo roboty. – Sięgnęła po czapkę.

– No ja z pewnością. Wiesz, jakie to trudne, wybrać tylko kilka książek? Nie wiem, jak ja to zrobię. Na samą myśl o Ruskich aż mi się pięści zaciskają.

Kilka minut później stała półprzytomnie na środku izby i zagryzała nerwowo wargi. Każda książka miała dla niej wartość. Janka wodziła wzrokiem po okładkach i grzbietach, nie mogąc pogodzić się z tym, co zakomunikowała jej matka. Nie dadzą rady zapakować całego dobytku na jeden wóz, i dlatego muszą zabrać ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy. A książki... niestety nie były rzeczami pierwszej potrzeby. Poza tym było ich sporo, część leżała jeszcze pod łóżkiem. Z początku była mowa o tym, że wszystkie zostaną, ale po krzykach Janki i przy wstawiennictwie ojca ustalono, że może wziąć ze sobą tyle, ile udźwignie. Stąd jej pomysł na uszycie worka.

Janka po kolei wyciągała zniszczone, zaczytane woluminy i odkładała na dwie kupki. Jedna była przeznaczona dla tych książek, które miały dostąpić przywileju wyruszenia w podróż w nieznane, druga, smutniejsza, skupiała wybrańców, którzy mieli pozostać dla kolejnych mieszkańców. Do worka finalnie trafiły: Anna Karenina, Dama Kameliowa, Pani Bovary, Trędowata, Duma i uprzedzenie oraz Wichrowe wzgórza. Ze względu na ojca wcisnęła jeszcze Pana Tadeusza i niepozorne Ballady i romanse, bardzo zaczytane, z Biblioteczki Narodowej. Więcej się nie zmieściło.

Zima 1945 roku była wyjątkowo mroźna. Stanisław pamiętał wiele trudnych zim, ale odnosił wrażenie, jakby tym razem matka natura osiągnęła swój punkt krytyczny. Powietrze zamarało w płucach, zmuszając do nagłego kaszlu, wełniane rękawiczki nie ogrzewały palców, a skraplająca się para zamarała na brodach i wąsach.

Śnieg zalegający na podwórku chrząścił, gdy Stanisław ze zwieszoną głową obchodził dom. W chwilach trudnych lub dla wypoczynku chował się za węglem, gdzie nie był widoczny z drogi, i siadał na drewnianej ławeczce przytulonej do ściany. Tu miał widok na mały ogród i pola ciągnące się aż do ciemnego lasu.

Wolniej niż zwykle odbył swój spacer, jakby delektował się każdym krokiem. Tak to mogło wyglądać dla postronnego

obserwatora, ale prawda była taka, że każdy krok wywoływał wspomnienia, a te z kolei ściskający za gardło smutek. Stanisław chodził już po świecie tyle lat, dlatego miał świadomość, że to jego ostatnie kroki w tym miejscu.

W jego sytuacji większość mężczyzn uciekłaby za dom, żeby wychylić coś mocniejszego albo zapalić dla poprawy nastroju. Stanisław również sięgnął pod kożuch, ale jego artefakty różniły się od standardowych. W zgrabiałych dłoniach trzymał kieszonkowy notes w skórzanej oprawie i krótki, starannie naostrzony ołówek. Czasami wyciągał też książkę, ale to zdarzało się rzadziej. Naczytał się już w swoim życiu, przekazał bakcyła córce, teraz zaś czuł potrzebę pisania. Przez przypadek odkrył, że słowa układają się w wersy, a wersy w wiersze. Naiwnie myślał, że nikt nie wie o jego nowej pasji, ale Jadwiga nie mogłaby się nazwać dobrą żoną i gospodynią, gdyby nie wiedziała o notesie. Co prawda ani trochę nie była tu odbiorcą, ani tym bardziej wsparciem. Po kilku przeczytanych fragmentach uznała po prostu, że jest to nieszkodliwa pasja męża, i zostawiła go w spokoju. Mogła trafić gorzej, większość mężczyzn piła, awanturowała się i uprzykrzała życie rodzinie. Wiersze Stanisława nikogo nie krzywdziły.

Oczywiście mógłby w tym czasie zająć się czymś bardziej pożytecznym: narąbać drzewa na opał, nakarmić krowę czy kury, naprawić dach lub płot. Jeszcze przed kilku laty miała do niego o to pretensje, ale odkąd Janek przejął po ojcu większość męskich obowiązków, przestała się czepiać. Szczególnie że wiedziała, z kim się wiąże. Stachu nigdy nie zapowiadał się na dobrego gospodarza, skończył przecież studia polonistyczne i uczył w szkole. Nauczycielska pensja zadowalała żonę. Nawet gdy przeprowadzili się do Ejszyszek i zamieszkali w małym drewnianym domu, nie zaprzęтали sobie głów gospodarką. Jadwiga miała fach w ręku i szyła dla całej wioski oraz okolicznych miejscowości. Mieli tylko krowę, która dawała im mleko, i kury na jajka i mięso. Były też dwa koty i pies, kundel o imieniu Tadek, nazwany tak na cześć Kościuszki, ale zniknął razem z Jankiem.

Wojna pogorszyła stan życia Pawłowskich. Zamknięto szkołę i od tego czasu nauka, głównie języka ojczystego, przenio-

sła się do ich domu. Stanisław uczył córkę i kilkoro dzieciaków z sąsiedztwa, za co dostawał liche wynagrodzenie, najczęściej w formie konkretnej pomocy lub żywności. Wszystko się bardzo zmieniło, kiedy Janek poszedł do lasu.

Stanisław wpatrywał się niemo w puste kartki notatnika, aż zauważył, że pojawiają się na nich krople wody. Wiadomym było, że nic tu nie napisze. Pociągnął nosem i wyszedł na drogę. Przy płocie stał wóz drabiniasty sąsiadów, wypełniony już najważniejszym majątkiem. Z tej perspektywy Stanisław mógł spojrzeć na swój dom, który według władzy radzieckiej nie był jego. Jedna mała rzecz, świstek papieru, zmieniła całe ich życie.

W wiosce mieli wszystko, czego było potrzeba: rodaków mieszkających tu od pokoleń, swój kościół, szkołę i dom. Nieduży, bo z dwiema osobnymi izbami i kuchnią, ale piękny, drewniany, kryty strzechą, z niebieskimi okiennicami. Co roku czekali na pierwsze oznaki wiosny i wspólnie bielili wapnem ściany. To był symbol odrodzenia i rozpoczęcia nowego życia. Napawał otuchą i dobrym nastrojem, po ciemnych i mrocznych dniach zimowych.

– Stachu! – usłyszał za plecami i przetarł oczy. Juchniewicz stał przy płocie i obserwował sąsiada. – Trzeba będzie jechać jutro z samego rana.

– Wiem. Będziemy gotowi. Dziękuję ci za pomoc. Gdyby nie twoja rodzina, nie wiem, jak byśmy sobie poradzili z tym pakowaniem.

– No co ty! Przecież jesteśmy sąsiadami, Staszek. Do dziś pamiętam dzień, w którym tu przyjechaliście! – Zaśmiał się. – Pamiętam twoją minę, cha, cha! Jadzia ledwo się powstrzymywała przed przekleństwami!

– No tak. Nie spodziewaliśmy się takiej chatynki. Ale koniec końców odnowiliśmy, co się dało i jakoś poszło. Ale gdyby nie ludzie... – Głos mu się załamał.

– Wszędzie są ludzie, Stachu. Nie tylko tutaj.

- Ale czy tacy życzliwi?
- Tam będziecie wśród swoich.
- Tu też jesteśmy.

Juchniewicz nie wiedział, co odpowiedzieć. Bo już nie było co.

Dzień wyjazdu z Ejszyszek przywitał Pawłowskich słońcem i błękitnym niebem. Śnieg iskrzył się tak, że aż oczy łzawiły. Mróz nie odpuszczał, z kominów buchały obłoki dymu. Janka przedłużała błogie wylegiwanie pod ciepłą pierzyną, nie wiedząc, że przyjdzie jej długo poczekać na noc w wygodnym łóżku. Traktowała ich wyjazd raczej jak wakacyjną wyprawę, podróż w nieznanne miejsce, o którym nic nie wiedziała, więc niczego sobie nie wyobrażała. Ale też się nie zamartwiała. W przeciwieństwie do rodziców, którzy nie zmrúżyli oka ostatniej nocy, płacząc po cichu w poduszkę tak, aby drugie się nie zorientowało. Czuli podskórnie, że już tu nie wrócą. Mimo że sąsiedzi zapowiadali ich szybki powrót.

Jedyne, czym Janka się teraz przejmowała, to jak zasłonić to, co trzeba zasłonić, żeby ludzie się nie gapili. No i oczywiście worek z książkami! Leżał przygotowany przy jej łóżku i czekał na wielką wyprawę. Resztę tomów Janka poukładała równo na komodzie i pod ścianą, aby nowi mieszkańcy mogli łatwo skorzystać z jej biblioteczki. Była pewna, że zachwyci ich zebrana przez nią kolekcja i ucieszą się z takiego prezentu.

Za radą matki włożyła na siebie jak najwięcej warstw, na cebulkę. Stanęła przed lustrem i układała włosy. Grzywka mocno na czoło i dużo kosmyków po bokach, aby twarz była ledwo widoczna. Miała naszykowaną futrzaną czapkę uszatkę. Nie lubiła jej, ale wiedziała, że to najlepsze wyjście. W sumie zima to cudowna pora roku, bo dzięki takim czapkom, kożuchom i rękawicom Janka mogła zakryć to, czego tak się wstydziła.

Śniadanie minęło Pawłowskim w ciszy. Nikt nic nie mówił, każdy smętnie spoglądał w swój talerz. Janka po chwili

została sama przy stole, bo matka zaczęła się znów tłuc po kuchni, a ojciec wyszedł na podwórko. Co mogła więc robić, czekając na odjazd? Dyskretnie wyciągnęła z jutowego worka książkę i próbowała się skupić na literach. Nie widziała więc, jak Jadwiga gładzi porysowaną powierzchnię kredensu po swojej babce, który dostała w posagu. Każda rysa była świadkiem jakiegoś zdarzenia, pęknięta szybka witraża ofiarą drewnianego mieczyka, którym wywijał mały Janek, zdarta, popękana farba dowodem na wiekowość mebla. Otwierała kolejno każdą szufladkę i szafkę, sprawdzając po raz nie wiadomo który, czy na pewno musi zostawić sztucce. Według świstka papieru to były kosztowności, więc nie mogła ich zabrać.

Czy tam, gdzie jadą, będzie taki kredens? Czy będą jakieś inne meble? Czy trafią im się dobrzy sąsiedzi? Czy w ogóle będą mieć dach nad głową? Czy ktoś o nich zadba, wskaże nowe miejsce, nowy dom? Boże przenajświętszy, miej nas w swojej opiece!

Jadwiga uchyliła drzwiczki pieca, aby ten wygasał, i wsparła się całym ciężarem ciała na ciepłej płycie. Mokra od łez oczy skierowała w stronę pustego gwoźdźca, gdzie jeszcze przed chwilą był Chrystus na krzyżu. Teraz spoczywał w kufrze, ale ona dalej wznosiła do niego modlitwy: „Jezu Chryste, miej w opiece mojego synka. Niech szczęśliwie przeczyta wiadomość i pojedzie za nami. Nie daj mi się rozłączyć z nim na wieki, bo tego nie przeżyję. Wyprowadź go szczęśliwie z tego lasu i daj nam się znów połączyć”.

Do izby wszedł stary Juchniewicz, wcześniej w sieni otrzepał buty ze śniegu. Zdjął futrzaną czapę i się przeżegnał.

– Sąsiadko, wszystko już załadowane, pora jechać.

Janka prędko schowała książkę do worka i spojrzała na matkę. Cisza aż dudniła w uszach i gdy Jadwiga się odezwała, pozostali aż się wzdrygnęli.

– Idźcie już, zaraz do was dołączę.

Sąsiad z Janką wyszli na mróz, gdzie czekał ojciec i wóz drabiniasty zapakowany po brzegi. Po chwili zza wozu wyszedł

sowiecki żołnierz z karabinem przewieszonym przez ramię i papierosem w brudnych palcach. Co chwila spoglądał do środka, z zainteresowaniem oglądając pakunki, lustrując worki, pudła i skrzynie.

– Wiele tego dobra wywozicie, he? – Zatrzymał wzrok na drewnianej skrzynce, w której siedziała kura, i zaciągnął się papierosem.

– Tylko tyle, ile było napisane, panie oficerze – odparł cicho ojciec, trzymając w ręku świstek papieru, sprawcę całego zamieszania. Był gotowy na obronę każdej rzeczy na wozie. Zza domu wyłonił się kolejny ruski żołnierz, wołając:

– Tę krowę rekwirujemy, skoro jej nie bierzecie.

Sąsiad Juchniewicz pokręcił tylko głową, ale się nie odezwał. Wdrapał się na wóz i zwrócił do Stanisława:

– Pora jechać, żeby na wieczór zdążyć. Nie wiadomo, jaka droga nas czeka, śniegu wiele...

Janka stanęła zdezorientowana. Do tej pory nie zastanawiała się, w jaki sposób odbędzie się ich podróż do Wilna. Patrząc na zawalony wóz, tym bardziej nie wiedziała. Ojciec wy czuł jej wahanie, bo podszedł do córki, wziął worek z książkami i wrzucił na furmankę.

– Wsiadaj, córcia, tam ci przygotowałem miejsce między pierzyną a workami z mąką. Będzie ci wygodnie i ciepło.

Pomógł jej wdrapać się na górę i czekał, dopóki się nie usadowiła. Miejsce okazało się idealne, bo miękko było, ciepło i w zasadzie Janki nie było widać zza tych wszystkich klamotów.

Tymczasem z domu wyszła matka, okutana w kozuch i swoją najlepszą chustkę. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, drugi żołnierz podszedł do nich, wyciągnął z kieszeni gwóźdź i kawałek kartki, po czym znalezionym przy nodze kamieniem wbił je z hukiem w futrynę. Jadwiga Pawłowska nie odwróciła się, tylko trzymając głowę wysoko, wyszła przez furtkę, sama wdrapała się na wóz i usiadła sztywno na jednej ze skrzyń.

– A z papierów wynika, że wy syna jeszcze macie. – Żołnierz oparł się o wóz tuż przy Jadwidze i spojrzał zaczepnie spod przymrużonych powiek.

– Wyjechał do Krakowa na studia – odparła cicho, patrząc prosto przed siebie.

– Da? Na studia? To mądry musi być. A czemuż on nie poszedł się uczyć bliżej, choćby do Wilna?

Janka zamarła, wstrzymując oddech. Widziała, jak dłonie matki zaciskają się na kożuchu i czekała na kolejne kłamstwo, które wyjdzie z jej ust.

– Syn nie chciał studiować tam, gdzie jego ojciec. Tak z przekory.

Żołnierz zaniósł się chrapliwym śmiechem i splunął na śnieg.

Janka czuła, że ten śmiech był wymuszony i na pokaz. Ale żołdat nic więcej nie mógł zrobić. Klepnął koński zad i poprawił karabin na ramieniu.

Wóz ruszył. Wokół panowała cisza, tylko koła skrzypiały na ubitym śniegu. Janka siedziała tyłem do woźnicy, więc widziała wszystko, co zostawiali.

W myślach robiła przegląd książek, które zabrała ze sobą, ciągle bijąc się z myślami, czy dokonała słusznego wyboru. Powtarzała sobie, że te, które zostały w izbie, przyniosą radość komuś innemu. Dom powoli znikał jej z oczu. Dom, w którym mieszkała przez całe swoje siedemnastoletnie życie i nic poza nim nie знаła. Widziała wieżyczkę kościoła, w którym została ochrzczona i do którego coraz rzadziej uczęszczała, szczególnie przez ostatnich kilka lat, kiedy zupełnie przestała się modlić. Rodzice brali to na karb wojny i niebezpiecznych czasów okupacyjnych, szczególnie gdy zniknął jej brat. Faktycznie, mieli rację, że chodziło o Janka. Zresztą zawsze o niego chodziło.

Janka spojrzała ukradkiem na niemą twarz matki. Czekła na niego i się nie doczeka.

Jadwiga siedziała prosto, wpatrzona w jeden punkt. Nie pomachała Juchniewiczowej, która stała przy swoim płocie z dłonią przyciśniętą do ust, nie widziała innych sąsiadów, którzy nagle wylegli przed swoje domy, w ciszy obserwując moment, który za chwilę stanie się bolesną, prywatną historią. Nie widziała innych wozów, które stały na drodze jak kondukt żałobny. Wzrok miała skierowany w stronę ciemnej linii drzew, które otaczały wioskę. Słońce odbijające się od śniegu nie było miłośnierne i oślepiało. Jadwiga jednak nie dawała za wygraną i chociaż z oczu płynęły jej łzy, wytrwale spoglądała na czarny las.

Następnego popołudnia Juchniewiczowa stała przy oknie, wyglądając męża. Nie zostali wygnani, ale to wcale nie znaczyło, że jeszcze nie zostaną. Może to kwestia czasu. Na razie najważniejsze, żeby chłop do domu wrócił cały i zdrowy. Na dźwięk wozu znów przylgnęła do szyby, czekając, czy zatrzyma się przy płocie. Słońce powoli chowało się za linią lasu i za chwilę nic już nie będzie widziała, pozostanie tylko nasłuchiwać.

Wóz zatrzymał się przed domem Pawłowskich i natychmiast zeskoczyło z niego kilkoro ludzi. Opatuleni w futrzane czapy i kożuchy zaczęli coś do siebie pokrzykiwać i Juchniewiczowa już wiedziała, że to obcy. Tak szybko? Dopiero palenisko w domu wystygło. Czyli to, co ludzie gadali, to prawda. Będą tu siłą sprowadzać swoich, żeby nas stąd usunąć. Odruchowo skurczyła się w sobie i zza firanki obserwowała przybyszy.

Nie umiała rozpoznać, która z postaci to mężczyzna, a która kobieta. Część ścigała jakieś worki z wozu, a reszta poszła oglądać dom i podwórko. Co chwila dało się słyszeć pokrzykiwania i śmiechy. Jakaś postać wybiegła z izby, tłukąc sztućcami o garnek. Nie minęło pół godziny, a całe podwórko zapełniło się tobołkami przybyszów. Nie zanosili ich do domu, tylko wynosili z niego co chwila różne sprzęty, a to krzesła, to znów garnki, potem wytargali nawet sienniki. Na środku zaczęli tworzyć coś na kształt piramidy z zapasów drewna, jakie Pawłowscy zostawili za chałupą. Jedna z postaci wyszła z jakimś przedmiotem w dłoni i pochylała się chwilę nad stosem, po czym Juchniewiczowa

zobaczyła ogień zajmujący szybko książkę, która wylądowała na stercie. Robią sobie ognisko przed domem! Po chwili wyszła kolejna postać, niosąc naręcze książek znalezionych w izbie, skrętnie ułożonych przez właścicielkę. Ze śmiechem na ustach wrzuciła je na stos, który szybko zajął się ogniem.

Ktoś zaczął śpiewać, ktoś klaskać, nad ogniem szybko pojawiła się świeżo złowiona zwierzyna, a w blaszanych kubkach zachlupotał samogon. Nowi sąsiedzi wprowadzali nowe porządki.

Aleksandra Żuberek-Śmierzyńska:

Jest 1945 rok. Dwie bohaterki zostają wypędzone ze swoich rodzinnych domów.

Janka Pawłowska spod Wilna musi wyjechać z rodzicami na Ziemię Odzyskane. Żyje w świecie książek i marzeń, w kulcie brata partyzanta walczącego za ojczyznę. Nie rozumie sytuacji, w której się znalazła. W wyjeździe upatruje możliwość zemsty na bracie, który w dzieciństwie doprowadził podczas zabawy do jej trwałego oszpecenia – sprawia, że syn traci kontakt z rodzicami. Podróż za frontem Armii Czerwonej, przeprawa przez zamarznięte jeziora, groźba gwałtu, śmierć matki – te wydarzenia weryfikują jej spojrzenie na życie, dom i rodzinę. Wcześniej była obojętna i nieczuła, jednak wojenne przeżycia sprawiają, że staje się walczącą o byt kobietą.

Inga Schmidt zostaje natomiast wypędzona wraz z ojcem z rodzinnego Oppeln. Trafiają do obozu w Łambinowicach (Lamsdorf), gdzie ojciec ginie, a jej udaje się uciec. Podróż samotnej Niemki w stronę zachodniej granicy nie może się skończyć dobrze. Radzieccy żołnierze, Polacy nienawidzący Niemców, a także samotność doprowadzają ją do skrajnego wyczerpania bliskiego śmierci, totalnego poniżenia i utraty zaufania do ludzi. Opowieść będącej już u kresu życia Ingi

biegnie wstecz, dzięki wspomnieniom powracającym do staruszki. Czytelnik poznaje jej losy od współczesności do momentu, w którym Inga dowiaduje się, że musi opuścić rodzinne miasto. Finałem historii jest spotkanie obu bohaterek w tytułowym punkcie „0”, w domu Ingi – dziewczyna musi go opuścić, aby Janka mogła w nim zamieszkać.



D | emeryci

(dwa fragmenty)

Tak naprawdę pułkownik nie miał nic do roboty przed południem. Rzecz jasna mógł pójść do Judy i przypomnieć się jej z tym całym strzyżeniem, ale po rozmowie z właścicielem był nazbyt wzburzony, a może i nawet nieco zbyt podekscytowany, by móc usiedzieć spokojnie pół godziny.

Nie do końca chciał się do tego przed sobą przyznać, ale ucieszyła go wieść, że będzie miał towarzystwo. Szczerze mówiąc, zaczął się już trochę nudzić. I na nic się zdawało przypominanie sobie owych gorących miesięcy w Libii, które szczęśliwie miał już za sobą. Wiedział, że wzięwszy to pod uwagę, powinien być naprawdę wdzięczny za każdą chwilę nudy, jaką dobry los mu zsyłał, ale skoro pojawiła się nadzieja na jakąś rozrywkę, to mógł przecież być tym bardziej wdzięczny i za to!

Pułkownik szedł i tak rozmyślał nad tym wszystkim i ani się spozstrzegł, gdy znalazł się w skrzydle, w którym dotąd nigdy jeszcze nie był.

Rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem po korytarzu. Było w nim coś niezwykłego, choć nie umiał wytłumaczyć sobie dokładnie, co to takiego. Południowe słońce mocno rozświetlało całą przestrzeń, odbijając nieokiełznanie blask po białych ścianach korytarza.

Pułkownik zmrużył oczy i podszedł do najbliższych drzwi. Znajdowała się na nich tabliczka, ale wcześniej w całym tym blasku nie potrafił dostrzec, co było na niej napisane. Teraz, osłoniwszy dłonią oczy, wreszcie zobaczył... Na tabliczce znajdowało się jedno słowo: „Ceașescu”.

– Ha!

„A więc i ty tutaj byłeś, stary przyjacielu...?” – zdumiał się w myślach pułkownik, przypominając sobie jak przez mgłę tego zadziernego człowieka.

„Postać z zupełnie innego świata” – pomyślał pułkownik. Wiedział jednak, że nigdy nie zapomni owego grudniowego poranka sprzed dwudziestu lat, kiedy po raz ostatni oglądał swego „starego przyjaciela” w telewizji.

Pułkownik zaśmiewał się wtedy do łez z tego nieporadnego „Halo!” odbijającego się echem po ulicach szemrzącego Bukaresztu, którym zdumiony Nicolae próbował przywrócić spokój wśród zebranego przed komitetem tłumu.

Kiedy kilka dni później gensek wraz z żoną zostali naprędce rozstrzelani, pułkownik poczuł ogromne wyrzuty sumienia z powodu tego śmiechu. Teraz zaś, przypominając sobie, że na nagraniu rzeczywiście nie widać momentu trafienia małżonków kulami, i patrząc na tabliczkę z ich nazwiskiem, wiedział już, że całe to rozstrzelanie było najprawdopodobniej jeszcze większą farsą niż jego ujęcie w Syrcie. Parsknął tylko z pogardą i nacisnął klamkę.

Pokój był jednak zamknięty. Pułkownik wzruszył ramionami i przeszedł wzdłuż korytarza, przeglądając pozostałe tabliczki.

Wtem przy drzwiach na końcu korytarza zauważył wózek obładowany szmatami i środkami czystości i pomyślał, że może jest szansa, że sprzątaczką zagapiła się i zapomniała je zamknąć. Podskoczył na jednej nodze, nacisnął klamkę i nawet nie patrząc na tabliczkę z nazwiskiem wparował do środka z pełnym impetem, rechocząc z zadowolenia.

To, co zastał w środku, zdusiło jego rechot...

Krwistoczerwona flaga z białym kołem pośrodku i przecinającymi je czarnymi ramionami zajmowała honorowe miejsce na ścianie. Biurko – w zupełnym nieładzie – zawałone było książkami i stosami papierów poprzciskanych wykonanymi z brązu i pomalowanymi na czarno popiersiami z nieśmiertelnym wąsikiem...

Pokój nie był mały, ale stopień jego zagracenia sprawiał, że można było się tam poczuć naprawdę klaustrofobicznie. Wszystko było pięknie odkurzone i wewnątrz aż tchnęło świeżością, trudno było jednak postawić stopę, by nie natrafić na luźną kartkę papieru czy akwarelę walającą się na dywanie. Zdawało się, że nikt tutaj nic nie zmieniał, odkąd mieszkaniiec pokoju wyszedł z niego po raz ostatni.

Pułkownik z namaszczaniem przełknął ślinę. Niby wiedział, że gdzieś tu musi być t e n pokój niegdyś należący do t e g o człowieka, ale i tak dał się temu wszystkiemu zaskoczyć.

Ostrożnie, stąpając tak, by nie przydepnąć żadnej kartki, pułkownik podszedł do półki z książkami. Przesuwał palcami grzbiety poukładanych tam woluminów i choć niemieckie tytuły w znacznej większości niewiele mu mówiły, to były i takie, które zdawały się być uniwersalne w każdym języku: *Der Mythos des 20. Jahrhunderts, Vom Kaiserhof zur Reichskanzlei, Hitler: Eine Studie über Tyrannei, Aufstieg und Fall des Dritten Reiches, Kommandant in Auschwitz, Der internationale Jude* spod szyldu Henry'ego Forda, mnóstwo fantazyjnych wydań „Stürmera”, *Protokolle der Weisen von Zion*, pisma Chamberlaina i Gobineau...

Takich tytułów było najwięcej, co jakoś go nie zaskakiwało. Ale już przebogata kolekcja dzieł Karola Maya czy przepięknie ilustrowane *Die Prophezeiungen des Nostradamus* trochę zszokowały pułkownika.

Przejrzawszy biblioteczkę, pułkownik podszedł do biurka, delikatnie odsunął krzesło i z celebracją rozsiadł się na jego miękkim obiciu. Rozparł się wygodnie z rękami na blacie i przyglądał się w zamyśleniu fotografii Adolfa z jakimiś notablami, którą najwyraźniej zrobiono tuż po podbiciu Francji – nie sposób było nie rozpoznać wieży Eiffla, która za plecami pozujących śmiało rozcinała gęstniejącą nad miastem mgłę. „A może to nie była mgła, może to pył bitewny...?” – pomyślał pułkownik.

Nagle w pokoju rozległ się głos:

– Tylko niech się pan mnie znowu nie przestraszy, pułkowniku!

Oczywiście, jak można się było spodziewać, pułkownik mało ducha nie wyzionął.

– Judy!!!

Chichocząc pod nosem, Judy wkroczyła do pokoju i zręcznie omijając zastawione na podłodze pułapki, zbliżyła się do masującego sobie okolice serca pułkownika.

– Dlaczego nie przyszedł pan na strzyżenie? Czekałam na pana na dole...

– Ach... Tak... Przepraszam, zamyśliłem się, a potem znalazłem ten pokój i jakoś tak zupełnie straciłem poczucie czasu...

– Wyobrażam sobie...

Judy jak gdyby nigdy nic sięgnęła po jedno z czarnych popiersi zabezpieczających ciasno zadrukowane stronice przed przecięciem i zaczęła podrzucać je delikatnie w dłoni. Pułkownik obserwował ją z cielecym zachwytem. Kiedy tak stała, jedną ręką wsparta o biurko, ze zdawałoby się zupełnie niewymuszoną nonszalancją, jawiła się pułkownikowi niczym blondwłosa grecka bogini, a właściwie – co bardziej chyba odpowiadało nastrojowi chwili – blondwłosa nordycka bogini. Chociaż pułkownik nie miał najmniejszego pojęcia, jak taka bogini mogłaby wyglądać...

– Najczęściej przesiadywał tutaj.

– Słucham?

– Hitler. – Odłożyła popiersie i spojrzała pułkownikowi prosto w oczy. – Najczęściej siedział zamknięty w tym pokoju, nanosząc niekończące się poprawki do swojej wersji historii drugiej wojny.

Judy pchnęła w głąb biurka stos papierzysk, odsłaniając grube tomiszcze, z którego wystawały niezliczone zakładki, urywki z niemieckich gazet i skrawki papieru gęsto zapisane pochyłym pismem.

– Raczej nie do końca podobała mu się wersja Churchilla.

– No ja myślę... – sarknął pułkownik.

– Kiedy już schodził na dół, to podobno godzinami perorował o jakimś drobnym zdarzeniu, na które oczywiście nie mógł mieć wpływu, a które ostatecznie miało, jego zdaniem, kluczowe znaczenie dla zwycięstwa międzynarodowego żydostwa...

– Na przykład?

– Co? Och... Nie mam pojęcia. Powtarzam panu tylko to, co usłyszałam od moich dziadków.

Judy przeszła za biurko i zupełnie niepotrzebnie zaczęła poprawiać fałdki wiszącej na ścianie flagi.

– Moja babka powiadała, że traktował nas trochę jak Elbę, ciągle snując opowieści o swoich wiernych pretorianach, którzy niebawem na nowo przebudzą Niemcy, a wówczas on będzie mógł wreszcie powrócić na łono macierzy i wielkodusznie dokończyć dzieła.

– No cóż... Można tylko żałować, że nie wróciła już dla niego koniunktura.

Pułkownik z ledwością skupiał się na tym, co mówiła Judy, pragnął tylko sycić oczy widokiem tej nordyckiej bogini przechadzającej się lekko przed jego majestatem... pragnął, by jej łagodny głos nieustannie spływał ku niemu śpiewnym strumieniem... a właściwie to pragnął, by zamilkła i...

– Pułkowniku?

– Ekhm... Tak, Judy?

– Czy mogłabym pana prosić, by zachował pan tylko dla siebie to, o czym przed chwilą mówiłam? Ojciec chyba nie byłby zadowolony, gdyby dowiedział się, że panu opowiadałam o innych klientach. Nawet tych dawnych.

Pułkownik wstał i powoli podszedł do niej, blisko – tak blisko, że mógł poczuć jej delikatny dyskomfort, którego nie śmiała jednak okazać. Wiedział, że tak będzie. Podniósł dłoń i łagodnie dotknął jej policzka.

– Wszystko, o czym ze sobą mówimy, pozostaje wyłącznie między nami.

Przez chwilę trwali tak zapatrzeni w siebie, ale po chwili Judy spuściła wzrok, a pułkownik odjął swoją dłoń.

– Dziękuję, pułkowniku – rzekła z wypiekami na jasnych policzkach. – Może zechciałby pan teraz pójść ze mną? Mogłabym pana ostrzec.

Na twarzy pułkownika wykwitł szeroki uśmiech.

– Z radością, moja droga, z radością...

(...)

Po znacznie skróconej nocy pułkownik zbudził się bardzo późno. Słońce świeciło już dość wysoko nad pofalowanym krajobrazem wyspy rozpościerającym się z okien jego pokoju. Wstał szybko, odświeżył się i sfrunął po schodach, w obawie, by nie ominął go rytuał codziennych ploteczek przy śniadaniu. Szczególnie po tak obfitującej w wydarzenia nocy!

Był przekonany, że wszyscy już dawno wstali, gdyż pośród pensjonariuszy tylko on lubił spać jak suseł, zaś reszta wstawała wcześniej niezależnie od tego, jak długo w noc przeciągały się rozrywki czy rozmowy.

Zdziwił się zatem, kiedy w salonie zastał tylko Rada i Johnny'ego wyraźnie konspiracyjnych z głowami nachylonymi ku sobie i szyderczymi uśmieszkami przyklejonymi do twarzy.

– Gdzie Saddam? Nie zszedł jeszcze? – zapytał niewinnie pułkownik, zwyczajowo nalewając sobie mocnej porannej kawy.

Obaj konspiratorzy wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Oj, nie! I z tego, na czym zasiadł, długo nie zejdzie... – udało się jakoś wysapać Kimowi pomimo wstrząsających nim spazmów niekontrolowanego śmiechu.

– Choć marzyło mu się szybkie zejście! – wypalił natychmiast Radovan, na co obaj zanieśli się jeszcze bardziej szaleńczym śmiechem. Pułkownik, nawykły do takiego pensjonarskiego zachowania z ich strony, usiadł przy stoliku i spokojnie pił kawę, czekając cierpliwie, aż wyśmieją się do woli i w końcu łaskawie wytłumaczą mu, o co chodzi. Tak też się po chwili stało.

– Sad próbował znowu... – wydusił z siebie Radovan pomiędzy jednym a drugim chichotem.

– Co? Co próbował znowu? – W tym momencie pułkownik zebrał do kupy słowa swoich durnowatych kompanów i nagle zrozumiał, o mały włos upuściłby filiżankę z kawą. – Saddam próbował się zabić?!

Pułkownik spojrzał po nich z niesmakiem.

– I to was tak bawi? Jesteście chorzy!

– Czekaj, aż usłyszysz całość – odparł Radovan, wycierając łzy, bez cienia powagi należnej samobójczej próbie kolegi.

– No to słucham – rzekł kwaśno pułkownik.

– To był... to był mój pomysł. Już dawno, dawno. Jakies pół roku temu – zaczął opowieść Kim, kiedy już się nieco uspokoił. – Sad od dłuższego czasu uskarżał się, że fatalnie sypia, a jeśli już zaśnie, to zaraz się budzi i potem znowu nie może usnąć... I jak nam tak o tym na okrągło zrzedził i zrzedził, to w którymś momencie zaświtał mi w głowie pewien koncept – jak by można dopomóc biednemu koledze. No i jak już na to wpadłem, to następnego dnia z samego rana podskoczyłem do Judy na małe tête-à-tête i podzieliłem się z nią moim pomysłem; a że przypadł do gustu nie tylko jej, ale zyskał też przychylność Christopha, z miejsca przystąpiliśmy do działania.

Tu Kim dla efektu zrobił krótką pauzę i zatarł swoje drobne rączki, po czym podjął opowiadanie.

– Ponieważ było dla nas wszystkich zupełnie jasne, że jest wyłącznie kwestią czasu, kiedy ten głupek znowu spróbuje targnąć się na swoje życie, przeprowadziliśmy fortel, aby uniknąć przy-

krych konsekwencji, i w tym właśnie celu podesłaliśmy do niego naszą drogą panią doktor...

W tym momencie Kim zaczął falsetem naśladować śpiewny głos Judy, choć zdaniem pułkownika ani trochę się nie zbliżył do słodkiego świergotu jego sikoreczki.

– „Ma pan tu tabletki na sen, ale proszę zażywać je ostrożnie, bo są bardzo mocne! Niech pan zażywa tylko połówkę na godzinę przed snem. Są niezawodne, będzie pan po nich spał jak dziecko, mają tylko jedną wadę – efektem ubocznym jest zatwardzenie, więc póki będzie pan z nich korzystał, to proszę zjadać przed snem dużo suszonych śliwek na poprawę persytytaltydyki...” czy jak to się tam, psiakrew, nazywa. W każdym razie, sprzedała mu taką historię, a on kupił ją bez zastrzeżeń – podsumował opowieść Kim, po czym zrobił dłuższą pauzę, czekając na reakcję słuchacza.

– No i co? – zapytał w końcu zniecierpliwiony pułkownik.

– Ano to, że tabletki były tak naprawdę na rozwolnienie. – Kim wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Przy połowie tabletki i śliwkach miał stolec wymarzony w jego wieku, ale kiedy wpadasz na pomysł, żeby połknąć naraz pół pudełka, ooo, to wtedy... No cóż, w każdym razie Saddam – wbrew swoim planom – długo nam jeszcze nie zejdzie... ekhm... a przynajmniej nie z tronu...

Obaj z Radovanem znowu zaczęli chichotać, ale pułkownik prędko zgasił ich wesołość.

– A sen?

– Co takiego?

– No, sen. Poprawił mu się sen po tych tabletkach?

– Bo ja wiem... – zachnął się Johnny. – Chyba tak... Może... Jakiś efekt placebo, czy coś... Nie przypominam sobie, żeby dalej nam o tym jęczał.

Wzruszył ramionami i spojrzał na pułkownika zmarszczywszy czoło.

– Zresztą, co to ma do rzeczy? Nie skumałeś, o co tu chodzi?

– Skumałem aż za dobrze – skwitował gorzko pułkownik.

– To co ci się nie podoba? – przypuścił atak Kim, w jednej chwili zrzuciwszy z siebie całą wcześniejszą wesołość. – Chyba można śmiało założyć, że właśnie uratowaliśmy mu życie.

– Tak. Niewątpliwie.

– No to, kurwa, doprawdy nie wiem, o co ci teraz chodzi z tą twoją skwaszoną miną.

Pułkownik zaczerpnął głęboko powietrza. W tej samej chwili przypomniał sobie jednak jedną z pierwszych rozmów z Radovanem. Przyjaciel przestrzegał go wtedy, że bezpośredniość, złośliwość, a czasem nawet bezwzględność okazywane Saddamowi przez Johnny’ego, o dziwo, powodują wyłącznie, że ten czuje się akceptowany, normalny, traktowany na równi z innymi i że nie warto zwracać najmniejszej uwagi na takie zachowania.

Po dłuższym czasie spędzonym z towarzyszami, obserwując łączące ich więzi, pułkownik nie był w stanie odmówić Radovanowi racji co do relacji Johnny’ego i Saddama. W związku z tym głębokie przekonanie pułkownika, że w tej chwili granica dobrego smaku została stanowczo pozostawiona daleko, daleko w tyle, nie oznaczało jeszcze, że dane mu jest prawo krytykowania z dawna ustalonych relacji między starymi pensjonariuszami. Tym bardziej że wyraźnie troszczący się o Sada Radovan zaśmiewał się na równi z tym złośliwym koreańskim karzelkiem.

Pułkownik wypuścił powietrze z płuc i rzekł ostatecznie:

– W sumie, to masz rację...

– Też tak myślę.

– Ale to pójdziemy go jakoś zobaczyć, sprawdzić, jak się miewa, czy co?

– No jasne! – włączył się Radovan. – Ale może dajmy mu jeszcze trochę czasu na dojście do siebie. Wątpię, by po tym, na co go teraz wystawiliśmy, był w stanie dostrzec nagle piękno życia... ale

kto wie? Może kiedy stanie się lekki jak piórko, to niespodziewanie zmieni zdanie

Obaj z Johnnym uśmiechnęli się jeszcze z lekka, ale był to już ledwie cień ich minionej wesołości. Natomiast pułkownik, dość nieoczekiwanie dla siebie samego, w jednej chwili stał się zupełnie nieobecny, ściągnął brwi i z nieodgadnionym wyrazem twarzy począł wyraźnie nad czymś się głowić. W słowach Radovana było coś, co go niespodzianie uderzyło, ale nie potrafił tego do końca uchwycić i nazwać. Podświadome wrażenie, przeczucie raczej, które nagle pojawiło się w jego duszy, nie dawało się łatwo porzucić, ani też jasno określić. Pułkownik potarł bezwiednie czoło.

– Jednego nie potrafię zrozumieć... – odezwał się w końcu po dłuższej chwili.

– Czego? – rzucił Kim z delikatną irytacją w głosie, wietrząc ze strony pułkownika kolejne pretensje pod swoim adresem. Nie miał się już jednak czego obawiać, bo pułkownik dobrze wyczuł, skąd płynęła szorstkość w jego głosie i z miejsca zlągodził ton rozmowy, pytając pojednawczo:

– Nie dziwi was, że ktoś najpierw rozpaczliwie wzywa pomocy, broniąc swojego życia z huraganową siłą, po to tylko, by następnie pod osłoną nocy, cichutko i przepraszająco targnąć się na nie własnoręcznie?

– Ty, ale przecież babka nie zrobiłaby mu tak naprawdę krzywdy, więc... – zdziwił się Kim.

– No tak – przerwał mu natychmiast pułkownik – ale on wtedy tego nie wiedział. Nie wiedział, że to była babka i był święcie przekonany, że ktoś chce go udusić. Sam pomyśl: jeśli planujesz się zabić, to czemu wzywać pomocy, kiedy ktoś pragnie cię tak uprzejmie wyręczyć?

– No już nie przesadzaj – zniecierpliwził się Radovan. – Chyba wolałbyś bezboleśnie nałykać się tabletek, niż dać się gwałtownie zadusić jakiejś podłej kreaturze w stanie kompletnego cierpienia i szoku?!

– Jak by mnie kto pytał, to jak już chcesz się zabić, miej jaja i odstrzel sobie łepetynę – wtrącił swoje trzy grosze Kim. – Dla żołnierza nie ma bardziej honorowego wyjścia.

– No i dobra. Zgadzam się – odparował Radovan. – Ale przecież ty tylko potwierdzasz to, co ja chciałem wyrazić: jak odchodzić, to na własnych warunkach – w taki sposób, jaki czujesz, że jest dla ciebie godnym i właściwym.

Pułkownik zasepił się na moment.

– Niby macie rację, chłopcy, ale mnie się tutaj nadal coś nie zgadza. W jednej chwili chwytasz się życia rękami i nogami, a chwilę później mówisz: nie, dziękuję? Coś to za prędkie, jak na mój gust...

– Hola, hola! – zakrzyknął Radovan. – Tylko to cię niepokoi?

– A ciebie nie?

Radovan pokręcił głową z pobłażliwym uśmiechem, po czym zaczął wyjaśniać.

– Jako psychiatrę? Absolutnie nie! Saddam cierpi najprawdopodobniej na jakąś dwubiegunówkę. Którą konkretnie? To mógłbym stwierdzić dopiero po przeprowadzeniu choćby podstawowego wywiadu, którego mi tak uparcie odmawia. Ale przecież sami musicie to widzieć. Johnny, ty to już na pewno: te jego napady manii, kiedy chce zbawiać cały świat, a potem zjazdy, kiedy zupełnie się nie odzywa. Może na początku to był tylko kryzys wiary w siebie, co nie byłoby niczym dziwnym, wzięwszy pod uwagę jego wybitnie megalomańską przeszłość, ale to już za długo trwa. I – doprawdy – to że chce nam nieustannie pokazywać jedynie swoje potulne, franciszkańskie oblicze, nie oznacza jeszcze, że w środku nie buzuje mu potwornie łatwopalna mieszanka złożona z ciągłego uzalania się nad sobą z jednej strony i jednoczesnego przeświadczenia o własnej wielkości z drugiej – obu występujących najczęściej w swoich skrajnych formach. Owszem, zręcznie maskowanych fasadą pozornego wyważenia i spokoju, ale wprawnego oka psychiatry tak łatwo nie oszukasz... W takim stanie psychiki gwałtowne zmiany nastroju nie są niczym dziwnym. Poza tym samobójcza próba to też jest forma

wołania o pomoc, więc jego zachowanie w obu sytuacjach jest dla mnie zupełnie spójne.

– Połowy z tego nie rozumiałem, Rado... Od oblicza Franczeski poczynając. Nie wiem, co tu może mieć do rzeczy jej oblicze – skwitował Kim. – Choć zdaje mi się, że chcesz nam powiedzieć po prostu, że Saddam ma nierówno pod sufitem. Oj, popatrz! Chyba udało mi się powiedzieć to samo... tylko jednym zdaniem!!! Może tak spróbujesz tego kiedyś?! – zakończył warkliwie.

– Przepraszam najmocniej... – Wszyscy trzej podskoczyli na widok Judy, która, jak to miała w zwyczaju, pojawiła się obok nich zupełnie niezauważona. – Nie chciałabym panom przeszkadzać, ale... – tu zwróciła się wprost do pułkownika – jest kilka kwestii odnośnie pańskiego zamówienia specjalnego, które musimy omówić. Jeśli mogłabym na chwilę poprosić pana na bok, pułkowniku.

– Oczywiście – odpowiedział, nie zwracając już najmniejszej uwagi na znaczące spojrzenia i uśmieшки, które wymienili Kim z Radovanem.

Pułkownik przeszedł z Judy na taras, a chłopacy ruszyli w stronę skórzanych kanap w głębi salonu.

– Jak by co... – z miejsca zaczął pułkownik, sądząc, że Judy miała na myśli śnieżnobiałego araba, którego fundacja miała dla niego sprowadzić w najbliższych dniach. – Jak by co, to może być innej maści, byle tylko pochodził z tej polskiej stadniny. Inne miejsca nie wchodzą w grę.

Judy zlekceważyła jednak tę uwagę.

– E, nie... Będzie biały, tak jak chciałeś. Ja nie o tym. Musiałam coś przy nich powiedzieć, ale chcę cię zapytać o coś zupełnie innego.

– O, no to słucham.

Judy, wyraźnie zakłopotana, potarła czoło wierzchem dłoni.

– Niezręcznie mi cię o to pytać, ale... czy wtedy, w pokoju Hitlera... czy ty brałaś coś stamtąd?

– Ależ skąd! Przecież wychodziliśmy razem – obruszył się pułkownik. – Nie pamiętasz?!

– Pamiętam, pamiętam. Nie unos się, proszę. Musiałam spytać.

– O co w ogóle chodzi? Coś zniknęło?

– Tak... To znaczy, ojciec tak twierdzi. Mówi, że zniknęły jakieś późne notatki Adolfa z lat pięćdziesiątych.

– No wiesz, tam jest taki bajzel, że może tylko się gdzieś zapodziały.

– Bajzel to tam jest tylko dla naszych oczu, ale ojciec potrafi z pamięci powiedzieć, gdzie w tym pokoju leżą płyty Wagnera, gdzie Straussa, a gdzie nagrania Hanfstaengla i że szpula z Süsem jest zamieniona opakowaniami z nagraniami z Norymbergi z trzydziestego czwartego... Jeśli on twierdzi, że coś zniknęło, to pewnie niestety tak jest... No nic, będziemy szukać.

Mrugnęła do niego przyjaźnie i już miała się odwrócić, kiedy pułkownik przytrzymał ją delikatnie spojrzeniem i szepnął, ukradkiem zerkając w stronę rozgadanych chłopaków:

– Spacererek? Wieczorkiem?

Judy surowo zmrużyła oczy, ale drgające kąciki ust zdradzały jej prawdziwe uczucia. Odpowiedziała cichutko: „Może” i w mgnieniu oka już jej nie było.

Pułkownik westchnął jeszcze tylko radośnie i wrócił z powrotem na ziemię, gdzie Radovan perorował o czymś do Kima za jego plecami, a podniecony był przy tym, jak uczeń z pierwszej klasy.

– ...i mówię mu wtedy, że nasi artylerzyści są słabo wyszkoleni i dlatego pudłują i grzmocą w budynki mieszkalne... że potrzebują więcej praktyki i że pracujemy nad tym...

Jak tylko to powiedział – podkreślając teatralnie swoje słowa – obaj z Kimem zatrzęśli się ze śmiechu.

– Co wy znowu wymyślacie, świry?

– Ach, wspominamy sobie trochę – odparł Kim rozparty wygodnie na ciężkiej skórzanej kanapie.

– A co takiego konkretnie? – zagaił pułkownik, siadając w fotelu.

– Radowanowe opowieści wojenne.

Pułkownik spojrzał na nich wymownie, zmuszając Radovana do opowiedzenia wszystkiego jeszcze raz.

– No bo pyta mnie jeden amerykański dziennikarzyna jakoś tak może w czwartym miesiącu oblężenia o serbskich snajperów w Sarajewie – zaczął chcąc nie chcąc Radovan. – No to ja mu mówię, święcie oburzony, że o czym on mówi?! Nie mamy żadnych snajperów na wzgórzach! Że tylko ci cholerni Turcy używają snajperów i ponieważ to robią, to my musimy ich likwidować za pomocą artylerii...

– Co proszę?! Z armatą na snajperów?! – parsknął pułkownik.

– Czekaj, to nie koniec. Więc mówię mu, że musimy walić do nich z armat, ale ponieważ w przeciwieństwie do przeklętych Turków my nie byliśmy gotowi na tę całą wojnę, to nie dziw, że nasi artylerzyści są słabo wyszkoleni i tak często pudłują, raz po raz trafiając w zły budynek... I że w związku z tym słabym wyszkoleniem potrzebują po prostu więcej praktyki, ale w końcu dojdą do wprawy...

– Nie wierzę... nie powiedziałeś tego... – zaśmiewał się pułkownik.

– Jak bum-cyk-cyk! Powiedziałem temu idiocie: cierpliwości, nasi chłopcy potrzebują tylko trochę praktyki, pracujemy nad tym...

– ...strzelając bez ustanku do miasta. – dokończył za niego Kim.

– I on to kupił? – spytał pułkownik, szczerząc zęby.

– Kupił! Właśnie mówiłem Johnny’emu, że głupota tych zachodnich pismaków jest niezmiernie duża!

Kim zachnął się z miejsca:

– A ty skąd niby jesteś, serdeńko, jeśli nie z Zachodu?

– O, wypraszam sobie! Bałkany są na południowym wschodzie...

– Od czego? – wpadł mu natychmiast w słowo pułkownik, śmiejąc się wraz z Kimem.

– Możesz sobie nienawidzić Amerykańców do woli, ale dla nas i tak zawsze będziesz częścią zgniłego Zachodu na równi z tą całą zgrają... – dopełnił jego sromoty Kim.

Ale, zanim Radovan zdążył nabrać powietrza, do salonu wtoczył się Saddam.

Wyglądał jak trzy ćwierci do śmierci. Jego wybiedzona, blada twarz była cała mokra od potu. Ledwo szedł, co krok podpierając się o meble stojące na drodze do zalanego słońcem tarasu.

– Coś schudłeś... Może byś coś zjadł? – zagadnął go wyraźnie nieporuszony jego kondycją Kim.

Saddam ani spojrział w ich stronę, tylko fuknął coś gniewnie pod nosem.

– Co on powiedział? – spytali jednocześnie Radovan i Johnny.

– Wyjątkowo barwne przekleństwo po arabsku...

Pułkownik odczekał moment dla większego efektu, po czym dokończył:

– ...sugerujące, żebyście obaj bliżej zaprzyjaźnili się z delikatnymi częściami kozy.

Tomasz Tarmas:

D|emeryci to pisana na poły groteskowym tonem historia rozgrywająca się w środowisku byłych dyktatorów dożywających swoich lat na swoistej „emeryturze” zapewnionej przez tajemniczą fundację. Ratuje ona dyktatorów, którzy znaleźli się w opałach, tuż przed ich upadkiem, i osadza na bezpiecznej wyspie na jednym z oceanów.

Akcja powieści zaczyna się w październiku 2011 roku w samym środku arabskiej wiosny, w momencie, w którym sobowtór Muammara Kaddafiego zostaje przedstawiony oryginałowi. Jest to ostatni moment na wyratowanie dyktatora z ogarniętej rebelią Libii. Podczas ekstrakcji dochodzi jednak do pomyłki. Oficer fundacji w zamieszaniu, jakie powstało na skutek niespodziewanego ataku sił rebelianckich, myli się i pociąga za sobą do helikoptera sobowtóra Kaddafiego zamiast jego samego. Prawdziwy Kaddafi zostaje w Libii i w ciągu kilku dni ginie w Syrcie.

Tymczasem sobowtór trafia na wyspę. Wie, że musi utrzymać swoją tożsamość w ścisłej tajemnicy, bo w przeciwnym razie zginie z rąk fundacji. Nie jest to jednak łatwe.

Na wyspie spotyka pozostałych „pensjonariuszy”: Saddama Husajna, Radovana Karadžicia oraz Kim

Dzong Ila, którzy zażywają życia wśród szaleńczych zabaw, jakie organizuje im fundacja. Poznaje też historię ośrodka; przez jego mury przewinęła się sporą grupą najsłynniejszych zbrodniarzy w dziejach, w tym Hitler i Stalin, którzy byli pierwszymi mieszkańcami wyspy.

Sobowtór wpada też w oko Judy, córce dyrektora fundacji, która jest jednocześnie lekarką zatrudnioną na wyspie. Nawiązawszy romans z sobowtórem, Judy nieustannie wypytuje go o szczegóły z życia Kaddafiego, on zaś pyta ją o kulisy działania fundacji. Od niej sobowtór dowiaduje się, że umowa, którą zawarł z fundacją w zamian za swoje życie (miał zginąć zamiast oryginału), została złamana. Jego rodzina, w tym chory synek, nie otrzymują obiecanych pieniędzy na życie i leczenie. Jego poświęcenie poszło na marne.

Postanawia, że za wszelką cenę musi wrócić do rodziny. Planuje ucieczkę. W tym czasie jednak Kim zostaje wywieziony na operację do podparyskiej kliniki. W nocy przed jego wylotem z wyspy sobowtór jest przypadkowym świadkiem podejrzanej sceny: kilku pracowników ośrodka zrzuca z nadbrzeżnego klifu podłużną stalową skrzynię. Rano pracownicy fundacji informują pensjonariuszy, że wylot Kima musiał nastąpić wcześniej, niż planowano, z uwagi na pogodę i nie mógł się on z nimi pożegnać.

Sobowtór dzieli się swoimi wątpliwościami z kolegami dyktatorami i wkrótce wspólnie rozpoczynają dyskretne śledztwo. Okazuje się, że życiu sobowtó-

ra może grozić niebezpieczeństwo nie tylko wobec wpadki i wydania się jego prawdziwej tożsamości, ale że jest zagrożony również jako Kaddafi. Losy śledztwa prowadzą bowiem do nieuniknionej konkluzji, że fundacja nie jest tym, za co się podaje, a domniemana śmierć Kima nie jest dziełem samotnie działających zabójców, jak początkowo podejrzewają sobowtór i jego koledzy.

Ostatecznie wychodzi na jaw, że prawdziwym celem fundacji jest przechwytywanie najgorszych zbrodniarzy na świecie, badanie ich w poszukiwaniu genu masowego zabójcy, przeprowadzanie eksperymentów medycznych, a następnie dokonywanie srogiej pomsty w imieniu tych, których bestialsko pozbawili życia za swej władzy. Czy sobowtór zdoła uratować siebie i pozostałych pensjonariuszy, z którymi w czasie śledztwa zdąży się zaprzyjaźnić?



Exit

Najpierw jest cisza, potem jest dźwięk.

Dźwięk wybucha w ciszy, rozrywa ją, wlecze jej strzępy na boki. Potem drugi, trzeci dobijają ciszę, kopią w nią ostrymi buciorami, walą wszystkim, co mają. Niewiele z niej zostaje. Marne resztki.

Ale cisza się nie poddaje. Gdy dźwięk na moment ustaje, żeby przeładować broń, kontratakuje, miazdzy go piorunującym ciosem, poprawia z drugiej ręki i pozbywa się ciała. Teraz to dźwięk jest w rozsypce.

Walka rozpoczyna się na nowo. Obie strony rzucają się na siebie z jeszcze dzikszą furią. Krótkie, ostre cięcia dźwięków – długie, ciężkie odpowiedzi ciszy. Każde chce wygrać, każde chce zdominować i upokorzyć rywala.

Straty są po obu stronach. Dźwięk jest coraz bardziej połamany, strzaskany, cisza – coraz bardziej dziurawa i poszatkowana. Nie wiadomo, jak długo wytrzymają. Żaden cios nie jest definitywny. Po każdej ciszy wybucha kolejny dźwięk, po każdym dźwięku rozlewa się kolejna cisza. To niemal zasada, nie ma od niej odstępstw.

Mam nadzieję, że nikt nie będzie ode mnie wymagał opowiedzenia się za którąś ze stron. Nie potrafię tego zrobić. Są zalety ciszy i są zalety dźwięku. Są też minusy.

Na wszelki wypadek zaczynam je ignorować. Wolę nie brać udziału w ich rozgrywce, jestem zdania, że lepiej zachować neutralność. Mniejsza szansa na dostanie rykoszetem. Większa na wyjście z tego cało.

Muszę skoncentrować się na czymś innym. Wtedy dostrzegam swój wzrok.

Nie wiem, czy był ze mną przez cały ten czas tylko poza moją uwagą, czy pojawił się dopiero teraz. Nieważne. Teraz liczy się tylko to, że widzę. Widzę, że widzę. Mam przed sobą biel. Jest duża, zajmuje cały widok i łśni. Najważniejsze jednak – panuje w niej spokój.

Żadnych walk ani konfliktów. Jednolita, monotonna przestrzeń – ocean lśniącej bieli. Nieruchomy, prawie martwy. Można się w nim utopić, ale nie można w nim zginąć.

Najpierw patrzę na biel jak na całość, potem przychodzi mi do głowy, że to zbyt proste. Jeśli naprawdę chce się coś zobaczyć, trzeba więcej dokładności. Postanawiam, że sprawdzę ją punkt po punkcie.

Zaczynam od góry i z boku – przesuwam ziarenko po ziarenku, maleńki element po maleńkim elemencie. Każdemu poświęcam chwilę uwagi – nie chcę, żeby poczuł się urażony i pominięty. Jeśli by się dowiedział, że poświęcono mu mniej czasu niż jego poprzednikom i sąsiadom, mógłby być smutny. Nie chcę, żeby był smutny. Dlatego zachowuję dokładność, powoli oglądam kolejne punkty bieli. Gdy zaliczam cały górny poziom, od jednego boku do drugiego, schodzę na niższy i znów jadę od lewej do prawej. Nie wiem, jak długo mi to zajmie, ale nie przejmuję się tym. Chcę zobaczyć wszystko, całą biel jasności, a do tego trzeba precyzji.

Nagle jednak – na długo przed końcem mojego zadania – coś dzieje się z bielą. Zmienia się, już nie jest czysta. Pojawiają się na niej dwie plamy. Są szare, ciemne i rozmyte. Jedna jest z lewej strony bieli, druga z prawej. Brudzą biel, niszczą ją. Nie rozumiem, czemu to robią i w jakim celu. Czy to moja wina? Czy patrzywanie na biel zużyło ją? Może biel nie jest nieograniczona i zbyt intensywne wpatrywanie się w nią wyczerpuje jej pokłady, a te plamy to brak bieli. Może trzeba było mniej patrzeć, nie starać się widzieć jej tak dokładnie i pod każdym kątem. Może wtedy by się nie skończyła.

Początkowo wytrąca mnie to z równowagi. Nie udało mi się wszystkiego zobaczyć z każdej możliwej strony, a ona już jest inna. Teraz trzeba zaczynać od początku. Co za pech, co za niesprawiedliwość. W tej chwili biel wydaje się czymś jeszcze

gorszym od walki ciszy i dźwięku. Czuję, że zdradziła mnie bardziej od nich. Skąd można było wiedzieć, że jest jej tak mało? Skąd można było wiedzieć, że należy patrzeć na nią oszczędnie?

Ale wtedy coś zaczyna się dziać z dwoma plamami. Nie są już nieruchome. Z początku drgają, jakby falowały – pojawia się nadzieja, że może znikną i jednak nie będzie trzeba zaczynać patrzenia od nowa. Plamy przesuwiają się, jedna do środka, druga tam, gdzie była wcześniej pierwsza. Nie rozumiem ich zachowania. Nie wiem o co im chodzi, ale zaciekawiły mnie. Śledzę ich ruchy, tak jak wcześniej biel. Początkowo mogę na nie patrzeć, nie poruszając oczami, bo albo stoją w miejscu, albo pozostają w granicach bieli. Kiedy ich ruchy stają się gwałtowniejsze i jedna z nich wychodzi poza biel, poruszam oczami za nią, żeby cały czas mieć ją na widoku.

Plamy zaczynają gęstnieć. Robią się ciemniejsze, jakby zostały doładowane dodatkowymi zapasami plamowatości. Już nie wyglądają na kończące się zapasy bieli, ani zabrudzenia na niej. Nie drgają i nie rozmywają się – są stałe. Zmieniły się w odrębne coś i to coś nie jest bielą, ani nie jest na bieli. Jest przed nią i mi ją zasłania. Odgradza mnie od niej, sprawia, że biel nie jest mi dana.

Kształty robią się większe. Teraz zajmują ponad połowę bieli i wcale nie zamierzają przestać rosnać. Zwłaszcza ten prawy, który zwiększa się przez cały czas i po chwili wypełnia połowę bieli. Drugi jest mniejszy i zajmuje tylko część pozostałej połowy. Równocześnie coś dziwnego dzieje się z ciszą. Jest jej mniej; są takie momenty, gdzie nie ma jej wcale. W jej miejsce pojawiają się dźwięki, ale są zupełnie inne od tego pierwszego, od którego wszystko się zaczęło. Tamten był krótki i ostry, te są dłuższe i bardziej łagodne. Rozlewają się, rozciągają w czasie, jakby były elastyczne. I jest ich więcej! Każdy jest inny, nie brzmią tak samo, nie powtarzają się. Jeden jest chrupki, drugi płynący, trzeci szeleści.

Nagle coś jasnego wybucha mi przed oczami. To coś jest jaśniejsze od wcześniejszej bieli i bardzo nieprzyjemne. Wcale mi się nie podoba. Nie da się na nią patrzeć, nie da się jej zażywać.

Ta biel jest zła. Nie lubię i boję się jej.

Jednak to nic w porównaniu do tego, co nastąpi za chwilę, gdy poczuję przeraźliwie silny ból. Ostre klucie przewiercające mnie na wylot. Gdzie? Nawet nie wiem. Jakby poniżej mnie, gdzieś w oddali, pod moim patrzeniem na biel i kształty. Po prawej stronie widzenia. Kłujące, wstrętne i obrzydliwe uczucie, które trwa i trwa. Nie chcę go, niech odejdzie!

Potem dzieje się coś niezrozumiałego. Najpierw kształty zasłaniają całą biel tak, że mam przed sobą tylko ciemność, która z nich pochodzi. Ciemność z jednego, który zasłania lewy bok dobrej bieli i ciemność z drugiego, który zasłania prawy. A potem nagle dźwięki stają się przeraźliwie głośne. Nie rozumiem ich i nie chcę rozumieć. Ciemne kształty drgają, falują, przemieszczają się, a dźwięki wydają się za nimi podążać. Zaczynam podejrzewać, że są jakoś z nimi związane. Wcześniej taka myśl wydawała się absurdem, teraz coraz więcej na to wskazuje. Czy jest możliwe, że te kształty pochodzą z dźwięków? Że dźwięki wywołały te kształty? Nie wiem tego. Może jest na odwrót, może to dźwięki pochodzą z kształtów. To wszystko to dla mnie za dużo, burzy mój spokój i moje kruche przyzwyczajenia. Gubię się w tym. Mam dość. Nie chcę już na to patrzeć, wolę odwrócić spojrzenie i być gdzie indziej.

Wśród wielu głośnych dźwięków, coraz dziwniejszych i bardziej nieprzyjemnych, wychwytyuję jeden, który się powtarza. Jest krótki i mocny. Brzmi, jakby o coś uderzał, albo na coś spadał. Co gorsza, wygląda, jakby ten dźwięk był związany ze mną, jakby odnosił się do mnie lub mnie określał. Nie rozumiem go, nie wiem, co oznacza, ale wiem, że kształty wciąż go powtarzają, nie mogą przestać, w pewnej chwili nie wypowiadają już nic innego. I że robią to do mnie – że robią to o mnie. Najpierw dwa razy lewy, a potem raz prawy i znów lewy.

Cud! – tak brzmi ich dźwięk.

Taksówka zjawia się pod szpitalną bramą o dwunastej trzy. Była zamówiona na dwunastą, więc muszę czekać na nią trzy minuty. Na zewnątrz pada, kryję się pod niewielkim dachem przed wejściem. Spoglądam na parking i staram się wypatrzyć białego

fiata o numerze bocznym 6672. Gdy się zjawia, otwieram parasol i schodzę ze schodów na podjazd, tam, gdzie na mnie czeka.

Kierowca mnie nie zna, więc mamy ze sobą wiele wspólnego.

Na nazwisko? – pyta.

Podaję mu nazwisko.

Szafa gra, odpowiada, zapraszam w skromne progi.

Mam ze sobą niewielką czarną torbę, w której schowano piżamę, niedojedzone pomarańcze, niedoczytaną gazetę i parę kosmetyków. Kładę ją po drugiej stronie fotela, za kierowcą. Ja siadam za przednim fotelem pasażera.

Quo vadis, Domine? – pyta kierowca, po czym zaczyna się śmiać, jakby to, co powiedział, było żartem.

Być może było. Wyjmuję z kieszeni telefon, na którym mam zapisany adres.

Poproszę tutaj – pokazuję telefon.

Kierowca mruży oczy, zsuwa z czoła okulary.

A, orientuje się, to będzie tam w tym, prawda? No dobra.

Mimo że – jak twierdzi – zna to miejsce, wpisuje adres do jakiegoś szarego mechanizmu, żeby „nie zgubić się wśród małych, zdradliwych uliczek”. Tak mówi.

Auto rusza.

Deszcz uderza rytmicznie o dach samochodu. Zamykam oczy i staram się w niego wsłuchać. Przyjemny dźwięk. Uspokajający. Uspokajam się.

Wizytka, czy pobyt własny, że tak powiem? – pyta kierowca.

Nie rozumiem o co mu chodzi. Wyjaśnia. Nie mam ochoty z nim rozmawiać, nie czuję potrzeby dzielenia się z nim czymkolwiek. Odkrywam istnienie kłamstwa.

Odwiedziny u znajomych, mówię i modlę się w duchu, żeby ich nie znał.

To było ich więcej, śmieje się.

Potem przeprasza, mówi, że nie powinien się śmiać, bo też miał raz taką sytuację, to było z wypadku... Nie słucham go. Co pewien czas uśmiecham się tylko, lub kiwam głową, żeby się nie zorientował. Taksówkarz nie wymaga ode mnie odpowiedzi na każde zdanie, które wypowiada, ani nawet każde pytanie, które zadaje. Zadowala go, że ktoś go słucha. Że ktoś udaje, że go słucha.

Patrzę przez okno na rozpoczynające się miasto. Moje miasto. Coraz wyższe bloki stojące coraz bliżej siebie. Interesują mnie w równym stopniu co natrętne wynurzenia taksówkarza. Idealnie się uzupełniają. Słowa, których nie słucham i obrazy, na które nie patrzę. Świat, który mnie nie interesuje.

Nadal mam problem z ludźmi. Nie umiem z nimi rozmawiać. Boję się ich. Nie wiem, czego ode mnie chcą. Wciąż zapominam, co mówił psycholog.

Nikt od ciebie niczego nie wymaga, nie musisz nic robić.

Początkowo samo rozróżnianie osób było problemem. Przez długi czas nie docierało do mnie, co to jest osoba. Wszystko mi się mieszało. Dlaczego osoba-pielęgniarka ciągle zmienia wygląd – to pytanie nieustannie kotłowało się w mojej głowie. Raz jest wyższa, raz niższa, czasami ma czarne włosy, a innym razem jasne i krótkie. Zdarza jej się być otyłą, starszą i siwą, lub młodą i uśmiechniętą. Dlaczego tak jest? Co to oznacza? Podobnie z osobą-lekarzem: też bywa zmienny, a do tego czasami nie jest nim, ale nią. Czy to oznacza, że za każdym razem wkłada inny wygląd, a ten stary pierze i suszy, żeby był świeży na drugi dzień?

Bardzo długo towarzyszyło mi poczucie bezgranicznej dziwności. Najprostsza rzecz wydawała się czymś nienormalnym i zadziwiającym. Nieustanna dezorientacja i niezrozumienie praw natury. Dziwiło mnie wszystko. Że to, na co patrzę, się zmienia albo że się nie zmienia. Że przedmioty leżą nieruchomo i nic nie robią. Od początku wydawało mi się to niezrozumiałe. Cemu płaska biała ściana, która jest przede mną, nie zmienia się w coś okrągłego i – na przykład – zielonego albo przezroczystego? Wiele godzin zajmowało mi patrzenie na nią i czekanie na

to. Nic jednak się nie działo. Było to dla mnie zupełnie niesamowite. Podobnie, czemu drugie łóżko w szpitalnej sali nie zaczyna latać, a potem tańczyć, a potem śpiewać jakąś piosenkę? Na przykład o tym, kto na nim leży i dlaczego. Mogłoby mi wiele wyjaśnić. Przez długi czas wydawało mi się, że to jakiś podstęp albo żart. Może moja wina. Przeszło mi przez myśl, że może trzeba zaklaskać w ręce, żeby pobudzić rzeczy do dziania się. Ale one się nie zmieniały – klaskanie nic nie dawało – pozostały takie, jakie były. Nie przesuwaly się, nie zginały, nie zaczynały ze sobą walczyć – szafka nie zjadała kapci, drzwi nie połykały ściany, a szyby z okna nie lizały swoimi szklanymi językami podłogi. Nic takiego się nie działo, a dla mnie było to nieskończenie absurdalne. Całkowicie nonsensowne.

Wyglądało to tak, jakby człowiek patrzył na świat oczami dziecka, które dopiero się urodziło i wszystko widzi po raz pierwszy w życiu. Odkrywa kolejne warstwy i zależności między nimi. Uczy się świata i jego zasad. Zapisuje w pamięci wrażenia i wynikające z nich wnioski.

Poniekąd rzeczywiście tak jest – poniekąd rzeczywiście jestem dzieckiem.

Auto staje po szesnastu i pół minutach.

Pod tą dziewięcioką podjechać, czy tu wystarczy?

Nie mam zielonego pojęcia o co mu chodzi, ale na wszelki wypadek mówię, że wystarczy. Wydaje mi się, że to najlepsza odpowiedź. Najbezpieczniejsza.

No to gra mówi kierowca, po czym podaje mi należność za kurs.

Sięgam do portfela, patrzę na banknoty i zastanawiam się, który będzie dobry. Czy dziesięć jest więcej niż dwadzieścia? Czy jeśli dodam kolejne dziesięć, to będzie więcej, czy mniej? Odkrywam, że muszę odkryć matematykę.

Jakiś problem? – pyta, patrzy na mnie podejrzliwie.

Wyciągam pierwszy banknot. Widzę po jego twarzy, że czeka na więcej, więc wyciągam drugi, a potem trzeci. Wtedy wreszcie zabiera rękę.

Szuka reszty. Kiedy znajduje, daje mi do ręki jakieś monety i życzy dobrego dnia. Nie wiem, co się odpowiada na takie życzenia, więc powtarzam jego słowa.

Wychodzę z auta i idę pod adres, który mam zapisany na telefonie. To mój dom. Miejsce, w którym mieszkam. Podobno. Wracam do niego. Pierwszy raz od wielu tygodni. Pierwszy raz od wtedy.

Sięgam do kieszeni płaszcza. Dwie godziny wcześniej, podczas pakowania się do wyjścia, włożono do niej moje klucze. Czy nadal tam są? Dwie godziny to bardzo dużo czasu, nie jest powiedziane, że jeśli coś jest w jednym miejscu o dziesiątej, będzie tam o dwunastej. Mogło się wydarzyć z nimi wiele różnych rzeczy.

Moje palce wyczuwają metal kluczy. Nie wiem, czy to oznacza, że podczas tych ostatnich dwóch godzin gdzieś zniknęły, a potem pojawiły się z powrotem – mogły tak zrobić wiele razy – czy jednak przez cały czas tu były? Już nigdy się tego nie dowiem.

Na breloczku są trzy klucze, a ja nie mam pojęcia, który pasuje do których drzwi. Może jest tak, że najpierw trzeba przekręcić jednym, potem drugim, a na końcu trzecim? Pierwszym trzy razy w lewo, drugim dwa razy w prawo, a trzecim znów w lewo, ale tylko raz. Przygotowuję się na długie starcie z drzwiami. Boję się, że to może trwać i trwać, na przykład tak długo jak trwał mój pobyt w szpitalu.

Na szczęście już pierwszy klucz, który wkładam do zamka i przekręcam go w tę stronę, po której nie czuć blokady, otwiera drzwi. Choć jeszcze chwilę wcześniej przeszło mi przez myśl, że to może podpucha i trzeba kręcić w tę stronę, po której jest opór, żeby go przełamać, zaś kręcenie w tę stronę, po której go nie ma to zwykła pułapka i można tak kręcić w nieskończoność, i nigdzie się nie dokręcić.

Wchodzę do domu. To mój dom. Wiem o tym. Poznaje klatkę schodową, poznaje cały korytarz, ściany, okna, to wszystko jest znajome. Wiem, że je znam, ale nie czuję ich. Wszystko wydaje się obojętne. Jakby ktoś owinął to folią braku emocji. Czuję, jakby kiedyś były dla mnie ważne, ale już nie są. Jakby coś wydarzyło się pomiędzy nami, co wszystko zmieniło. Coś, co nas oddzieliło.

Wchodzę do mieszkania. Idę do przedpokoju. Zdejmuję buty, zdejmuję płaszcz. Zastanawiam się, czy nie należy zdjąć czegoś jeszcze. Spodnie, koszula? Może bielizna? Na wieszaku, który stoi w ciemności, znajduje się miejsce na wszystkie z tych rzeczy – być może wszystkie powinny się tam znaleźć. Może do domu powinno się wchodzić nago, bo wtedy on jest twoim nakryciem, który cię chroni przed złą pogodą i sprawia, że nie jest ci zimno? A ubranie jest potrzebne tylko na zewnątrz, gdy go nie ma.

To kolejna z rzeczy, których nie wiem. Może za jakiś czas będę to wiedzieć. W szpitalu cały czas mi to powtarzali. Trzeba cierpliwości. Cierpliwość to podstawa. Podobne obrażenia wywołują konfuzję i amnezję – mówili. Brak pamięci i dezorientacja są zjawiskiem zupełnie normalnym. Nie ma powodu do niepokoju. Typowy objaw, który dotyka większości pacjentów. Byłoby dziwne, gdyby go nie było.

Co to jest dezorientacja? Co to jest objaw? Co to jest dziwne?!

Przyzwyczajenie do rzeczywistości i poczucie normalności. Poczucie zakorzenienia w świecie, bycia w czymś znajomym i zrozumiałym. Pamięć będzie wracała stopniowo. Nie wszystko na raz, ale etapami. Raz w większych, raz w mniejszych pakunkach. Czasami jakiś zapach, albo smak ciastka wywołają całą lawinę wspomnień, a czasami jedno zdanie, intonacja aktywuje jakieś synapsy w mózgu. Nie stanie się to od razu. Dlatego potrzebna jest cierpliwość. Zarówno dotycząca pamięci osobniczego życia, jak i całej rzeczywistości, obyczajów, wszystkiego. Wszystko się unormuje. Wróci. Będzie ponownie.

Co to jest będzie? Co to jest – jest?

Idę do pokoju.

Patrzę na różne przedmioty, które w nim są. Stół, krzesła, dwie szafy. Na podłodze obok fotela dostrzegam zacieki. Powoli schyliam się do ziemi, żeby przyjrzeć się mu bliżej. Nie mogę wykonywać gwałtownych ruchów – ostrzegano mnie przed nimi. Potem podczas wstawania także trzeba będzie o tym pamiętać. Kazali mi liczyć do pięciu tak, żeby jeden oznaczało początek, a pięć koniec ruchu. W ten sposób będę mieć pewność, że nie zrobię czegoś zbyt szybko.

Okazuje się, że to czerwona plama. Jest zaschnięta. Mieszkanie było podobno sprzątane, ale może ktoś ją przeoczył. Zresztą nie jest duża.

Podobno tutaj wszystko się odbyło. To znaczy zaczęło. Lub może skończyło. W tym miejscu, na tym fotelu, na tej podłodze. Powinna tu być jeszcze książka, ale najwidoczniej ktoś ją podniósł i odstawił na miejsce. Rozglądam się, czy gdzieś jej nie zobaczę, ale nie widzę. Trudno.

Czuję się dziwnie, patrząc na ten fotel i to miejsce. Czuję się dziwnie, stojąc tutaj. Mam wrażenie jakby coś, co zostało przerwane, należałoby teraz kontynuować. Ale co? I w jaki sposób? Czy mam coś zrobić? Czy mam coś powiedzieć, albo gdzieś iść? Nie mam pojęcia, co takiego mam zrobić, aby zacząć w miejscu, w którym skończyło się to, co było wtedy.

Nie chodzi o to, że nie pamiętam. Nie mam zaników pamięci, nie cierpię na amnezję. Może poza paroma elementami, o których musiano mnie poinformować. Pamiętam, jak się nazywam, pamiętam, ile mam lat oraz w jakim kraju żyję. Już chwilę po przebudzeniu wszystkie te fakty znajdowały się w mojej głowie. Pytali mnie o nie wiele razy.

Nazwisko? Odpowiedź. Data urodzenia? Odpowiedź.

Sprawdzali wszystko skrupulatnie i za każdym razem okazywało się, że mówię dobrze. Chodzi o apatię. Cierpię na zanik czucia i zrozumienia. Wiem kim jestem, ale tego nie czuję. Wiem, jak się nazywam, ale nie wiem, co to znaczy.

Pozostaję na zewnątrz. Coś oddziela mnie od wszystkiego.

Ruszam ręką po jednej stronie szyby, a ruch zostaje wykonany po drugiej. Ja jestem tu, moje ciało, tożsamość i życie są za szybą. Jedyne, co mogę, to kierować nimi, ale one odbywają się poza mną, nie we mnie. Nic nas nie łączy. Wszystko nas dzieli.

W szpitalu trzymali mnie trzy tygodnie. Jeszcze wczoraj wieczorem jeden z lekarzy zaprosił mnie do swojego gabinetu. Rozmawiał ze mną ponad dwadzieścia minut. Pokazywał jakieś wyniki, prześwietlenia, wydruki, tłumaczył, co działo się w moim mózgu, gdy działo się w nim coś niedobrego. Wyjaśniał wszystko tak szczegółowo, że wiem, że musiało to być dla niego bardzo ważne. Ale kiedy padło pytanie o przyczyny, zmienił temat.

Potem znów coś tłumaczył, poprosił do gabinetu jeszcze jednego lekarza, rozmowa zrobiła się bardziej nieformalna. Od pewnego momentu już mnie nie potrzebowali, mogli obejść się beze mnie. Zadowoleni, gratulujący sobie, patrzący na zdjęcia i wydruki wyników. Widać było na ich twarzach poczucie dumy.

Znów zaczęli mi coś wyjaśniać, tłumaczyć przebieg procesów i zmian. Na dobrą sprawę jednak sami w końcu przyznali, że nie wiedzą, co spowodowało to, co się stało. Ani dlaczego się zaczęło, ani dlaczego się skończyło.

Niezbadane są ścieżki zdrowia – powiedział lekarz, który przyszedł.

Ani choroby – dodał lekarz, który już tam był.

W moim telefonie dzwoni alarm. Mam ustawione alarmy kilka razy dziennie, mają mi przypominać o najważniejszych rzeczach: leki, jedzenie, spacer, ćwiczenia i inne. Nie pamiętam wszystkich, zobaczę, gdy zadzwonią. Ten przypomina o jedzeniu.

Idę do kuchni.

W lodówce mają na mnie czekać świeże zakupy. Jedna z osób, która twierdzi, że jest moją rodziną, zrobiła je dla mnie dziś rano i zostawiła tutaj. Podobno są gotowe, nie trzeba ich dodatkowo przyrządzać, wystarczy tylko podgrzać. Bardzo mnie to cieszy, nie mam pewności, czy inny obrót spraw by mnie nie przerósł. Boję się przyrządzania.

Po drodze mijam łazienkę i przypominam sobie, że przed jedzeniem trzeba umyć ręce. Idę więc do łazienki.

Włączam wodę w umywalce i pozwalam, aby spłynęła na moje dłonie. Następnie biorę mydło w kostce i przez chwilę namydlam nim ręce. To bardzo przyjemne uczucie – mydło jest śliskie i robi pianę. W połączeniu z ciepłą wodą z kranu daje jedno z moich ulubionych doznań. Potrafię myć ręce przez kilka minut, znacznie dłużej niż jest to potrzebne.

Wciąż jeszcze patrzę na świat tunelowo. Widzę tylko to, co mnie interesuje w danej chwili. Jeśli myję ręce, patrzę wyłącznie na umywalkę i na nic więcej. Gdy chcę gdzieś iść, patrzę wyłącznie w to miejsce i ani na sekundę nie odwracam od niego wzroku. Jakby ogarniał mnie lęk, że jeśli choć na moment spuszczę wzrok, to coś zniknie, a ja znajdę się w miejscu, którego nie znam, w którym nie mam żadnych punktów orientacyjnych.

Kończę. Woda spływa po moich dłoniach, spłukuje pianę. Zakręcam kurek i przez chwilę zastanawiam się, czy ręce wyciera się w ręcznik przed myciem, czy po? Zawsze zapominam. Wiem, że jedno jest powiązane z drugim tak samo jak picie i połykanie, jednak ciągle umyka mi, co wynika z czego. Czy najpierw się wyciera, a potem myje, czy odwrotnie?

Stawiam na to drugie. To logiczne. Wtedy ręce są suche. Z drugiej strony przed umyciem też wydaje się rozsądne, żeby były suche. Bo jeśli byłyby mokre i poleciałyby na nie woda, byłoby to bez sensu, prawda? Skąd ręce miałyby wiedzieć, że są mokre od wody, skoro już wcześniej były mokre? Zresztą po co miałyby się wtedy w ogóle moczyć. Odkrywam sprzeczność.

Odwracam się w kierunku drzwi i chcę wyjść, ale nagle coś przykuwa moją uwagę. Tu jest coś jeszcze. W tej łazience. Coś, co widzę dopiero teraz, co umknęło mi wcześniej. Co mnie zaciekawia.

Podchodzę do umywalki i dostrzegam, że wisi nad nią lustro.

Nie jest duże. Nie ma obramowania i jest prostokątne. Poziome boki są krótsze, pionowe dłuższe. Jest czyste, z pewnością zostało

umyte przez osobę, która twierdzi, że jest moją rodziną. Jedynie na dole widać kilka kropel świeżej wody.

Nie to jest ważne. Ważne jest to, co w nim widać. I to, czego w nim nie widać.

Staję przed lustrem i patrzę wprost na nie. W sam środek. W to, co mam przed oczami. Patrzę w lustro.

Patrzę i widzę ciebie.

Daniel Wołynec:

Próba stworzenia literackiej VR i osadzenia jej w architekturze ludzkiego umysłu.

W pierwszej scenie powieści bohater doznaje wylewu krwi do mózgu, w wyniku czego zapada w głęboką śpiączkę. Dalsza fabuła rozgrywa się na dwóch planach – w realnym świecie pacjent w stanie ciężkim trafia do szpitala, gdzie lekarze toczą coraz bardziej beznadziejną walkę o jego życie. Pomimo przywróconego krążenia i podstawowych funkcji życiowych, zachodzi wysokie prawdopodobieństwo nieodwracalnych uszkodzeń w jego mózgu, które rodzą pytania o sens podtrzymywania go przy życiu. W tym samym czasie bohater trafia do świata swoich snów i koszmarów – to poziom wyobrażeniowy. Spotyka tam tajemniczą postać, która oferuje mu pomoc w wybudzeniu. Postać twierdzi, że aby to osiągnąć, bohater musi udać się do trzech punktów swojego „ja”, reprezentujących filary jego tożsamości, i aktywować je, aby w ten sposób uzyskać moc, potrzebną do wyjścia z własnej głowy. Rozumiejąc, że ma coraz mniej czasu, bohater wyrusza w oniryczną podróż, podczas której będzie musiał zmierzyć się ze swoimi największymi lękami. Na jej końcu okaże się, że nic nie było takie, jakie wydawało się na początku. Zaś tajemniczy po-

mocnik wcale nie oferuje mu ratunku, lecz w istocie pragnie przejąć władzę nad jego umysłem.

Świat, po którym przemieszcza się protagonista jest połączeniem estetyki fantasy oraz czegoś, co można określić jako scenografia wewnętrzna. To inspirowana Wędrowką Pielgrzyma Johna Bunyana oraz Czerwoną księgą C.G. Junga przestrzeń, ilustrująca nieświadomość bohatera, głęboko zakorzenione w niej archetypy, wyparte lęki, pragnienia, instynkty i wkodowane wzorce kulturowe. Moją ambicją jest, aby przedstawione sny układały się w oniryczne przypowieści, w których przejrzy się nie tylko bohater, ale i cała epoka z jej mitami, fiksacjami i elementami wypartymi. Czytelnik może się spodziewać opowieści o świecie, w którym śmierć nie jest darmowa, a każdy, kogo na nią nie stać, musi żyć wiecznie, historii kobiety, która bierze ślub ze słowem „kocham cię”, oraz dzieci, które wykluwają się z jąder swoich ojców. Pomimo niebezpiecznie ezoterycznego brzmienia tego opisu, starałem się poprowadzić historię w możliwie najbardziej efektowny sposób. Dlatego przyjąłem formułę powieści przygodowej, gęstej od akcji, walk z przeciwnikami i pokonywania kolejnych przeszkód i trudności. Na udręczonego bohatera czekają takie atrakcje, jak atak drapieżnych myśli, które jako harpie nadlatują nad niego i próbują go pożreć, potem napadają go jego własne emocje (w formie gazowej), wreszcie mierzy się ze swoim umysłem, który pragnąc go wykasować, nasyła nań plamy nieistnienia.

W celu zintensyfikowania doznań czytelnika i większego wciągnięcia go w świat przedstawiony, zdecydowałem się na użycie w wielu partiach powieści narracji drugoosobowej. W ten sposób starałem się wywołać wrażenie, że w pewnym sensie to on sam jest bohaterem tej opowieści, przemierzającym własną przestrzeń wewnętrzną. Książka zaś stanowi rodzaj zwierciadła, w którym czytelnik może się przejrzeć i ujrzeć coś, czego być może wcale nie chce oglądać.



O autorach

Agnieszka Budnik

Oficjalnie: doktorantka w Zakładzie Poetyki i Krytyki Literackiej (IFP, UAM), animatorka kultury. Bada instytucję nagrody literackiej i jej wpływ na wartościowanie. Laureatka ogólnopolskiego konkursu na opowiadanie opisujące miłość organizowanego w ramach Festiwalu Fabuły za tekst *Baśnie ze wsi* (Centrum Kultury „Zamek”, 2018) oraz *Famy* w kategorii literatura (2017). Współtwórczyni Festiwalu Literatury Przeczytani, współorganizatorka wydarzeń w ramach Poznania Poetów, Festiwalu Fabuły, prowadząca spotkania literackie.

Nieoficjalnie: szykuje debiut powieściowy, w którym ciepło i ironicznie przygląda się relacji na linii ojciec–córka, z pamięcią o splątanej tożsamości polsko-niemieckiej i wspólnymi wyprawami na rodzinne groby i strychy w tle.

PS Jeśli formuła „powiedz mi, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś” jest trafna, to wśród lektur autorki można znaleźć książki: A. Oza, W.G. Sebald i E. Kereta.

Marta Hermanowicz

Laureatka nagrody głównej 11. Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania (2015) za tekst *Czysty Leo* oraz laureatka konkursu literackiego *Nic nie jest tym, czym jest* przy Festiwalu Góry Literatury (2020). Publikowała w „*Twórczości*”, „*Fabulariach*” i „*Polityce*”. Ukończyła politologię na Uniwersytecie Szczecińskim, a także Szkołę Filozoficzną Tadeusza Gadacza i historię sztuki w Collegium Civitas. Zawodowo związana z branżą reklamową.

Paulina Matuszewska

Ur. w 1989 roku w Warszawie. Laureatka kilku ogólnopolskich konkursów poetyckich. Jej wiersze były publikowane m.in. w „Odrze”, „Wakacie”, „Pograniczach”, „2Miesięczniku”. Studiowała m.in. polonistykę i kulturoznawstwo, a potem i w międzyczasie mieszkała w Indonezji. I tak jej zleciało jakieś pięć, dziesięć lat. Obecnie podróżuje między Podkową Leśną a Gocławiem. Na Jawę powraca za sprawą literatury. Pracuje nad debiutem prozatorskim i niezdrowymi nawykami, ogarnia się, poważnieje.

Ziemowit Józwik

Absolwent prawa i ukrainoznawstwa. Publikował artykuły w języku polskim, angielskim i ukraińskim na temat m.in. polityki bezpieczeństwa, prawa UE oraz refleksji wokół dziedzictwa europejskiego. Finalista i półfinalista konkursu Quentin na scenariusz gry fabularnej. Czciiciel Żeromskiego.

Natalia Królikowska

Łodzianka, dr nauk humanistycznych w dziedzinie literaturoznawstwa, autorka książki *Eksperyment w prozie Zofii Romanowiczowej*, wykładowczyni akademicka i promotorka czytelnictwa, autorka bloga recenzenckiego *Propsiki*, pasjami klóci się o literaturę, nie gotuje.

Karolina Ludwikowska

Studiowała filmoznawstwo w Krakowie i dokumentalistykę w Warszawie. Ponieważ nigdzie jeszcze nie publikowała, z czystym sumieniem może zmarnotrawić ten biogram na opisanie swoich zainteresowań, do których zaliczają się: podróżowanie w jednym kierunku (południowym) oraz oglądanie filmów dokumentalnych, które dają jej złudzenie lepszego zrozumienia świata.

Pisanie to dla niej przeżywanie kilku żyć jednocześnie.

Ewelina Najdrowska

Zawodowo jest copywriterką, prywatnie – amatorką sportów nie-dynamicznych. Pochodzi z Dolnego i Górnego Śląska. Studiowała bohemistykę na Uniwersytecie Opolskim, mieszka we Wrocławiu. Gdy akurat nie pisze, gotuje makaron lub spaceruje wokół osiedla i podgląda ptaki.

Rafał Sieradzki

Z wykształcenia polonista i scenarzysta. W praktyce człowiek wielu zawodów. Powsinoga. Grotołaz. Pracował jako copywriter, redaktor i dziennikarz. Jako operator kamery pojechał na wyprawę wspinaczkową do Afganistanu i jaskiniową do Meksyku. Po tej ostatniej postanowił założyć foodtrucka i restaurację z tacosami. Pracował także jako alpinista przemysłowy. W roku 2017 wielokrotnie odwiedzał Obóz dla Puszczy, co stało się inspiracją powieści, nad którą pracuje.

Alina Staneczek

Jest debiutantką. Zawodowo tworzy specyfikacje, instrukcje. Obraca się w męskim świecie, wśród czarnych ekranów; zanurza się w ścisłym postrzeganiu świata. Ukończyła Politechnikę Śląską z tytułem magistra inżyniera informatyki. Pracuje jako analityczka systemów medycznych. Jej praca polega na przekładaniu języka branżowego na język zrozumiały dla programistów. I odwrotnie – tłumaczy język komputerowy na przyjazny dla użytkowników aplikacji. Lubi swoją pracę, lecz czuje, że chce napisać coś innego. Aby się „rozpisać” i rozgrzać umysł, brała udział w warsztatach pisarskich. W sierpniu, gdy zakwalifikowała się do wzięcia udziału w kursie, poczuła wielką radość. To było dla niej wyróżnienie – ze 150 osób przyjęto 12.

Aleksandra Żuberek-Śmierzyńska

Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Opolskim, ukończyła również studia podyplomowe na kierunku samorząd terytorialny, miłośniczka Opola, w którym mieszka i pracuje od kilkunastu lat. Zawodowo zajmuje się promowaniem Opola, pracując w Urzędzie Miasta. Swoje umiejętności pisarskie wykorzystuje, tworząc teksty do magazynu miejskiego „Opole i kropka”. Książki czytała odkąd pamięta, a pisaniem zajęła się w piątej klasie szkoły podstawowej.

Od tego czasu powstało kilka powieści czytanych przez najbliższych i schowanych w czeluściach szuflady.

Idea wydania powieści zrodziła się w 2020 roku i zapoczątkowała dwa ważne wydarzenia: pierwsze to zbiórka społeczna, dzięki której udało się wydać debiutancką powieść autorki zatytułowaną *Rzeczniczka*; drugim było rozpoczęcie Kursu Pisania Powieści KMLU i praca nad kolejną książką *Punkt „0”*. W obu przypadkach tematyka orbituje wokół trudnej historii dwóch narodowości, którym przyszło żyć na jednym terytorium i niejednoznacznych losach ludzi, o których nie uczą na lekcjach historii.

Tomasz Tarmas

Uważa, że życie najlepiej opisują paradoksy. Sam w środku takiego paradoksu się znajduje i dobrze mu w nim. Wychowany pomiędzy Katowicami a małym rodzinnym miasteczkiem. Prawnik w korporacji u progu zmiany zawodu o 180° – psychologia to jego pasja i powołanie. Z wypiekami na twarzy czyta Stendhala i ogląda *Umbrella Academy*. Inspiracji szuka wszędzie, bo jest zdania, że każdy gatunek ma swoich mistrzów, którzy potrafią zanieść go pod strzechy.

Daniel Wołyniec

35 lat, z wykształcenia scenarzysta filmowy, na szczęście nie pracujący w tym niewdzięcznym zawodzie. Studiował również kulturoznawstwo i z kompromitującym skutkiem filozofię. W zeszłym roku wydał swoją pierwszą powieść. Książka rozeszła się w liczbie blisko 13 egzemplarzy, co było bezpośrednim powodem do wzięcia przezeń udziału w kursie. Lubi Beatlesów, Monty Pythona, Rodzinę Soprano, Stephena Kinga i Jamesa Joyce’a. Więcej grzechów nie pamięta.

O Szkole Pisania Krakowa Miasta Literatury UNESCO

Szkoła Pisania KMLU to innowacyjny program wsparcia dla debiutantów, który umożliwia pisarski tutoring, poznanie ekspertów z branży i w efekcie – wydanie pierwszej (lub kolejnej) książki. Na jej program składa się seria comiesięcznych warsztatów, webinarów i spotkań z cyklu #Masterclass. W jej ramach co roku organizujemy także półroczny kurs pisania powieści cieszący się dotąd ogromnym powodzeniem. Podobnie jak w ubiegłych latach, podczas tej edycji kursu dwanaścioro uczestników – wybranych spośród ponad stu zgłoszeń – pracowało przez pod czujnym okiem dwóch redaktorów nad swoimi tekstami, które z czasem staną się ich pierwszymi lub kolejnymi powieściami czy zbiorami opowiadań.

Jednym z mentorów był Filip Modrzejewski – wykładowca Jagiellońskiego Kursu Typografii w Krakowie, założyciel Stowarzyszenia Magurycz, redaktor książek między innymi Mariusza Czubaja, Macieja Płazy, Zyty Rudzkiej, Aleksandry Zielińskiej czy Janusza Rudnickiego. Drugim – Paweł Goźliński, redaktor naczelny Wydawnictwa Agora i współzałożyciel Instytutu Reportażu.

Z uczestnikami spotkały się także: autorka książek z gatunku fantastyki Anna Brzezińska, a także Sylwia Chutnik, laureatka Paszportu „Polityki”, trzykrotnie nominowana za swoją twórczość prozatorską do nagrody Nike. W programie znalazły się również spotkania z psychologiem twórczości Łukaszem Gorzymem, panel z wydawcami ze Znak, Wielkiej Litery i Marginesów, spotkanie z redaktorem Arturem Wiśniewskim oraz wykład specjalistki od prawa autorskiego Anny Rucińskiej.

Kurs, do którego program stworzyły Karolina Macios i Magdalena Zielińska – redaktorki z wieloletnim doświadczeniem wydawniczym, jest elementem programu wsparcia debiutów literackich w Krakowie Mieście Literatury UNESCO. Należy do niego także przyznawana corocznie Nagroda Conrada mająca wyróżnić najlepszych debiutantów i ułatwić im drogę dalszej kariery. Organizatorem kursu jest KBF, operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO.

SZKOŁA
PISANIA
KMLU



Copyright © for texts by Authors 2021
Copyright © for this edition by KBF 2021

Wydawca i organizator:
KBF, ul. Wygrana 2, 30-311 Kraków

Dyrektor KBF:
Izabela Błaszczuk

Koordinacja Szkoły Pisania KMLU:
Oliwia Fryc

Program Kursu Pisania Powieści:
Karolina Macios, Magdalena Zielińska

Redakcja:
Filip Modrzejewski, Paweł Goźliński

Współpraca redakcyjna:
Katarzyna Kojzar

Korekta:
Dorota Dziunikowska, Anna Mazur, Izabela Osiadły, Justyna Skalska,
Bartosz Suchecki, Barbara Skowrońska, Grzegorz Słęcz

Skład i łamanie:
Polkadot Studio Graficzne

Koordinacja graficzna:
Weronika Kierzkowska

Kontakt z autorami: pisz@miastoliteratury.pl

